

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Eugeniusz Dębski

Z powodu picia podłego piwa

Niepotrzebna twierdza

Było południe, a wydawało się, że zbliża się wieczór, że dzień nie ma już siły ani ochoty wlec się dalej – takie zimno, takie góry, taki wiatr! Słońce otuliło się sinymi chmurami i całe ciepło kierowało na ogrzanie samego siebie; tnący smugami zimna mrok, ośmielony brakiem słońca najwyraźniej zamierzał zapanować całkowicie nad światem.

Nie był to zimowy dzień, ale z rodzaju takich, kiedy wysunięty nieopatrznie język wraca do ust w postaci lodowego kołka, dlatego żaden z wędrowców nie czynił równie głupich rzeczy. Z wprawą powodując koźmi, jeden łąciatym ogierem, drugi karym wałachem, otuleni futrami, w nieustannie wiejącym w twarze wietrze, stępa przemierzali górzystą nieurodzajną, niegościnną krainę.

– Czuję się jak w jakimś kominie – nie wytrzymał jeden z konnych, na chwilę odsłoniwszy usta.

Zaraz potem znów zanurzył twarz w puchatym kołnierzu futra, widoczne ponad nim oczy wydawały się świadczyć, że żałuje niepotrzebnie otwartych ust. Drugi powoli odwrócił głowę, wolno, żeby nie odsłoniła się zbyt dużo twarz, poruszył skórą czoła, ale uznał, że nie ma nic ciekawego do powiedzenia i zamilczał. Przeciąg tnący w przełęczy wywiewał z niej całą roślinność, w zimie pewnie wywiewał śnieg, teraz wywiewał nawet dźwięk podkutych kopyt, tylko słabe „tsok–tsok” o kamienie na drodze dobiegało do wtulonych w futra uszu. Niemal pionowo ciosane ściany nagle ukazały szczelinę, zbawienne pęknięcie jak raz dla dwóch koni i kilku pieszych, nie zastanawiali się ani nie naradzali. Ten na wałachu tylko tknął wodze, a wierzchowiec, z wdzięcznością skinąwszy łbem wkroczył w skalny wykrot, jeździec zeskoczył na ziemię i otrząsnął się. Drugi wkroczył zaraz za nim, a jego ogier z niezadowoleniem parsknął, widząc, że wałach jest głębiej wtulony w niszę.

– Spokój, Pok. – Jeździec poklepał wierzchowca i zeskoczył również z siodła. – Poprzednio ty się grzałeś, a on cierpliwie marzył. – Odwrócił się do towarzysza. – Wiem, co mi powiesz: że okowitą grzeją się tylko naiwni głupcy, ale dziś jestem w ich szeregach.

Drugi na to uśmiechnął się mrużąc oko i zamasztył gestem odsłonił połę futra, pod nią, w drugiej ręce trzymał płaską, ale nader pojemny piersiowniczek starannie i umiejętnie opleciony skórzanymi rzemykami, potrząsnął nim, rozległo się głębokie chlupnięcie oznajmiające światu: „Jest tu trochę tego dobra!”. Wyciągnął rękę do mówiącego.

– Nie mów tylko – powiedział tamten biorąc do ręki flaszkę, w jego głosie zadrzała nie tłumiona nadzieja – że schowałeś jeszcze trochę najprzedniejszego balsamu od tego... No wiesz – płowe włosy, ciało srogie i dusza jasna? Od... – Strzelił palcami – ...Olaczka?

– Olkacza – poprawił go drugi. Skinął głową. – Tak, to jest to.

– Och...

Poczęstowany chwycił naczynie, przytknął usta do odkorkowanej flaszki i zaciągnął na trzy łyki.

– Cadronie, wiesz, że za wiele rzeczy jestem ci winien wdzięczność, ale tym razem...

Cadron również wypił trzy łyki. Odchuchnął jak należy.

– Kto by pomyślał – Hondelyk wdzięczy się i łąsi i podlizuje za kilka łyków gorzałki. Och, świecie nasz, świecie nasz!.. – pokiwał głową ze smutkiem na twarzy.

Wicher nieustannie dmący, napierający jak tępy osioł na odgradzający go od ogrodu płot, wzmógł się jeszcze oznajmiając to światu syczącym przeciągłym gwizdem, zrodzonym gdzieś na zębach turni. Wędrowcy chwilę oddychali przez szeroko otwarte usta, potem Cadron pociągnął jeszcze kilka łyków i podał flaszkę Hondelykowi. Kiedy wróciła doń schował ją gdzieś pod zwiewnym futrem, uśmiechnął się porozumiewawczo i zaczerpnął oddechu chcąc coś ważnego powiedzieć. W tej samej chwili wichura na króciutką chwilę zelżała, ustał gwizd, ale w tej pozornej ciszy dał się słyszeć inny dźwięk, bardziej do jęku

podobny. Mężczyźni wymienili uważne porozumiewawcze spojrzenia. Cadron wskazał szybko na siebie, druha i konie pytająco marszcząc czoło. Hondelyk pokiwał potakująco głową, obaj wskoczyli w siodła i skierowali się pod wiatrem. Poły futer przysiedli, żeby powiewając nie sprzyjały wiatrowi w wyziębieniu ciał.

Ujechali kilkanaście kroków, gdy przed ich oczyma otworzył się widok na podobną wnękę w skale. Pod jedną ze ścian klęczał mężczyzna z dziwacznym drewnianym rusztowaniem na barkach. Czołem opierał się o lodowatą skałę, wzdłuż rozkrzyżowanych ramion biegł mu długi drąg przenizany dwoma zakrzywionymi hufnalami, których ostre końce wbijały się mężczyźnie w plecy. Jego dłonie przybito gwoździami do końców drąga, a głowę biedaka zamknięto w klatce z trzech krótszych żerdzi: dwie rozrywały mu uszy, trzecia – poprzeczna – miała, jak im się zdawało zdusić skowyt torturowanego. Twarz mężczyzny ginęła w cieniu, pogłębionym przez długie opadające na pochyloną ku ziemi głowę włosy.

– Ktoś ty i jak ci pomóc? – zapytał głośno Hondelyk.

Mężczyzna nawet nie drgnął. Po długiej chwili ciszy, szarpanej przez przeczesujący wszystkie szczeliny potargany wiatr, spod strzechy posklejanych krwią włosów dobiegł ich cichy pełen cierpienia skowyt. Hondelyk rzucił spojrzenie Cadronowi, pochylili się na mężczyznę i ujęli go pod ramiona. Delikatnie podtrzymując drąg udało im się odchylić bezwładne ciało od skały dopiero wtedy zobaczyli twarz nieszczęśnika. Przez karki obu przebiegł ostry kłujący dreszcz, mimo że byli ludźmi, którzy niejedno widzieli i niejednego zaznali. Siny suchy język ofiary był wyciągnięty na całą długość i przybity do najkrótszej z żerdzi. Na czubku, nad główką ćwieka utworzył się gruby brązowy skrzep z wąskimi białymi pasmami, śladami po wyschniętej spływającej kiedyś ślinie. Twarz mężczyzny nosiła ślady okrutnego pobicia, właściwie tworzyła jedną rozległą maskę z guzów, obrzęków, cięć i skrzepów; jedno oko zostało wylupione, ale nie wyrwane, gałka oczna pomarszczona jak dziwaczna ciemnożółta śliwka musiała wisieć na jakichś strzępach mięśni, potem przykleiła się do strupa na policzku i tak została. Nos biedaka wbito niemal cały między policzki, wystawał ponad ich linię tylko płaski, nieregularny strup. Poniżej otwierała się dziura ust, w pierwszej chwili wydawało się, że człowiek ma je szeroko otwarte, ale okazało się, że obcięto mu wargi i pogruchocono wszystkie zęby, a przynajmniej te, które dało się zobaczyć w obrzękniętej, wypełnionej opuchlizną, gruzłami skrzepów i wyschniętej plwociny jamie ust. Teraz też, po podniesieniu mężczyzny okazało się, że od przodu główna żerdź miała wbitych kilka długich hufnali, które nie pozwalały jej pozbyć się ramy nawet kosztem uszu i języka, ponieważ opierały się swoimi końcami na mostku ofiary, właściwie wbiły się już w ciało i opierały na kości.

– Niech mnie... – wyszeptał Hondelyk. – Dziwne, że jeszcze biedak żyje!

Sięgnął do pasa i wyszarpnął sztylet, zaczął gorączkowo szukać miejsca, gdzie mógłby albo podważyć gwóźdź, albo przeciąć którąś z żerdzi, ale konstrukcja nie miała takich łatwych do pokonania miejsc – do porąbania bukowych drągów potrzebna byłaby porządna siekiera i pniak, a nie para sztyletów i oparte na ciele rusztowanie. Bezradnie popatrzawszy na przyjaciela, nerwowo obmacującego główki hufnali, pochylił się tak, by zadreńczony niemal na śmierć człowiek mógł go zobaczyć i zapytał głośno:

– Kto ci to zrobił, człowieku?!

Cadron zgrzytnął zębami i szybkim ruchem chlasnął ostrzem po naciągniętej cienkiej małżowinie usznej, a mężczyzna nie zareagował ani na pytanie Hondelyka, ani na cios Cadrona.

– Po co? – syknął Hondelyk i natychmiast pokręcił głową. jakby sam się sobie dziwiąc i swojemu głupiemu pytaniu.

Nagle mężczyzna poruszył łokciem, z jego potwornie poranionych ust wyleciał kolejny skowyt, zeskorupały całun prawej powieki drgnął i odsłonił żółto–sino–czerwone oko. Było

to oko szaleńca, dziko zamajtało się we wszystkie strony, mężczyzna jakby nie widział przed sobą twarzy Hondelyka. Wychrypiał coś.

– Co on mówi, zrozumiałeś?

Hondelyk pokręcił głową, nie zdążył odpowiedzieć. Mężczyzna szarpnął się z całej siły, zas zamotał w uwięzi, ohydnie zgrzytneły gwoździe opierające się o mostek i łopatki, obaj podróżnicy jak na komendę puścili drągi i mężczyznę bojąc się, że podtrzymując go sprawiają jeszcze większy ból, zaraz jednak zrozumieli – to agonia. Mężczyzna rzucił się z całej siły, nogi kopnęły powietrze i skałę, zawył i tak mocno przycisnął głowę do piersi, że udało mu się zerwać język z hufnała. Krótco zachrypiał i znieruchomiał.

– Nawet nie popłynęła krew – powiedział po chwili Cadron – Nieszczęsny...

– Co za dzicz?! – warknął Hondelyk. – Kto może być na tyle szalo...

– Dzicz! – chwycił go za ramię przyjaciel. – Czy on nie powiedział: dzicz?

Hondelyk urwał wprawdzie, szarpnięty przez druha, ale nadal skamieniały wpatrywał się w ciało i nie zamierzał rozmawiać. Schował sztylet i wyjął miecz, dwoma gwałtownymi ruchami podważył łączenia drągów, wyszarpnął hufnał, drugi. Zaniechawszy na razie rozważań Cadron rzucił się do pomocy i po chwili uwolnili zwłoki od potwornego rusztowania.

– Nie zostawimy go! – warknął Hondelyk.

– A czy ja mówię co innego!? – zachnął się Cadron. Skoczył do koni z rezygnacją przestępujących z nogi na nogę na wietrze. Odwiązał zrolowaną derę i przyniósł do ciała. Gdy zawinęli zwłoki dodał: – Do mnie, Gaber jest bardziej wypoczęty.

Ułożyli miękki, miękkością niepodobną do niczego innego rulon na zadzie wałacha, przymocowali i wskoczyli w siodła. Rzut oka na Hondelyka pozwolił Cadronowi ocenić, że zagadywanie nie ma na razie sensu. Wskoczył w siodło i osłoniwszy głowę kapturem pierwszy ruszył na szlak, na krótką chwil przycisnął łydki do końskiego boku. Przeszli w kłus. Z tyłu dobiegały odgłosy kopyt Poka.

– Długo jeszcze?

Nagabnięty Hondelyk oderwał się od ponurych myśli i najpierw splunął, a potem zawołał:

– Chyba nie, zaraz powinien się ten wąż skończyć... – Przerwał, obejrzał się do tyłu i zobaczywszy coś za plecami druha wrzasnął: – Uciekamy!

Cadron nie tracił czasu na odwracanie się, wbił pięty w końskie boki i pochylił się do przodu. Gaber posłusznie runął z wichrem w zawody, wyprzedził Hondelyka. Gnali tak długą chwilę po chwiejnej strudze skalistej drogi i nagle wypadli na równinę. Trzy, może cztery staggi przed nimi wznosiły się wysokie kamienne mury, kilkoma klinami wcinającymi się w równinę. Gaber sam przyspieszył, ale Cadron na wszelki wypadek jeszcze raz trącił go piętami i dopiero teraz, oceniwszy drogę i uznawszy, że wierzchowiec poradzi sobie z nią nie gorzej niż on sam, obejrzał się do tyłu. O długość końskiego ciała za nim pędził Hondelyk i – Cadron widział to wyraźnie – delikatnie powstrzymywał swojego ogiera przed dzikim galopem, który wyniosłby go przed Gabera. Za Hondelykiem z wężu drogi wyłaniało się kilkudziesięciu jeźdźców okrytych nie wyprawionymi skórą, z krótkim krzywymi szablami w ręku. Wymachiwali nimi jakby chcieli poszatkować przed sobą powietrze i szybciej dogonić ściganych. Ich konie, małe, niskie, z kępami długich włosów na piersiach i bokach wyciągnęły szyje i wyprężone, niemal nie kołysząc się w biegu, przebierały w nogami w tak szalonym rytmie, że pod ich brzuchami nie widać było nóg, a kotłowała się tylko mgła. Połykały przestrzeń szybciej chyba nawet niż ganiący Hondelyka i Cadrona wichur.

Ghouranie!

Najszybsze konie. Najdziksi, najbardziej szaleni wojownicy, o których bitewnej furii krążą legendy.

Kierowany przez Hondelyka Pok przyspieszył trochę i dogonił Cadrona, kiedy łeb konia zrównał się z jeźdźcem Hondelyk krzyknął:

– Porzuć ciało!

Cadron zmierzył odległość do bramy, zerknął do tyłu. Odebrało mu ochotę na otwieranie ust, ale potrząsnął głową i wrzasnął:

– Pędź, niech otworzą bramę! – i dodał w myślach: I niech zrobią to wcześniej niż dzikusy sięgną mnie ze swych łuków!

Główny bastion murów, ten połykający drogę, zawierał również olbrzymią bramę ze zwodzonym, teraz opuszczonym mostem. Wciąż była zamknięta, choć już nawet z tej odległości było widać, że na murach zaczęły się krzątać sylwetki strażników. W kilku strzelnicach obramowujących bramę błysnęło światło, znak, że załoga pośpiesznie obsadza stanowiska.

– Mogą myśleć, że to podstęp! – krzyknął Cadron. – Pokaż im swoją twarz.

Przyjaciel zerknął do tyłu i uznawszy racje Cadrona przynaglił Poka i pognął do twierdzy. Mieli do niej jeszcze około stagga, akurat tyle czasu, by utrzymać przewagę i wpaść pod osłonę zbawiennych murów.

Pod warunkiem, rzecz jasna, że brama będzie otwarta.

Kilkanaście kroków przed rozpędzonym Gaberem w kamienisty szlak uderzyła długa strzała; musiała przewędrować kawałek nieba w poszukiwaniu celu i musiała być ciężka, bo wbiła się w drogę, mimo że kopyta koni wybijały na niej wyrazisty kamienisty werbel. Cadron pomyślał przelotnie, że przed takim pociskiem nie uchroni i zbroja, szczególnie gdy jej się nie ma. Odruchowo zwarł się w sobie, ale – nie chcąc zakłócać równowagi galopu – nie przywierał do szyi konia, postarał się upakować ciało w jak najmniejszy tobołek; oddychał płytko i nie zamierzał już patrzeć do tyłu. Coś miękko puknęło tuż za jego plecami.

Trafili w ciało tego biedaka, przebiegło mu przez myśl. Łokieć wyżej i uskrzydliby mnie.

Zgrzytnęło coś przeciągle przed nim i potężna, okuta brama zaczęła rozwierać się, niechętnie, wahając się, ale jednak. Z tyłu dobiegł uciekinierów długi wibrujący wrzask kilkudziesięciu ścigających. Gaber uznał, że nie ma co oszczędzać sił na inne czasy, zachrypiał i niespodziewanie przyspieszył jeszcze. Draniu, nie dajesz z siebie w byle ucieczce wszystkiego, rozczulił się Cadron. Hondelyk przed nim zwolnił i długo patrzył do tyłu – oceniał jego szanse, machnął uspokajająco i krzyknął coś do obsady murów. Po chwili zręby najeżyły się kilkudziesięciu strzałami, które wnet pomknęły nad głowami przyjaciół gdzieś za ich plecy. Brama otworzyła się na tyle, by jeździec nie zsiadając z konia mógł wjechać przez nią, z tyłu, tuż za plecami Cadrona znowu rozległ się dźwięk identyczny jak poprzednio i znowu uciekający nie zawracał sobie głowy odwracaniem się i sprawdzaniem jego źródła. Druga fala strzał poleciała na ścigających, a uciekający wpadli na most i zaczęli ściągać wodze. Kopyta koni krótko i głucho zadudniły na moście i zaraz potem wykrzeszały echo ze ścian barbakanu i zaraz otoczyły ich lepiej i gorzej uzbrojone i różnie opancerzone sylwetki. Konie, jak na komendę, jednocześnie zachrypiały, Pok groźnie wyciągnął pysk w kierunku najbliższego żołnierza. Jeźdźcy zeskoczyli i zerknawszy za siebie, na zamkniętą już z powrotem bramę odetchnęli. Hondelyk wskazał coś za plecami przyjaciela – w ciele nieszczęśnika tkwiły dwie długie z podwójnymi lotkami strzały.

– Dziękujemy – powiedział Hondelyk. Rozejrzał się w poszukiwaniu dowódcy, nikt nie wysuwał się na czoło załogi, ponure zaciekawione twarze wpatrzone były w wydłużony toboł na grzbiecie Poka. – Spotkaliśmy tego nieszczęśnika kilka chwil temu, zakatowali go na śmierć, zmarł na naszych rękach zdążywszy tylko wychrypieć coś, co dopiero niedawno zrozumiałem: „Ghouranie”.

Jeden z wojaków, sumiastowąsy, z pasmem siwizny od czoła na lewe ucho zdecydował się w końcu, zrobił krok do przodu i skinął na jeszcze jednego, razem zdjęli ciało, przenieśli kilka kroków w bok i ułożyli na drewnianym podeście obok konowiążu. Odwinęli derkę i – jak na komendę – pokiwali głowami. Ten odważniejszy plasnął dłonią o udo.

– To Aefan – oznajmił. Odpowiedziało mu milczenie przerwane jednym cmoknięciem, które miało być jedynym słowem mowy pogrzebowej po umęczonym Aefanie. – To nasz goniec – wyjaśnił żołnierz.

– Tak przypuszczałem – skinął głową Hondelyk. – Wiedzieliście, że są tu?

Żołnierz otworzył usta, ale z tyłu i z góry rozległ się głośny gwizd i potem krzyk:

– Co tam, Raku? Może byś gości do mnie jednak kiedy sprowadził?

– Dyc prowadzę! – i do gości z westchnieniem: – Chodźmy jednakże, obrazi się, żeby go w cholewę poszczypało!

Wskazał drogę i ruszył pierwszy, Pok zarzął, Hondelyk musiał zatrzymać się przy nim i poklepać go po szyi. Powiedział coś cicho i dogonił Cadrona. Weszli po przylegających do murów schodach na kamienny balkon. Rak doprowadził ich do jakiegoś człowieka wychylonego niebezpiecznie na zewnątrz. Słyszac chrząknięcie przewodnika człowiek majtnął nogami i wrócił szczęśliwie całym ciałem do twierdzy. Miał szeroką twarz z blizną na czole, która odsunęła włosy daleko na tył głowy, lewy policzek i brodę pstrzyły mu drobne sinawe cętki, zapewne ślad jakiegoś wybuchu albo oparzenia. Zmrużonymi oczami ocenił gości, weryfikacja przebiegła dla nich pomyślnie, bo zasalutował i wyraźnie powiedział:

– Witamy w twierdzy Strzebrzyca. Asanseel Tugryba, do usług waszmościom. Asanseelem mnie ustanowił Dominion Wabatul i jemu przede wszystkim służymy, choć... – urwał nagle i popatrzył ponad głowami gości gdzieś w kierunku rzeki. – To był most o wielkim znaczeniu dla co najmniej czterech prowincji. – Westchnął przeciągle. – Ale co teraz... – machnął ręką.

„Witamy” mówi jakby „wijitami”, pomyślał Hondelyk. Będzie mówił „chiży koń”, „chitrus” i tak dalej, na pewno pochodzi z wyspy Vlđrk. Asanseel tymczasem zerknął przez ramię na przedmurze. Hondelyk zrobił krok i popatrzył również. Ostatni jeźdźcy Ghouranie znikali w gardzieli wąwozu, z którego tak gwałtownie w pogoni za zdobyczą wypadli. Cadron, który przesunął się również, posłał im w plecy kilka długich bezgłośnych kłątów. Ciało jednego ustrzelonego przez obsadę twierdzy zostało na drodze, jego koń doganiał oddział.

– Nie mamy tu wymyślnych frykasów, ale też to i tak jedyne w okolicy miejsce, gdzie możecie waszmoście zjeść, a nie być zjedzonymi – uśmiechnął się z przymusem Tugryba. – I gdzie się rozmawia, a nie wymusza zeznania.

Nagle przypomniał sobie coś, odwrócił się do Raka i zapytał:

– Czy to był Aefan?

– Tak.

– No to mamy komplet – rzucił z goryczą.

– Wszyscy gońcy, jak rozumiem? – zapytał Cadron.

– Tak. Zostały nam tylko skrzynki – powiedział tajemniczo Tugryba i nie zauważając zmarszczonych czoł gości ruszył ku schodom. – Raku, będziemy z gośćmi na kwaterze, wprowadzę ich w sytuację, bo nie sądzę by chcieli szybko nas opuścić. Zmiana wart jak zwykle. Przy służbie – sprawdź osobiście. – Prawą rękę dwornie przyłożył do piersi, a lewą wskazał schody: – Zapraszam panów... – przerwał i wrócił do podwładnego: – A! Nie, sam sprawdzę służę, ale potem. – I znów do gości: – Proszę.

Zeszli w dół i powędrowali wzdłuż murów, nadwyczaj wysokich i budzących zaufanie. Cała twierdza sprawiała dość dziwne wrażenie – przez jej środek prowadziła szeroka wygodna bita droga, wzdłuż której ustawiły się niemal jednakowe kłocę budynków o –

najwyraźniej – podobnym przeznaczeniu, za budynkami znajdowały się duże długie magazyny i spichlerze, potem, co widać było w kilku lukach między murami, ciągnęły się obszerne puste place i zaczynały się budowle koszarowe, wtulone w mury z blankami. Z koszarowych dachów – jak zauważył Hondelyk – wychodziły schody, co na pewno skracało czas wychodzenia załogi na mury. Tugryba prowadził nie odzywając się, najwidoczniej oczekując, że goście albo wiedzą o twierdzy co wiedzieć powinni albo sami dojdą do jakichś wniosków.

– Powiedziałeś, asanseelu, że był tu most? – zapytał Hondelyk podkreślając słowo „był”.

Nagabnięty zerknął spod oka, milczał chwilę.

– Nie wiedzieliście, którędy zdążacie? – W jego głosie zabrzmiała wyraźna uraza, jakby brał w obronę swoją twierdzę.

– Mniej więcej – tak, ale szlak wskazał nam ktoś, kto, jak się teraz domyślam, musiał dość dawno temu przemierzać tę drogę.

– Nie tak dawno – powiedział z żalem przewodnik. – Tu was zakwaterujemy – wskazał ręką jeden z szeregu budynków. – Wasze konie powinny już być w stajni naprzeciw...

Trącił drzwi i wszedł pierwszy do izby. Zastali w niej jednego z pacholek układającego właśnie na drugiej pryczy wojskowy komplet derek. Sakwy złożył porządnie w kącie na ławie, na stole stały dwa kaganki i butla z olejem. Pomieszczenie nie miało okien tylko pionowe wąskie okratowane szpary w dwu ścianach. Pacholek na widok Tugryby wyprężył się.

– Przynieś nam dzbanek wina – polecił asanseel, nie zauważył, że pacholek otworzył usta, ale nie odważył się odezwać i pośpieszył wykonać polecenie. – Siadajcie panowie. – Usiadł pierwszy i przestawił kaganki tak, że stały rozdzielone teraz butlą. Popatrzył na Cadrona, potem na Hondelyka. – Tu stał most, jedyny w promieniu osiemnastu dni drogi, wygodny, choć rozbierany na kilka tygodni co jesień i co wiosną. Cztery lata temu Ghouranie pierwszy raz najechali nas i spalili osadę, co się wokół murów rozrosła. Wiadomo: gęsto uczęszczany szlak... Musiały powstać, raz: karczmy, noclegownie i, ma się rozumieć, jebitnie; dwa: masarnie, piekarnie i tkalnie. Rzecz jasna – również gildie kupieckie, choć te najbogatsze miały siedziby tu, wewnątrz murów – zatoczył ręką koło. – Spalili osadę, ludzi wyrzli... – spowolnił tok mowy wróciwszy myślą do tamtych dni. – Potem, tego samego roku, jesienią, niespodziewany przybór rozwalił most, zanim go rozebraliśmy sami. Odzyskaliśmy bardzo małą część drewna, a tu drewna, w tej skalistej okolicy, nie ma. Przez całą zimę sprowadzaliśmy bale i przygotowaliśmy się do budowy. Przyszła wiosna, sucha, woda niska, odczekaliś... Czego? – krzyknął niezadowolony z pukania do drzwi.

Pacholek wsunął do izby głowę, a potem pokazał zapieczętowaną lakiem butlę i trzy kubki.

– A... Postaw i goń do stajni, do koni panów! – Pacholek szybko wykonał oba polecenia i wybiegł z izby, Hondelyk przestawił kaganki. – Zbudowaliśmy most, lecz kilka dni później nieznany na tej rzece drugi przybór rozwalił go. Dominion znowu, choć już bardzo niechętnie, wydzielił załogę do wożenia drewna. Przez cały czas żołnierze musieli pilnować ładunku i swego życia, rzecz jasna, bo bez przerwy byli nękani przez tych małych ohydnych dzikusów. Do jesieni cieśle zbudowali most, tak na przymiar, tu na głównej ulicy, rozebrali go i czekali na jesienny przybór. Znowu był niemrawy, najniższy od kilkunastu lat, ale już nie byliśmy tacy głupi. Czekaliśmy. Czekaliśmy i czekali. – Chwycił butlę i zręcznie uderzywszy dnem o udo wytrącił korek wraz z lakiem z gardziołka, nalał do kubków i wznosił niemy toast. – Poczekaliśmy jeszcze trochę, ale zaczęli się już kupcy burzyć, że towary gniją, że ceny, że pogoda... Postawił most. – Pokiwał z żalem głową. – Cztery dni później, cztery dni ino stał – pierdut! Przyszła taka woda, że najstarsi z najstarszych nie pamiętają i zwało most. – Zapatrzył się w podłogę, jakby właśnie tam

widział te sceny wszystkie. – Zwaliło i już się nie postawiło. Bo zwiadowcy dominiona odkryli, że to tałałajstwo budowało tamy na rzece, gromadziło wodę i jak już most stał – puszczało wodę. Ot i całej historii koniec. Nie ma mostu, nie ma ludzi, handlu, szlaku... – Przepił do gości. – Jest twierdza i Ghouranie. Ale niedługo nie będzie się opłacało utrzymywać tu garnizonu, bo czego ma niby pilnować – placu przed murami?! – zakończył z goryczą.

– Rzeki wplaw czy w bród się przejść nie da?

Pytanie Cadrona wyrwało go z posepnej zadumy, dziobaty policzek drgnął i trochę się skurczył, przez co na usta wypłynął ironiczny półuśmiezek.

– Co jakiś czas wrzucamy do rzeki „skrzynki” – klocki bukowe z wywierconymi otworami, w które wkładamy meldunki i zabijamy na glucho szpuntami. Jak wrzucamy do rzeki dziesięć kłocy, to jeden, rzadko dwa dopłyną do następnego garnizonu, resztę woda i skały przemielą na trociny.

– A na drugim brzegu? – nie ustawał Cadron.

– Tam była tylko mała osada, kto się przeprawił w te pędy walił dalej, bo już tu się naczekał na swoją kolej i śpieszył towary przed innymi dostarczyć. Mieli przed sobą osiemdziesiąt dni przez dzikie jałowe pustkowia, a we w drugą stronę handlu prawie nie było, bo co do dzikich wozić? Chiba, że białe kobiety...

– Czyli tu czekacie na lepsze czasy?

– No, czekamy. Co mamy robić? Dopóki dzicy mają na most zęb albo dopóki ich się nie przegoni, a najlepiej nie wytrzebi to tu nic się nie zmieni. – Sapnął dwa razy, głośno przełknął ślinę. – Zapomniana twierdza.

– A dominion? – wtrącił się Hondelyk.

– Co dominion?.. – z goryczą powtórzył Tugryba. – Jemu kupcy i tak dostarczą, co trza. A to, że towary są za drogie dla innych, to nie jego zmartwienie, prawda? O nas już zapomniał, ani spyży nie przysyła, ani broni, już o ludziach nie wspomnę. Do garmatek wiecie ile mamy prochu? – wykrzyknął. – Na cztery strzały, jeśli ze starości nie skisł któryś z ładunków. Trzymam na ostatnią bitwę. – Zasapał wściekle. – Żadnej armii przeciw dzikim nie wyśle, bo oni mu zawsze umkną bitwy walnej nie wydając, a pojedynczych oddziałków wybić się nie da, zawsze jakiś będzie nękał. Chodzą przy tym słuchi, że tam się jakiś wódz objawił, co ich jednoczy na wojnę z nami, ale to wszystko nie potwierdzone, więc wszyscy czekają...

Ponownie ktoś zapukał do drzwi, Tugryba poderwał głowę i zaczerpnął powietrza, by rykiem zmusić do odwrotu natręta, ale drzwi otworzyły się i wpadł Rak z bladą twarzą i wytrzeszczonymi oczami.

– Z murów... – zająknął się. – Z murów... Bogowie... Cała armia!

– Co? – Asanseel poderwał się i trąciwszy stół – dwa kubki podskoczyły i wywróciły się – runął do drzwi. – Nasza?

– Nie! – wrzasnął dziesiątnik wybiegając za nim. Kiedy Cadron z Hondelykiem wypadli na ulicę Tugryba machając na boki rękoma po dwa stopnie pokonywał schody na mury. – Dzicy! Ćma ich... Całe mrowie i jeszcze trocha! – krzyczał mu w plecy Rak usiłując nie odstawać od dowódcy. – Od czoła!..

Cadron posłał znaczące spojrzenie Hondelykowi, nie musiał nic mówić. Znaleźli się w pułapce, w twierdzy z wyjściem na dzikiego okrutnego wroga.

– Z tego mi wynika, że musimy mocno się przyłożyć, żeby uratować swoje cenne życie – powiedział Hondelyk zadzierając głowę i przyglądając się otaczającym murem. – To właściwie oznacza, że musimy uratować twierdzę.

Zerknął na przyjaciela, jakby chciał sprawdzić czy podziela jego zdanie. Podzielał. Skinął głową.

– Jak to mawiał mój stryj: w kabałanie my popadli, a czart karty rozdaje!

– Co to jest kabałania? – zapytał Hondelyk roztargnionym spojrzeniem wodząc po blankach.

– A nie wiem i nigdy nie wiedziałem. – Cadron wzruszył ramionami. – Chodźmy może na mury?

Ruszył pierwszy, pokonał schody słuchając narastającego z każdym krokiem jazgotu z równiny. Na murowanym parapecie wicher wył i ciął setkami biczy, ale za to widać stąd było znakomicie, co dzieje się na skalnej równi przed twierdzą. Działo się wszędzie to samo – mrowie kudłatych koników usiłujących ugryźć najbliższego stojącego współplemieńca. Na konikach siedzieli powizgujący i pojękujący na całe gardło Ghouranie. Potrząsali łukami i szablami.

– Żeby się tak nawzajem powyrzynali! – warknął Cadron słysząc kroki Hondelyka i kątem oka widząc sylwetkę przyjaciela obok siebie. – Żeby im smród nogi powykręcał, a gówno nie chciało dupy opuścić! Żeby nasienie ich śmierdziało bardziej niż utopiony w gnojówce cap, a każde zbliżenie z kobietami żeby przypłacał wypadnięciem wszystkich zębów, włosów i paznokci! – Odwrócił się do Hondelyka i przez zęby wycedził: – Taki koniec??? Tu? Otoczeni przez dzikusów?

– No właśnie. Musimy im pokrzyżować plany...

Wpatrywali się długą chwilę w mrowie dziczy pod murami.

– Patrz! Kobiety!? Czy ja dobrze widzę? – zapytał Cadron wyciągając szyję w kierunku zawodzącej radośnie hordy. – Łuczniczki!

– Tobie to zawsze tylko baby w głowie. – Hondelyk przysunął się i zmrużył oczy.

Jego dowcip skwitowało machnięcie ręki, chwilę milczeli potem Cadron wskazał zgrupowanie wyższych nieco koni i ich jeźdźców wymachujących jednakowymi chorągwiemi z błyszczącymi kulami na końcu drzewc. W środku tej grupki siedział na siwym koniu nieruchomy jak głaz wojownik. Z tej odległości niewiele więcej było widać, a było by jeszcze mniej, gdyby nie umaszczenie jego rumaka, białe ubranie samego jeźdźca i wysoka biała czapa.

– Musi wódz – powiedział Cadron. – Żeby go... – zmełł w ustach kolejne przekleństwo.

– Na pewno – zgodził się Hondelyk. Zmrużył oczy i długo wpatrywał się w białą sylwetkę. – To on, ten, znaczy, który jednoczy dzikich i sprawia, że są niebezpieczniejsi niż kiedykolwiek. – Podrapał się czubkiem palca w bok nosa, Cadron wiedział, że oznacza to najgłębszy namysł. – Ciekawe jak go zwą – westchnął i wrócił do rzeczywistości. – Ale języka chyba nie weźmiemy.

Odpowiedziało mu wzruszenie ramion. Cadron ruszył wzdłuż muru, co kilka kroków przystając i zerkając z blank na oblegających twierdę. Po kilkunastu krokach trafił na pierwszego żołnierza, który posłał mu znaczące spojrzenie: „Kiepsko, bracie, z nami, co?”. Odpowiedział mu mocnym spojrzeniem, minął i poszedł dalej. Im bliżej było czołowego bastionu tym więcej spotykał żołnierzy, czasem musiał przeciskać się bokiem między beką z zastygłą smołą, brunatnym olejem, skrzyniami wypełnionymi głazami i stojakami na byle jakie oszczepy i setki strzał. Doszedłszy do baszty flankującej most spotkał asanseela.

– A most? Dlaczego nie podniesiony?

Odpowiedź ułożona była w kunsztowną wiązkę, przy której Cadron zarumienił się wspomniawszy swoje, jakże teraz widocznie nieudolne, pasmo przekleństw. Na końcu Tugryba wyrzucił z siebie:

– ... i któryś siedem nocy temu zaklinował łańcuchy! Żeby to naprawić trzeba by mieć kilka spokojnych dni, a nie mieliśmy ani jednego!

– Acha...

– To mnie, zresztą, nie męczy – kontynuował Tugryba. – Nie ma w okolicy drzew na porządne tarany, a jeśli nawet przywieźli ze sobą, to ile? Dwa, trzy? Tyle zniszczymy kłapaczkami.

Wskazał na ułożone przed szczeliną w murze dziwaczne żelastwa: każde składało się z kilku grubych żelaznych bali połączonych kilkoma ogniwoami grubych łańcuchów.

– Kłapaczki? – zainteresował się Hondelyk.

– Ta. To się zrzuca na taranierów. Kłapaczka łamie taran, a w najlepszym dla nich przypadku wbija go w ziemię i mają troche zabawy z wygrzebaniem. Przy okazji ginie kilku noszowych i tak dalej. Poza tym mamy też zwykłe kamulce. – Pociągnął nosem. – To nam nie straszne...

Zawiesił głos, wyraźnie mógł coś jeszcze powiedzieć, coś o tym, co jest straszne, ale obrzucił ponurym spojrzeniem stojących w pobliżu żołnierzy i przeżuł koniec zdania. Cadron postanowił zapamiętać ten moment i wrócić do niego przy najbliższej okazji.

– Na szczęście nie wiedzą o śluzach przy rzece – zachichotał nagle asanseel. – Zaraz pójdę ją otworzyć, wtedy woda z koryta omyje mury i żaden się nie przedostanie. Wyjce jedne...

Zaciśniętą w kułak dłonią pogroził wciąż wyjącem przeciągle Ghouranie.

– Będą tak zawodzili długo, jeśli nie ciągle, oni tak, słyszałem, usiłują zadreńczyć załogę – poinformował go Cadron myśląc o czymś innym. – Mówisz waść, że można w każdej chwili otworzyć śluzę i rzeka popłynie pod murami?

– Niecała, ale tak – przytaknął Tugryba

– No to może nie puszczać jeszcze? – zaproponował nieśmiało, nie chcąc obrazić dowódcy. – Dopiero by było dobrze, gdyby nawłaziło ich tam trochę... – podsunął chytrze.

– A? – Asanseel przekrzywił głowę i zerknął spod zmarszczonych brwi na Cadrona. – Masz waść rację, jak... – powstrzymał się od przekleństw – ... nie wiem co! – zakończył niezręcznie.

– Złośliwy jest, ale tym razem skrupiło się na dzikich – stanąwszy za plecami przyjaciela wtrącił się do rozmowy Hondelyk. – Czy tak duże watahy pojawiają się stale? – zmienił temat.

– Nie, skądżeby?! To chyba całe ichnie plemię! – Nagle zrozumiał, do czego pije Hondelyk. – Żeby ich tak teraz ucapić, nie? Od wąwozu, od drogi zaszpunktować częstokołem, piechotą i łucznikami, a tu – wiadomo, drogi też nie ma. – Rozpaliły mu się iskierki w oczach. – Ech!..

Kilka kiwnięć głowy Hondelyka potwierdziło jego myśl. Cadron mruknął coś nie otwierając ust. Dowódca twierdzy z żalem oderwał spojrzenie od przenikliwie kwilących oblegających.

– Każę wysłać kilkadziesiąt kłód z meldunkiem, albo – przez cały czas będę słał, drewna wystarczy.

Zrobił krok w kierunku schodów.

– A w tej osadzie – po drugiej stronie – zatrzymało go pytanie Cadrona – nie ma nikogo, komu można by przekazać wiadomość?

– Toż płaskowyż omiatany wichrem i palony słońcem, bez potrzeby nikt tam nie usiedzi, a bez mostu potrzeby nie ma.

Machnął ręką oddając odruchowo honory gościom i skierował się ku schodom, Hondelyk ruszył dokoła twierdzy, Cadron szedł za nim niemal nie tracąc z oczu dzikich, ich biały wódz wciąż siedział nieruchomo na siwku, z tyłu krzątało się kilkunastu ludzi najwyraźniej stawiając schronienie dla swojego wodza, pozostali podzielili się na tych, co nadal siedzieli i wylili do twierdzy i tych, co zajęli się rozpalaniem malutkich ognisk i – w kilku miejscach – tańcami w kole. Do jednego z ognisk wpadła osłona, która miała osłaniać wątki ogienek od przenikliwego wiatru, zajęła się żywym radosnym ogniem, spowodowała krótki wybuch złości pobliskich koników, ale nic poza tym. Idący przodem Hondelyk wskazał palcem na kilkadziesiąciu Ghouranie wspinających się na strome zbocza, chyba mieli pełnić rolę obserwatorów, może nękających łuczników. Ktoś poza nim dojrzał

wspinaczy, bo kilka chwil później poszybowała w ich kierunku ławica strzał z potężnych nożnych łuków i kilka ciał sturlało się w dół. Obrońcy przyjęli to z radością, czemu dali głośny wyraz, oblężnicy nasilili wycie, kilku odważyło się podjechać bliżej i wystrzelić kilka strzał w mury Strzebrzycy. Salwa wyzwisk skwitowała ich wysiłki, ale widocznie Tugryba zakazał marnowania strzał, bo już nikt nie próbował ściągnąć dzikich z siodła.

– Chodźmy do koni – zaproponował nagle Hondelyk przystając przy innych schodach.

Nie czekając na zgodę druha zaczął zbiegać po trzeszczących, kołyszących się nieprzyjemnie i nawet czasem pokwikujących wyschniętymi więzadłami stopniach. Idący za nim Cadron musiał przesunąć się bliżej muru i nawet muskać go lewą ręką gotów do utrzymania równowagi na kołyszącym się trakcie.

– Masz jakieś przecucia? – zapytał Cadron korzystając, że na dole było mało żołnierzy – część pełniła służbę na murach, część – odpoczywała i zbierała siły do swoich wart, wojenna normalizna. – Co się może stać koniom?

Hondelyk nie odpowiedział, odpowiedź nasunęła się sama, a Cadron nie marnował czasu i śliny na jej wygłaszanie. Szybko dotarli do stajen w pobliżu kwatery, wdarli do wnętrza, uspokoił ich widok obu rumaków spokojnie chrzęszczących sianem. Bez umawiania się zabrali do ich starannego czyszczenia, zarzucili na głowy worki z kilkoma garściami własnej owsy, której najwyraźniej brakowało już dla miejscowych wierzchowców. Rzuciwszy znaczące zaniepokojone spojrzenie na przyjaciela i odebrawszy niemal identyczne Cadron rzucił szczotkę i zgrzebło, obszedł całą stajnię, by sprawdzić czy nie ma w niej ludzi i wrócił do Hondelyka.

– Posłuchaj, nigdy cię nie rozpytywałem o twoje zdolności, przecież wiesz... Przyjąłem, że potrafisz tworzyć z własnego ciała lustrzane odbicia innych ludzi, i dobra. – Hondelyk poważnie skinął głową. – Ale teraz, kiedy już chodzi nie tylko... – nie dokończył, tylko poklepał Gabera po grzbiecie. – Czy nie mógłbyś, na przykład... – ściszył głos przechodząc niemal do szeptu –... odlecieć stąd jako ptak? Rozumiesz – powiadomić dominiona o zgrupowaniu dzi... – urwał widząc przeczące ruchy głowy druha. – Nie?

– Nie, niestety, przyjacielu – Hondelyk westchnął przeciągle. – Ja... Hm? Nie mogę w jakiś cudowny sposób zgubić gdzieś całej swojej masy, najłatwiej mi jest przybrać postać kogoś o moim wzroście i wadze. To tak, jakbyś z tego samego kawałka gliny zrobił talerz, a potem go zmiął i od nowa zrobił miskę, rozumiesz? A co innego byłoby z dużej makuty zrobić kubeczek czy odwrotnie. – Chwycił się ramionami za łokcie jakby chwycił go dreszcze. – Nigdy nie próbowałem zwierzęcia, mam pewność, że nie mógłbym wrócić do swego ciała...

– Tak. – Cadron zawahał się. – Skoro już jesteśmy przy tym – nie mówiłem ci nigdy, ale gdyś leżał w malignie, pamiętasz, bagienna febra? No, to wtedy gadałeś coś o jakimś dzieciaku, jakimś dziwnym i strasznym spotkaniu, po którym, tak mi wyszło, ten chłopiec nabrał wiedzy jak zmieniać swoje ciało...

Czujne i chyba nieco wystraszone spojrzenie przyjaciela wwiercało mu się w duszę. Hondelyk milczał długą chwilę zanim powiedział cicho:

– To... To jakaś część prawdy, ale nie będziemy o tym tu i teraz rozmawiali, jedno tylko wyjaśnię – zabrano mi ogromny kawałek mojego dzieciństwa, dali w zamian umiejętność, dzięki której nie jestem żebrzącym kaleką, dzięki której w ogóle żyję, ale to zamiana iście diabelska! Mogę chodzić, biegać, skakać, bić się, ale uszczknęli mi kawał ducha i sumienia, i do końca życia nie będę wiedział ile ktoś inny zapłacił za tę moją wolność. – Odsapnął. – Już mi się zdarzało w jakichś dziwnych okolicznościach, że słyszałem myśli innych ludzi. Może nie tyle myśli, co ich krzyk – gdy umierali czy byli torturowani... Z tego, co mówisz wynika, że i moja maligna była słyszana...

– Przestań, bracie – poprosił Cadron. – Nie nagabywałbym cię w ogóle gdyby nie sytuacja, ja nie mogę nic zrobić, a wolałbym się rzucić z murów na pysk, niż pozwolić zjeść Gabera! – wyrzucił z siebie przez zęby.

– Wiem.

W ciszy Pok podrzucił kilka razy głową sygnalizując, że na dnie nie zostało już ziaren. Hondelyk zdjął worek, pogłaskał wierzchowca po szyi.

– Na razie masz tyle – powiedział usprawiedliwiającym tonem i wierzchowiec jakby pojął to, parsknął cicho i wrócił do żucia sieczeni. Jego pan przejechał dłonią po grzbiecie rumaka. – Coś wymyślimy – powiedział do Cadrona. – Ale do twojego pomysłu potrzebna jest prawdziwa magiczna moc. – Roześmiał się niewesoło: – A ja nie potrafię jak w bajkach dla dzieci przemieniać się w ptaka, smoka, rybę i człowieka.

– Przepraszam, ale udawałeś Malepis? Wszak to dziewczyna, młoda, szczupła?..

– Młoda, to nie problem, to tylko gładka skóra, ale szczupła? Nie była taka wiotka, potem, rzecz jasna. To znaczy ja nie byłam taka wiotka, ale nikt nie zauważył, że przybyło jej w każdym miejscu, bo nikomu nie przyszło to do głowy. Najczęściej ludzie widzą to, czego się spodziewają, co chcą zobaczyć.

Zapadła cisza. Przyjaciele równocześnie poruszyli się, obaj skwitowali uśmiechami zgodność myśli, podeszli od swoich wierzchowców i dokonali sumiennych przeglądów, jakby chcąc wynagrodzić koniom skąpy obrok. Potem nie zostało nim nic innego jak wyjść ze stajni.

Na zewnątrz poczekali aż przeturla się obok nich wózek ciągnięty przez dwóch nachmurzonych woźaków, jeden z nich obrzucił ponurym spojrzeniem najpierw obu mężczyzn, a potem drzwi do stajni, coś burknął do kolegi z zaprzęgu. Na wózku piętrzył się stos równych bukowych kłód.

– Mamy ostatnie w okolicy żywe konie – mruknął do Hondelyka Cadron. – Przeprowadzam się do stajni – oznajmił stanowczo.

– Wystarczy słowo asanseela – bąknął przyjaciel, ale bez specjalnego przekonania.

– To śpij ze słowem, a ja z koniem – zaproponował Cadron.

Odczekał chwilę, a nie doczekawszy się protestu ruszył pierwszy w kierunku najbliższych schodów na mury. Gdy przystanęli przy najbliższym krenelażu, zobaczyli, że na równinie przed twierdzą niewiele się zmieniło – połowa Ghouranie siedziała nadal w siodłach i wyła przenikliwie, druga część posilała, nikt już nie tańczył i nie widać było wodza, ani jego siwego wierzchowca.

– Osobliwie wojują – mruknął Cadron. – Jak na razie poza pogonią za nami to tylko wyją, żeby nie dać spać, a inna część żre na naszych oczach, żeby nam ducha osłabić, czy jak?

– A gdzie mają jeść? Jeśli zdobędą Strzebrzycę i my przyjdziemy ją odbijać, to my będziemy jedli im na złość, a oni będą się wpatrywali łakomie w konia wodza.

– A właśnie że nie – pokręcił głową. – Im nawet nie przyjdzie do głowy taka myśl, dla dzikich święte jest święte bez względu na okoliczności i własną wygodę. To my lubimy targować się z bogami, kiedy nas coś przyprze. Założę się, że zjedlibyśmy bez większych skrępułów wierzchowca poświęconego jakiemuś bóstwu, o najwspanialszych wierzchowcach ze stajni dominiona nie wspominając. – Wyciągnął palec i postukał nim w pierś Hondelyka. – Jak się zwała ta świątynia, gdzie składali kozy, ta... – Pomachał ręką ponagłając pamięć, by szybciej podsunęła mu odpowiednią nazwę.

– No, nieważne, wiem o czym mówisz!..

– Pamiętasz zatem, że mówiło się o ofierze z kóz, ale składało same trzewia, kopyta i łby? Jakoś nigdy nie mogłem zrozumieć, że jest bóstwo, które potrzebuje kozich flaków i rogów z kopytami do czegoś tam!

– Koźlinę zjadali mnisi i ubodzy.

– A widzisz? – ucieszył się Cadron. – O tym właśnie mówię – o targowaniu się: „Składamy ci kozy, ale sami je zjemy!”. Zaś ci tam – wskazał ręką za mury – umrą z głodu, a konia nie ruszą. – Pomarkotniał nagle. – Ja też!

– Jadłem kiedyś... – Nagle Hondelyk chwycił się za brzuch. – Oj, aż mi zaburczało. Może mają jeszcze coś do jedzenia zanim zaczniemy żuć korzonki? Chodźmy na dół, wprosimy się na wieczerzę do jakiegoś oddziału.

Okazało się, że szuka ich Rak, a właściwie znalazł, ale widząc, że schodzą na dół nie tracił sił na wspinaczkę, czekał na dole przyjaźnie uśmiechnięty.

– Asanseel nasz kazał zaprosić waszmościów na wieczerzę, skromną... – Westchnął i odruchowo pomacał się po brzuchu, nawet zerknął w dół: ile dziurek w pasie trzeba będzie dorobić? – ...ale innych tu nie ma. Magazyny puste, trochę obroku dla koni, dla tego tuzina wystarczy. Trochę tabaki, co to została po ostatnim kupcu, jaki się przez most przeprawiał, gdy woda go zmyła. – Markotnie popatrzył na przyjaciół. – I tyle.

Zerknął w górę najwyraźniej polecając się opiece któregoś z bogów. Nic się jednak nie wydarzyło więc odchrząknawszy z rezygnacją wskazał drogę, ulokował się przy boku Cadrona i ruszyli razem w kierunku bastionu czołowego. Przy fundamencie jego muru usadowił się solidny budynek, z którego część drzwi wychodziła na bramę i który pewnie w dobrych czasach pełnił rolę komory, w której pobierano myto, druga część, ozdobiona konowiazami i kratami w oknach musiała być siedzibą warty i małym podręcznym aresztandaumem dla opornych czy niebezpiecznych podróżnych. Teraz, sądząc po siedzącym na konowiazie asanseelu, łuskającym słonecznik i popluwającym regularnie i ze złością we wszystkie strony, mieściła się tu siedziba dowódcy garnizonu i – chyba – koszary głównych jego sił. Tugryba popatrzył na nich, mierzył wzrokiem zbliżających się, ale nie uśmiechał na powitanie, zeskoczył tylko na ziemię, gdy podeszli blisko.

– Czym chata bogata... – mruknął nie kryjąc, że zmusza się do zachowania dobrych manier. – Zapraszam waszmościów na kolację.

Zapewne najpierw chciał powiedzieć coś o skromnych progach, o ubogim jadłospisie, o przykrości, z jaką dzieli się tak skromnym posiłkiem, ale w ostatniej chwili machnął na wszystko ręką i po prostu zaproponował wspólne zjedzenie posiłku. Wszedł pierwszy do aresztandaumu, poczekał aż goście podejda do stołu i szerokim gestem wskazał stół. Ruch był, jak pomyślał Hondelyk, nadmiernie szeroki, jeśli się wzięło pod uwagę czego dotyczył: na stole leżało pół gomółki sera, nie pierwszej świeżości, cały bochen chleba i dwie piętki, garniec z mętnym ogórkowym rosółem, w którym być może pływał jeszcze jakiś.

I to wszystko.

Przyjaciele wymienili spojrzenia.

– Jeśli wać pozwolisz – przyniosę co mamy w swoich sakwach – zaproponował Hondelyk i ruszył do drzwi.

– Może nie? – odezwał się Tugryba. – Ja mam zwyczaj dzielić się z załogą wszystkim co złe i co dobre. Chiba dla was lepiej będzie...

– Nie zamierzasz nas chyba obrazić? – przerwał mu Hondelyk od progu.

Tugryba otworzył usta, ale nie odezwał się. Hondelyk wyszedł, Cadron obszedł stół i odsunawszy zydel usiadł, ale nie dotknął ani chleba, ani sera. Asanseel posapawszy podszedł do okna zaczął wyglądać na pustą ulicę.

Gdzieś zza murów dobiegało niesłabnące wycie Ghouranie.

Wychylony przez krenelaż Hondelyk przyglądał się mostowi, co i rusz zerkając w kierunku Ghouranie, czy aby któryś z łuczników czy łucniczka nie zamierza zrobić sobie z niego trofeum. Pod spodem, w okalającej Strzebrzycę, wykutej w skale fosie płynęła mocna

burzliwie sfalowana struga wody, sztucznie wywołana odnoga rzeki Zadry. Mocny nurt skutecznie pomagał obrońcom twierdzy na nice wywracając wszystkie próby przystawienia drabiny czy wdrapania po hakach na mury. Zostawał jeden jedyny punkt, co do którego i obrońcy i atakujący mieli podobne zdanie – brama. Nieszczęsny most, gdyby był podniesiony, nie dałby najmniejszych szans Ghouranie, niestety, gdy był spuszczone pozwalał im mieć nadzieję na sforsowanie bramy i ją atakowali aż nazbyt – zdaniem obrońców – chętnie. Gdyby nie ostry nurt dziesiątki, a może już setki ciał leżałoby pod mostem gnijąc i wabiąc muchy, woda jednak unosiła zwłoki i rannych i tylko na moście leżały ciała, a czasem ktoś się poruszył, wywołując w obrońcach przemożną chęć dobicia. Tylko stanowcze rozkazy asanseela przeszkadzały w zrzucaniu na każdego rannego kawałka kamienia czy polewania rozgrzanym w kotle olejem. Przerwawszy obserwację Hondelyk odruchowo popatrzył jeszcze w stronę śluzy, która kierowała wodę do rowu i podziękował opiekuńczym bóstwom, że nie pozwoliły dzikim odciąć rzeki od dodatkowego koryta. Tam siedzieli najlepsi łucznicy, którzy skutecznie, jak dotąd, nie pozwalali Ghouranie nawet zbliżyć się do śluzy, a co dopiero zaatakować ją i zasypać ujście.

– Tylko brama – mruknął do siebie.

– Coś mówiłeś?

– Powtarzam sobie: „brama”, żeby nie zapomniał o czymś ważnym.

– Aha.

– Brama – powtórzył Hondelyk nie zwracając uwagi na ironiczny ton przyjaciela. – Złamaliśmy cztery tarany, jeden dziennie, ale im to nie przeszkadza. Właśnie przysposabiają nowy, nawet się z tym nie kryją i jutro znowu wyjąc wniebogłosy pognają na nas, a my już kłapaczek nie mamy, zostały tylko kamienie, olej i trochę ółowiu do polewania taranierów...

– Żeby tak mieć... – rozmarzył się Cadron – tę, wiesz, mieszaninę, co to ją Facentorill przygotowywał. Takim garncem z tą berbeluchą jakby się pizło w gromadę dziczy, jakby hukło, w cztery dupy ich mać, jakby szmaty, strzepy i strupy poleciały we wszystkie strony...

– Dobrze jest pomarzyć, a ty zwłaszcza pięknie niektóre myśli wywodzisz i odmalowujesz, ale Facentorill, o ile pamiętam, sam się w strzepy zamienił, kiedy piorun w jego wieżę huknął i jego garnce, jak to barwnie ująłeś, pizły w niebo!

– No tak – niechętnie zgodził się Cadron. – Ale jak sobie wyobrażę dzikich, jak się rozlatują na moście, jak...

– Stój! – syknął nagle Hondelyk. – Stój–stój–stój–stój–stój–ssstój... – zamamrotał utkwivszy ślepe spojrzenie w ponurym szaro–sinym niebie nad głowami. – Na moście... Na moście. Rozlatują? Roz–ła–tu–ją...

Okręcił się na pięcie i chwycivszy za brodę szarpnął ją kilka razy we wszystkie strony. Mruczał coś do siebie postukując niecierpliwie czubkiem buta w mur. Potem, ciągle obserwowany uważnie przez Cadrona i kilku żołnierzy, zamarł w bezruchu, by w końcu podnieść głowę i popatrzeć na przyjaciela szeroko otwartymi oczami i z rodzącym się uśmiechem na ustach.

– Mam – oznajmił. – Wychylił się konspiracyjnie w stronę Cadrona. – Naprawdę mam pomysł!

– Mianowicie?

– Mianowicie powiem wieczorem, przemyślę wszystko i podzielę się z tobą pomysłem. Potem powiem, co trzeba asanseelowi. – Zerknął na druha. – Może uda się nie wtajemniczać go we wszystko, mam taką awersję... Co?

– Postaramy się.

Obaj popatrzyli w niebo, ocenili czas. Do wieczora zostały dwie godziny, spędzili je obaj na murach, Hondelyk zamyślony wpatrywał się w obóz Ghouranie, zapamiętywał coś, posykiwał, pogwizdywał i kiwał do jakichś swoich myśli głową; Cadron gryzł dolną wargę,

dusiła go ciekawość, ale duma nie pozwalała zapytać. Duma i rozsądek, bowiem Hondelyk nigdy nie dzielił się wstępnymi planami, a dopiero gotowymi.

Wieczorem na niebie pojawiły się czerwono-rdzawe smugi, żołnierze sprzeczekali się czy znamionują zmianę pogody czy ingerencję bóstw, a jeśli tak to jakich. Ghouranie niemrawo, jak na nich, wyśpiewywali obelgi? obietnice? propozycje? Jak zwykle część wojowników i wojowniczek odpoczywała lub tańczyła, druga część urządziła gonitwy wzdłuż murów. Co jakiś czas któremuś z łuczników udawało się trafić jeźdźca lub konia i wtedy na murach wybuchał radosny ryk, pudło wywoływało radosne pohukiwania ze strony oblegających. Nieduża grupka skupiła się wokół potężnego kłosa, który rano pojawił się w obozie i najwyraźniej był szykowany na poranny szturm. Nad bramą Strzebrzycy krzatali się żołnierze gromadząc kamienny gruz, napełniając kotły i układając pod nimi wiązki chrustu i szczapy – wynik porąbania kilku drzwi w odległych od bramy budynkach. Kiedy Hondelyk z przyjacielem zbliżył się do bastionu asanseel właśnie wręczał garmatnikom dwa woreczki z bezcennym prochem. Kątem oka zobaczywszy zbliżającą się parę posłał im znaczące spojrzenie, ale nie odezwał się ani słowem.

– Czy znajdziesz waść kilka chwil dla nas? – zapytał Hondelyk udając, że nie zrozumiał wagi czynności kanonierów, którzy przytulając do piersi natłuszczone sakwy udali się do szczelnych kryjówek, by tam sprawdzić proch i ewentualnie spróbować go podsuszyć przez noc. – Mamy pewną myśl, którą chcielibyśmy się podzielić.

Tugryba rozejrzał się dokoła, skinął głową i bez słowa skierował do schodów. Zeszli w milczeniu na dół i skierowali się do aresztandaumu, weszli do środka i rozsiedli się. Komendant odruchowo zaczerpnął powietrza i nagle zamarł z otwartymi ustami, poczerwieniał na twarzy. Biedak chciał zawołać na pacholka, by przyniósł wina i przypomniał sobie, że już nie ma, zrozumiał Cadron. Szybko sięgnął pod poję kaftana, gdzie zmyślny krawiec przyszył mu kieszeń na różne ciekawostki, wyjął piersiownik, odszpułntował.

– Za pomyślność jego pomysłu – podał Tugrybie plecioną skórą flaszę i gestem zachęcił do toastu.

Asanseel ostrożnie przyjął naczynie, z nabożeństwem w oczach podniósł do ust i przezornie powąchwawszy rozjaśnił oblicze i solidnie pociągnął.

– Och!.. – zdołał wykrztusić odstawiwszy naczynie, z pewnym żalem przekazał je Hondelykowi mówiąc: – Zaczności wielkiej trunek, szkoda, że dopiero...

Zmarkotniał i umilkł.

– Zdrowie tego, co wytwarza i częstuje – szybko powiedział Hondelyk unosząc flaszę. – Naszego drogiego przyjaciela Olaczka...

– Olkacza – poprawił go odruchowo Cadron.

– Olkacza – zgodził się Hondelyk. Pociągnął również tego, przekazał naczynie. – Ale nie to chciałem rzec. Jeśliś waćpan chciał powiedzieć, że dopiero przed śmiercią udało się napić zanej olczakówki, toś się pośpieszył, prawda? – skierował pytanie do chuchającego po łyku Cadrona.

– Olkaczówki, zapamiętaj wreszcie – wychrypiał. Po odchrząknięciu – zgodnie z wcześniejszą umową – przejął na siebie ciężar dalszych wyjaśnień: – Mój druh był znakomitym komediantem, czołowym na dworze cesarza Geina. Potem znudziło mu się siedzenie na jednym miejscu, porzucił naprawdę słodki kawałek chleba i odtąd tuła się po świecie, od jakiegoś czasu ze mną. Tak sobie wędrujemy i... – umyślnie zawiesił głos i nie dokończył. – Nieważne. Ważne jest co innego – mamy taką myśl: gdyby ktoś się przedarł do dominiona, to, jak waść myślisz: przyśle taki oddział, żeby zaszpułntować dzicz w tej kotlinie?

Tugryba wykrzywił twarz, ale jednocześnie pokiwał energicznie głową.

– Zatem problem jest tylko w wydostaniu się ze Strzebrzycy, bo na te kloce z wiadomościami za bardzo już nie liczymy, prawda?

Asanseel znowu pokiwał głową, wcześniej jego spojrzenie co i rusz muskało trzymaną przez Cadrona flaszkę, teraz przestał obliżywać wargi, wpił się oczami w usta Cadrona. I chłonął pachnącą nadzieją słowa.

– Otóż mamy taki plan. Gdy zacznie się szturm bramy oddział duży musi wypaść na nich, wyciąć część, część ogłuszyć, to ważne – ogłuszyć! Mój druh szybko przebierze się w szmaty jednego z tych drani i wróci z rannymi do obozu. A tam... Tam to już musi być uciec jakoś i powiadomić dominiona.

– Eeee... – zachrypiał Tugryba.

Cadron podał mu flaszkę, ale asanseel dość długo i dość tępo wpatrywał się w blat stołu trzymając naczynie zanim wolno podniósł je do ust i łyknął wyjątkowo płytko.

– Eee – powtórzył. Uświadomił sobie, że trzyma w ręku flaszkę, oddał ją Cadronowi. – Ja tam nie widzę tego planu – przyznał szczerze. – Jak ich wytłuczemy, tak, żeby nie wszystkich? Jak się uda waści? Jak przebić się przez te tłumy? – wzruszył ramionami.

– To już są szczegóły – oświadczył Hondelyk. Wyciągnął rękę i przejął trunek. łyknął szybko, otarł wargi. – Mamy jeszcze parę pomysłów, które ułatwią nam zadanie – dodał zwracając naczynie. – Problem, który miałbyś, panie, rozwiązać to dobrzy łucznicy i kusznicy na bastionie, którzy najpierw nie dopuszczają odsieczy, a potem, gdy ranni będą wracać z kolei nie trafią nikogo, choć szyc będą gęsto. Następnie trzeba by czymś odwrócić uwagę dzicy – nie przyszło nam do głowy nic prócz dwóch–trzech strzałów z garmatek w kierunku ich wodza, do tego kilka tuzinów zapalających strzał w obóz. I jeszcze jakies trąbienie z murów, słowem wszystko, co skieruje ich uwagę tam, gdzie my będziemy chcieli. Ja w tym czasie wkręcę się w obóz, przedostanę do koni i postaram wymknąć.

Dowódca zastanawiał się długą chwilę, w końcu wymruczał: „M–uuu–ch”, wolno pokręcił głową.

– Jeśli chodzi o mnie, to dwa strzały mogę odżałować, zrozumcie – spod serca sobie odrywam. – Odpowiedziało mu podwójne kiwnięcie głową. – Co do łuczników – machnął ręką. – Co tu gadać – moje chłopcy będą trafiać i chibiać na rozkaz. Trąbić możemy też ile chcecie, ze trzy tuziny strzał z nożnych łuków im się pośle. Ale... – Teraz pokręcił głową energiczniej i zaczął wyliczać wątpliwości prostując palce: – Ale tego, żebyś waść dostał się do nich, uciekł z obozu, nie dał się rozpoznać i dotarł do dominiona...

– To już mój problem!

– Bez wątpienia!

Zamyślił się i pograżony w dumach wyciągnął rękę po flaszkę, Cadron szybko podał mu i odebrał, gdy pociągnąwszy długi serdeczny łyk odetchnął z wdzięcznością.

– Nie śmiałbym żołnierza żadnego namawiać do takiej wyprawy – powiedział w końcu. – Każdy woli umierać w kompanii, a co dopiero dać się złapać dzikim .

– Każdy – potwierdził poważnie Hondelyk. – Ja też, dlatego gdy usłyszę wezwanie Mistrza Skonu – zostanę w kompanii. Teraz jeszcze nie moja kolej.

Tugryba zrobił minę: „No–no!”, potem uśmiechnął się i szybkim spojrzeniem trafił flaszkę. Cadron stłumił uśmiech, podał naczynie przyjacielowi. Hondelyk łyknął odrobinę.

– Jeszcze tylko detal – potrzebujemy trochę tej tabaki – powiedział.

– Ta–ba–a–aki?

– Tak, podobno macie jej trochę w jakimś magazynie.

– Mamy – tak. Trochi – nie. Mamy jej mnóstwo, każdy bierze ile chce.

– No to dobrze. My też weźmiemy.

W piersiowniczku zostało trunku akurat na jeszcze jedną kolejkę, po której Cadron wytrząsnął z niego ostatnie krople i zaszpuntowawszy schował do kieszeni. Tugryba poderwał się i odchrząknął raźnie:

– Poza otwieraniem bramy możecie waszmościowie robić w Strzebrzycy co chcecie. Rano będę na bastionie, łucznicy i kusznicy też. Wszystko będzie gotowe, i oddział na dole też.

Wszyscy wstali. Hondelyk skłonił głowę w kierunku asanseela:

– Dziękuję. Rano wszystko dopniemy, bo to zależy od tego, kiedy oni zaczną szturm na bramę. Dlatego warta musi być przygotowana – najmniejszy ruch z taranem – od razu wezwać nas. To bardzo ważne: w chwili ataku musimy być z drugiej strony bramy.

– Tak będzie! – zapewnił Tugryba.

Poprawił pas, klepnął się po brzuchu, jakby wychodził na dwór po tęgim posiłku i wymaszerował z aresztandaumu. Wyszli za nim śladem i po chwili znaleźli się na kwaterze. Cadron usiadł przy stole i postukał opuszkami palców w blat.

– O której zaczniemy?

– Koło północy?.. Jak się trochę pośpią. – Hondelyk ziewnął i przeciągnął się.

– Dobrze. To do północy możemy pokimarzyć?

– Jasne. Już prosiłem Raka, żeby nas obudził.

– Ty to o wszystkim myślisz!

– A tak, nawet o chustach na nosy!

– To się spokojnie kładę.

– No, chyba się zacznie – zataił dłonie asanseel. Odsunął się od muru i uważnym spojrzeniem obrzucił zgromadzonych na górze żołnierzy. – Tu mamy obrzucić ich nieszkodliwie kamieniami i nie lać, tak? – sprawdził jeszcze raz dyspozycje Hondelyka, któremu od rana przekazał władzę w twierdzy. – Wy na dole wypadacie i tłuczecie ich jak się da, a potem, podczas ucieczki tych pobitych, mamy ich straszyć niecelnymi strzałami?

Zapytany potwierdził polecenia ruchem głowy, od chwili gdy taran został ułożony na kołach nie odrywał odeń wzroku, jak Cadron sądził – usiłował już teraz wybrać dla siebie któregoś z atakujących. Sam też długą chwilę szacował zgromadzonych przy taranie Ghouranie, obwieszonych tarczami, w wysokich ostro zakończonych szyszakach, w końcu postanowił zająć się raczej organizacją wypadu i poinformowawszy o tym Hondelyka zaczął zbiegać na dół. W połowie pierwszego marszu schodów zatrzymał go okrzyk asanseela, Tugryba dogonił go i poufale położył rękę na ramieniu:

– Uważasz to waćpan za dobry pomysł?

– Nie mamy lepszego, więc ten jest dobry.

– Czy ja dobrze rozumiem: obrzuciliście w nocy most wilgotną tabaką i myślicie, że teraz, kiedy wyschła, załamię się atak dzikich, a wy wyskoczycie i wybierzecie jednego podobnego, którego druh waszmości zastąpi?

Cadron skinął głową.

Asanseel pokręcił głową: – A język? Przecież go nie zna? – Cadron skinął głową. – A jeśli ten ich wódz postanowi odjęciem głowy ukarać tych, co nie wyłamali bramy? – Cadron wrzucił ramionami. – Albo ich żony poderzną im gardła, by zmyć skazę na honorze? Dyc nie znamy wszystkich obyczajów tej dziczy?

– Na razie nie karali śmiercią...

– Ale to dzikie!

Cadron uśmiechnął się z przymusem, położył również swoją rękę na ramieniu Tugryby.

– Ja by też nie puścił przyjaciela, gdybym choć trochę potrafił udawać innych jak on. Ale nie – ja mogę udawać tylko siebie, a on, zaręczam, bo widziałem to po wielokroć, robi to tak, że matka może nie odróżnić jego od własnego syna. No i poza tym – nie mamy innego

planu, codziennie tracimy po kilku żołnierzy i po kilka garści spyży, czas biegnie i nie do nas się uśmiecha...

Zadudniły schody pod czyimiś szybkimi lekkim krokami, z góry zbiegał Hondelyk, przebiegł obok, syknął, że dzicy ustawili „jeża” i zaczynają maszerować na bastion. Cadron ścisnął na pożegnanie ramię asanseela i pobiegł za Hondelykiem na dół. Czekają tam trzy tuziny dziwnie uzbrojonych żołnierzy – każdy ścisnął w rękę pałę z bukowego drąga, krótkie miecze, sztylety i cała śmiercionośna broń – buzdygany, morgensterny, topory, przytroczona została do użytku jedynie w razie zagrożenia własnego lub towarzysza życia. Każdy z żołnierzy miał na szyi szmatkę z czterema troczkami, zwilżoną i zawieszoną, tak by zasłaniając usta i nos osłoniła przed kurzawą z tabaki. Hondelyk przebiegł przed szeregiem, cicho przypomniał, że mają głośzyć, zwłaszcza wysokich i szczupłych, zabitych wrzucać do wody...

– ...Macie to robić tak, by dzicy niczego nie podejrzewali. Machajcie toporami, udawajcie rannych czy nawet – jeśli się da – zabitych, potem się przeczołgacie za bramę. Czy ktoś nie rozumie co mamy zrobić? Lepiej się przyznajcie, to nasza jedyna szansa ocalić głowę, nie chcę, by jakiś gamoń ją zmarnował?..

Odpowiedziała mu cisza i kilkadziesiąt mocnych spojrzeń wbitych w jego oczy. Skinął głową.

– No to czekamy – dwoma ruchami ręki rozesał obie części oddziału na dwie strony, pod osłonę murów. Odwrócił się do Cadrona. – Wiesz co? – powiedział cicho. – Dobrze, że wczoraj pogadaliśmy chwilę o xameleonie. Zawsze chciałem... Zawsze chciałem dokładniej sprawdzić, co też potrafię oprócz tego przedzierzgiwania się w cudze postacie, czy mogę więcej wylapywać cudzych myśli, cudzą pamięć, czy potrafię przekazywać swoje... Ale zawsze odkładałem to na później, na starość może. Ciągłe coś innego było ważniejsze...

– Szukasz kogoś? Prawda? – Hondelyk milczał. – Chcę wiedzieć, powiedz: przez cały czas wędrujesz, szukając jakiegoś śladu?

W końcu Hondelyk z ociąganiem skinął głową.

– Pogadamy... – przerwał i szybko obejrzał się w poszukiwaniu źródła przeciągłego głośnego syku. Jeden z obserwujących przez małe okienko w okutej grubymi sztabami bramie. – ...kiedyś później.

Podeszli pod samą bramę i wyjrzeni. Ponad upstrzonym brązowymi plamkami i grudkami mostem spojrzenie biegło dalej aż trafiało na ociosany koniec grubego kloca, który miał służyć za taran. Po obu bokach migotały gołe nogi popychających kołowy taran dzikusów.

– Nie widać stąd, ale chyba same kurduple – mruknął z zawodem Cadron.

Hondelyk wciągnął dolną wargę i posykiwał przez zęby. Czekali jeszcze chwilę, a potem szturmujący, niemrawo ostrzeliwani w ułożone na ramionach i plecach tarcze, dotarli do mostu i nagle dziko powizgując runęli z całych sił naprzód. Cadron z Hondelykiem odskoczyli od okienka i zatrzasnęli grubą klapę. Chwilę później całą bramą wstrząsnęło potężne uderzenie. Dzicy coś zajazgotali, najwidoczniej cofali się, by wziąć rozpęd. Nasłuchujący w napięciu obrońcy usłyszeli najpierw rwący się wrzask, potem jedno głośne kichnięcie, potem wrzaskliwe drugie. Któryś z żołnierzy trącił towarzysza w ramię, inny obserwujący przez szparę taranierów zamachał radośnie ręką. Zza bramy dobiegło jeszcze kilka głośnych kichnięć i kilkanaście wściekłych głosów zajazgotało na wypródki. Hondelyk szybko założył chustkę na nos i ponaglił obszernymi ruchami maruderów, odczekał kilkanaście uderzeń serca i dał znak czekającym przy kołowrotach osadom. Kołowi napaarli piersiami na szprychy, łańcuchy napięły się, wyprężyły, poruszyły dźwignie. Hondelyk przysunął się bliżej miejsca, gdzie za chwilę miała rozszerzyć się szpara, zza grubych wierzei słychać było całe salwy piskliwych kichnięć i cienkie wrzaski nie wiadomo czy dowódców usiłujących zaprowadzić jakiś ład w szeregach czy samych żołnierzy przeklinających ataki kichania. W szparę bramy runął Hondelyk, za nim jakiś żołnierz

odepchnąwszy Cadrona, wreszcie on sam i pojedynczo, a potem podwójnie – reszta oddziału w chustach na twarzy.

Taran stał otoczony kilkudziesięcioma postaciami w skórach i wełnianych burnusach, z rzadka mieli zapinane na plecach kamizele nabijane na piersiach ćwiekami. Na widok wypadających z rozwartej bramy obrońców Strzebrzycy kilku uniosło krzywe szable, ale wszyscy byli wstrząsani nieopanowanymi spazmami. Nie mogli się bronić, przez zażawione oczy najczęściej nie widzieli pałki opadającej na głowę. Tylko pojedynczym żołnierzom nie udało się ogłuszyć z marszu swojego przeciwnika. Z trzydziestu kilku dzikich taranierów w mig zginęło ośmiu czy dziesięciu.

Hondelyk rozejrzał się szybko dokoła.

– Ciała do wody! – wrzasnął. – Migiem! Gdzie jest ten taki wysoki?

– Tu mamy takiego – krzyknął ktoś. – Gryzie, padalec.

Za zmartwiałego tarana wyłoniła się grupa żołnierzy wlokących dziko szarpiącego się dzikusa, kilka kroków przed Hondelykiem, gdy – Cadron widział to wyraźnie – wpił się on spojrzeniem w człowieka, którego zamierzał udawać, jeniec nagle szarpnął się, wyrwał rękę i w mgnieniu oka wyciągnąwszy z za pazuchy oka cienki sztylet uderzył w bok trzymającego go żołnierza. Natychmiast inny sapnąwszy ciął ciężko, soczyście i po człaplwym mlaśnięciu głowa Ghouranie potoczyła się w bok. Zanim ktokolwiek się ruszył spadła do wody.

– Nie! – wrzasnął Cadron.

– Co się dzieje?

Z tyłu wyłonił się Tugryba i szarpnął za ramię Cadrona. Jego oczy niespokojnie penetrowały otoczenie. Odchylił się chcąc widzieć co się dzieje za taranem.

– Mamy już niewiele czasu – powiedział nie czekając na wyjaśnienia. – Dzicy jeszcze nie rozumieją co się dzieje, pohukują i miotają się w obozie, ale jeszcze nie zwołali oddziału. Ruszajmy się szybciej!

– Tu jest jeden, jak na nich – długi! – wrzasnął ktoś z boku tarana.

Hondelyk, Cadron i asanseel rzucili się w tamtym kierunku. Nad rozciągniętym ciałem stali dwaj żołnierze z zasłoniętymi twarzami. W ostrym zimnym słońcu wirowały brązowawe obłoczki tabaki. Z obozu oblegających dobiegały głośnie okrzyki.

– Do twierdzy! – polecił Hondelyk żołnierzom. Pochylił się nad ciałem. Żołnierze wykonali polecenie przeskakując ciało. – Wzrost dobry, waga – gorzej, ale to nie przesz...

Nagle zamarł i chwilę trwał skamieniały. Potem podniósł zrozpaczony wzrok na Cadrona. Tugryba niecierpliwie przestąpił z nogi na nogę. Zerknął w górę nasłuchując jakiegoś sygnału.

– No? Co się stało? Rak gwizdże, że dzicy się ruszyli!!!

– To kobieta...

– Kobieta? – Asanseel przykucnął i bezceremonialnie wsunął rękę pod połę kaftana. – A niech to zaraza! – wyjął rękę i niespokojnie popatrzył na Hondelyka. – To baby nie możesz udawać?

Po chwili dopiero padła odpowiedź, i udzielił jej Cadron:

– Przecież trzeba ją zabić, bo a nuż dostanie się do obozu i wszystko im opowie?

Przez długą ciężką chwilę cała trójka wpatrywała się w ciało.

– No to co? – Pierwszy otrząsnął się asanseel, poderwał się na równe nogi. – Trzeba to trzeba.

– Ale to kobieta!

– Dzikuska!

– Nie, kob...

– Wojownik! – wrzasnął wściekły komendant. – Może zabiła sześciu już moich!?

– Ja nie potrafię zaszlachto...

Asanseel runął na kolana i zanim ktokolwiek zdążył się poruszyć wbił swój sztylet w pierś wojowniczkii. Szarpnęła się, wyprostowane nogi wyprężyły w próżnym usiłowaniu znalezienia oparcia i ucieczki od Mistrza Skonu.

– Uciekaj stąd! – wrzasnął Cadron. Zrozumiał, że teraz wypadki toczą się po trosze jak kamienna lawina: trzeba albo uciec od niej, albo ulec, powstrzymać się na pewno nie da. – Pilnuj bramy i łuczników, by nie dopuścili dzikich!

Asanseel poderwał się i nie chowając noża pognął do bramy. Cadron zaczął zdejmować z wojowniczkii ubranie, Hondelyk wolno, z oszołomieniem na twarzy zrzucał swoje odzienie. Smagłe ciało kobiety Ghouranie wyłaniało się zwolna spod ubrania, jedna ręka ułożyła się za głową, pod pachą miała dużą kępę ciemnych włosów, Cadron niemal jęknął głośno, czując jak ogarniają go szpetne myśli; na dodatek płaskie w tej pozycji piersi nosiły ślady świeżych nocnych bezwzględnych karesów. Z wysiłkiem zdusiwszy skrupuły szarpał podtrzymujące odzienie konającej rzemienie i sznury, usiłując myśleć tylko o tym, co czeka Hondelyka. Kilka chwil później Hondelyk stał prawie nagi, ciało kobiety obnażone, oskarżające leżało u jego stóp.

– Zrzuć ją do fosy i uciekaj – wychrypiał Hondelyk.

W jego oczach czaił się szal. Cadron zamierzał coś powiedzieć, ale po raz pierwszy chyba w swej długiej znajomości z Hondelykiem uznał, że lepiej będzie się nie odzywać. Złożył ręce kobiety wzdłuż ciała, chwycił ją pod pachy i pociągnął w kierunku fosy. Spadła do rwącej wody niemal nie wywołując plusku, a w każdym razie dźwięk ten nie wyłonił się z nieustającego huk. Cadron przez ramię zerknął na Hondelyka, miał już na sobie niemal wszystkie części stroju wojowniczkii, stał tyłem do Cadrona i dlatego ten nie widział jego twarzy. Ruszył do bramy, po drodze spotkał pełznącego w jego stronę ze sztyletem w ręku Ghouranie, przemknęło mu przez myśl, że mógł widzieć szamotaninę z wojowniczką, zacisnął zęby i wbił w brzuch dziko łyskającego oczami półprzytomnego taraniera miecz. Jeszcze jeden dzikus poruszył się, dobił tego również i pognął do bramy. Gdy tylko przemknął przez wąską szczelinę kołowroty skrzypnąwszy przeciągle ruszyły w powrotną drogę, huknęły zwierające się wierzeje, głucho trzasnęły zapadające w swoje gniazda kłody blokrangów. Prześwit w bramie zniknął.

Cadron szarpnął swój kaftan, zdarł i cisnął z furją o ziemię. Nikt się nie poruszył. Podszedł do beczki z wodą, zaczerpnął pełny skórzany kubek, wypił. Zostawiając kaftan na ziemi, by leżał na niej jak częściowa wylinka powlókł się w kierunku schodów i po nich na mur. Gdy stawiał nogę na drugim stopniu schodów huknęła jedna z garmatek, potem zaraz druga, zatrzymał się i zadarł głowę, wydawało mu się, że słyszy świst potężnych strzał wypuszczanych z nożnych łuków, furkotały rozpalone kwacze na ich końcach.

Wszystko to do chrzanu, pomyślał. Hondelyk, jak go znam, nie pogodzi się z zamordowaniem na zimno kobiety, nieprzytomnej w dodatku. Dla niego nic to, że biła się jak mężczyzna? Że mogła mieć na swojej szabli krew tuzina naszych dzieci! On tego nie rozważa – kobieta to twór bogów i koniec. Żeby to obsrał byk chudy! Hondelyk by nawet mógł...

Podskoczył gdy poczuł na ramieniu czyjeś palce. Na pierwszym stopniu stał Tugryba, zacisnął wargi, ale w oczach miał winę i chęć usprawiedliwienia się.

– Ja widziałem, że cały wasz plan w ściek leci – powiedział cicho. – Wać byś jej nie zabił, a przyjaciel tem bardziej. Ja bym też tego nigdy nie zrobił, lecz gdym was dwu wahających zobaczył...

Nie dokończył, ale wiadomo było co chciał powiedzieć. Cadron mruknął coś, co asanseel powinien był wziąć za wyraz zgody. I rozgrzeszenia. Odwrócił się i poszedł do góry, słyszał ciężkie zmęczone kroki za sobą, ale Tugryba odezwał się dopiero na górze, gdy Cadron rozsiadł się na beczce, wyjął trójkątny kawałek suchara i zaczął gryźć, żeby zająć czymś

szczełki, bo inaczej groziło, że sam sobie, zaciskając je, pokruszy zęby. Komendant kiwnął się chcąc odejść, ale w ostatniej chwili zmienił zamiar.

– A gdybym powiedział, że nie wszystko mi powiedzieliście, że tkwi mi w tym planie jakiś kolec, jakaś zakawyka... – zapytał albo raczej stwierdził. – Powiedz waść tylko tak czy nie, o szczegóły nie pytam.

Odpowiedziało mu wolne skinienie głowy, asanseel z zadowoleniem sapnął, szarpnął do góry pas i cmoknąwszy wieloznacznie ruszył wzdłuż muru. Cadron uporał się błyskawicznie z sucharem, oparł łokieć na blance, a na otwartej dłoni ułożył brodę. Miał przed oczami cały niemal dziki obóz, widział dwie kępy gęstszych zbiorowisk Ghouranie – gdzie trafiły sierkawe pociski garmatek, widział dwa dogasające namioty, które udało się podpalić łucznikom. Szczególną uwagę poświęcił wylotowi z doliny, wypatrywał tam – choć sam wiedział, że to jeszcze za wcześnie – wysokiej postaci w stroju kryjącym kobiece kształty. Zresztą kręciło się tam ciągle kilkudziesięciu dzikich, być może były tam nawet strażę wymagające od wyjeżdżających jakichś paroli.

Och, nie mieliśmy czasu ani okazji, by to wszystko wyjaśnić, jęknął w duchu. Takie wszystko na łapu–capu! Bogowie, nie obrażcie się!..

Tugryba obszedł cały krąg Strzebrzycy, zawahał się, ale nie naruszał już głębokiej zadumy Cadrona, przez cały zapadający zmierzch kręcił się jednak obok. Wydawał rozkazy i wracał na górę, schodził by sprawdzić warty przy bramie i wspinał się na mury, a kiedy żołnierze zauważyli, że pokonuje schody niemal na palcach sami zaczęli zachowywać się ciszej, klęli szeptem, spluwali za mury i nie drapali murów końcami mieczy gdy maszerowali wzdłuż krenelaży chcąc rozprostować kości. Przez cały ten czas Cadron raz tylko odszedł od beczki i oddał mocz na mur. Potem zeskoczył i znowu wpatrzył się w obozowisko.

Tuż przez północą chmury zaczapowały na długich kilka chwil wąty cienki księżyc. Potem zsunęły się i pozwoliły mu oświetlić góry, dolinę, twierdzą.

Nagle ze środka obozu buchnął głośny jazgot, który chętnie i przenikliwie podchwyciły inne głosy i jeszcze inne, a potem chyba wszystkie. Wycie rozpoczęło się od okolic białego namiotu wodza, migiem dokoła rozпалиły się ogniska, na ich tle migotały, miotające się we wszystkie strony, wymachujące rękami, drące włosy na głowie, walące się na ziemię i tarzające po niej, postacie.

– Tak! – wrzasnął Cadron. – Zrobił to! – Zeskoczył z beczki i z całej siły huknął w jej wieko pięścią. Rozejrzał się dokoła szukając asanseela. – Odżałuj jeszcze dwa strzały! – wrzasnął. – Musi uciec!

– On? – krzyknął Tugryba. Przeciąwszy niekończący się jęk zza muru świdrował w uszach, zagłuszał własne myśli, co dopiero słowa. – Co zrobił?

Cadron widział, że zadaje to pytanie drżąc, by otrzymać spodziewaną upragnioną wymodloną odpowiedź. Skinął głową.

– Ja go znam! – wycedził z dumą. – Musieli mu zapłacić, za to, że zmusili do złamania jego kodeksu. Zabił ich wodza, ot co!

Tugryba zacisnął pięść i potrząsnął nią radośnie jakby kołatał do niewidzialnych drzwi przed sobą.

– Gaaar mat–niki!!! – ryknął z całej siły. – Wszystkie sześć ładunków do luf i walcie do nich. – Odwrócił się i wrzasnął w dół: – Łucznicy! Raku! Śpicie tam?!

– Dzieżby?! – odpowiedziały mu schody i coś załomotało na nich.

– Sześć ładunków? – zapytał Cadron. – Nie cztery?

– A taka tam mała tajemnica – machnął lekceważąco ręką asanseel Tugryba. – Każdy chyba jakąś ma?

W czarne niebo wpiła się ognistą smugą pierwsza strzała, za nią poszybowała druga, trzecia i całe mnóstwo następnych. Ciemność szybko i zręcznie sztukowała swoje cięte

ognistymi ostrzami mroczne fałdy i nie dopuściła do rozdarcia, ale od dołu zaczęły ją podżerać jęzory ognia wznieconego w obozie.

Przez całą noc trwały zapasy mroku z upartymi ludźmi. W końcu, po szóstym strzale, bladą luną ponad wierchami zapowiedział swoje nadejście świt.

Na murach stała cała załoga twierdzy, pod nogami walały się olbrzymie nożne łuki z podartymi cięciwami. Kopciły trójnogi z resztkami żaru, ludzie przecierali oczy i wpijali rozognione radością i nadzieją spojrzenia w wylewające się z doliny mrowie oblegających.

– Trza by pójść tam i poszukać... – nieśmiało zaproponował Tugryba.

Odpowiedziała mu cisza.

– Nie?

Cadron nie patrząc na niego pokręcił przecząco głową. Nie odrywał wzroku od zaśmieconej równiny.

– To być nie może – powiedział wyzywającym tonem. – Nie–mo–że!

07.1996

O włos od serca

Prawa dłoń chłopaka zacisnęła się na twardej spiczastej piersi dziewczyny, druga nerwowo i gorączkowo szarpała taśmy przy jej spódnicy, dziewczucha zachichotała bezbarwnie i szarpnęła się niemrawo.

– Przesz nigdzie nie pódziesz! – niby hardo, ale w gruncie rzeczy ze słyszalną trwogą w głosie zaszeptał parobek. – Leje jakby kto dziurę w niebie zrobił – stęknął napierając biodrami na krągły soczysty tyłeczek dziewczyny i – porzuciwszy szarpanie tasiemki – uwolnioną rękę usiłował wepchnąć między oba ciała. – Najlepi by było, jakby my...

– Sweryn! – wrzasnął ktoś przez wąskie poziome okno pod okapem budynku, niemal nad samą głową pary. Chłopak podskoczył, a dziewczyna szarpnęła się, zapomniała o krygowaniu i nie zwracając uwagi na ulewę pognała, zadzierając spódnicę, przez brukowane podwórze do drugiego wejścia do kuchni. Porzucony amant strzelił ładunkiem nienawiści w okienko, wsadził pamiętającą ciepły przytulny kształt dłoń w spódnicę i chwilę układał w gaciach boleśnie gotowy do rypawki członek.

– Swe–e–eryn! Żeby ci smród nogi powykręcał! – wrzasnął ktoś ponownie przez okienko.

– Ide! – syknął poszukiwany. Splunął kątem ust w kałużę, zerknął w mętne nabrzmiałe wodą zawisłe nad samym dachem niebo, wymruczał przekleństwo, które miało objąć pogodę, karczmę, dziewczynę, co to się jej, lebidzie jednej, nie chciało pobiec do stodoły, i, nade wszystko, tego durnia, co wydzierał się z kuchni stojąc na stołku zamiast zrobić co zrobić trza. – Ide!

Ocierając się rękawem kaftana o ścianę dotarł do drzwi i wszedł do głównej izby zamierzając udać, że przez cały czas wycierał podłogę z wody i zbierał brudne naczynia, bo o to musiało chodzić Brindowi. Natychmiast bystre cwane oczy Sweryna wyłapały plecy szynkarza, zadowolony rzucił się do cebra i pęku konopnych pakuł na kiju, którymi zbierał wodę, energicznie zaczął osuszać kałużę na podłodze. Spod grzywy jasnych włosów zerknął na dobrodzieja, czy widzi jego starania, a potem przypomniał sobie kształtny cycuszek i mocniej napał na kij. Szynkarz tymczasem podszedł do stojącego przy kominie stołu, przed każdym z siedzące tam czwórki wojaków postawił kufel z parującym winem, pozostałe cztery ustawił w centrum, między junacko rozstawionymi łokciami, dwoma cylindrycznymi hełmami, jednym sztyletem i misami z resztkami posiłków. Właściwie resztek nie było – zaprawione w bojach chwaty nie takim karczmom dawały radę – ich mocne zęby znakomicie pracowały na wszystko trawiące żołądki, najlepszym dowodem była scenka sprzed kilku chwil: jeden z nich rzucił pętającemu się pod nogami psu kość, białą, obżartą, wycmoktaną. Pies rzucił się na nią, przystanął, obwąchał podejrzliwie i zerknawszy z wyrzutem na człowieka: „Coś ty mi, człowieku, zaproponował?!”, wziął w zęby, ponuro powlókł się do kąta. Tam położył ją na podłodze przed sobą i westchnawszy ułożył nos na ziemi, tuż obok, jakby chciał pokazać, że stara się złowić najmniejszy, najstabszy ślad smakowitego zapachu, ale na niewiele tu może liczyć. Karczmarz stawiając na stole cztery kufle postąpił wyraźnie wbrew poleceniu, bo najhałaśliwszy z wojaków wyraźnie powiedział: „Karczmarzu, fiucie jeden, dwa razy po cztery szklanice grzanego, ale nie naraz, bo ziębną, a nam gorące potrzebne po zimnicy!”. Karczmarz jednak nie zamierzał biegać tam i z powrotem z zakichanymi szklicami, do czterech nalał gorącego wina, a do następnych czterech bardzo gorącego, niemal wrzącego – para buchała pod sufit gęsto. Gdy do izby wgramolili się dwaj następni goście, miejscowe chudziaki, przejrzyste, wonne welony wznoszące się znad bardzo gorących szklic kiwnęły się, wiotko majtnęły w bok i osiadły na oknach z płytek magmikowych, zasłaniając kompletnie widok na podwórze. Nic tam zresztą ciekawego nie było – ziąb okrutny, stała ulewa, a czasem i drobna sieczka

śnieżna w powietrzu, siekąc po pysku każdego, kto nos wyściubił na ulicę. Dlatego karczmarz nie bał się wojaków – nie podoba się obsługa? A won mi na ulicę, nocuj, mądralo w stogu, albo – w najlepszym przypadku – w stajni, jeśli ładnie poprosisz i uszczuplisz swój wojaczy trzosik.

Jeden z wojaków zauważył, że szynkarz postąpił wbrew i zaczerpnął powietrza, ale ten najhałaśliwszy, barczysty sumiastowasy chwatał ze złamanym i wbitym kiedyś w kości twarzy nosem, przez co mówił jakby miał go zakołkowany, wypił żarliwie połowę swej szklanicy i ryknął:

– Tak też i powiadam: Wiedźmin? Ni ma takiego! Dupę mam ubitą na gęsto od jeżdżenia po świecie, od kiedy pamiętam przemierzam tyn kraj i inne od brzegu do brzegu, ale nie spotkałem nikogo takiego. Chiba, że w bajkach dla dzieci albo naiwnych gamoni! Tyle wam powiem i nic mego zdania nie zmieni!..

– Wiemy–wiemy... – skrzywił się siedzący naprzeciwko wąsacza nieco chudszy, ale też wąsaty kompan. Od początku biesiady cały czas starał się przejąć głos i dowodzenie przy stole, ale nie udawało mu się – wąsaty miał mir u pozostałych dwu i rzucanymi co jakiś czas pytaniami albo pochwałami ten mir u nich podgrzewał. – Ciągłe dyskredytę na wiedźmowych kładziesz, a ja pytam: A skąd pewność twoja, krutydupku, że ten twój xameleon by mu nałożył?

– Krutydupekiem?

– Krutydupekeś!

– Ty... – Wąsacz zawahał się, pobrużdżone czoło rozjaśniło się, soczysty uśmiech rozciągnął wargi. – Ja ci powiem skond moja pewność! – Odzyskanie konwenansu przybił pięścią w stół. – Ja ci to powiem!

– Powiedz!

– A powiem!!!

– No to gadaj, a nie tylko gadasz, że powiesz!!!

Krótką chwilę w karczmie wszyscy, niemal wszyscy zastygli – bójka wsadziła czubek nosa do karczmy i łapczywie zerkała na rozgrzanych wojów. Wąsacz wypuścił powietrze i ochłonawszy warknął:

– No to słuchaj. – Zamierzał sięgnąć po szklanę i napić się, ale zorientował się, że teraz każda przerwa jest po myśli kompana i będzie grać na jego korzyść. Trącił więc tylko paznokciem w szkło i zaczął mówić: – Zychur potwierdzi – kiwnął na siedzącego z lewej, niskiego kamrata, któremu czarne włosy niemal łączyły się z gęstymi szerokimi brwiami, z powodu których wyglądał jakby dwie pijawki rozciągnęły mu się nad oczami i zerkały w dół na czubek nosa. Zychur odchrząknął skonfundowany i pytająco zerknął na mówcę. – Bylech przy bitwie na rzece Sconfolo? – Zychur z ulgą odetchnął i gorąco zakiwał głową. – No, widzicie! Jakem Malon – nie łzem!

– Nie mówię, że łżesz o bitwie pod Gruttą...

– Poczekaj! Już wszystko wykładam... Otóż jak tam było wiecie, nie? – Zazwyczaj po takim pytaniu następuje dłuższa niepotrzebna perora i tak też stało się i tym razem: – Z jednej strony, a nie była to nasza strona, stało sześć fratier pieszych, dwa skrzydła jazdy i garmatki, hłubnice, szkwery, wszytkiego po sześć i szternaście gwizdałek nabitych żelazną sieczkom na nasze jazde. U nasz było od początku dużo mniej pieszych, ledwie trzy fraterie, jazdy tyż dwa skrzydła, a artylerie – dwie garmatki, pożytku z nich jak z osy miodu. Ale co tam – tłukli my się jak trza, to i ich przewaga kapciała. I tak dzień w dzień: oni szturm – mu ich po kulach, po kulach; oni nazad – my im po plerach! I nic wiency. Rany liżemy, szzańce poprawiamy. Czekamy na dopomoge. Nima. Nastempny dzień: oni szturm, my z okopów chlast–chlast! Oni dyla, my im poślad: rdzawą posypkę z garmatek i czekamy, jako rzekłem, na posiłki. Ale, grucha–pietrucha, nima! – Teraz wojaka zrobił znaczącą pauzę, zobaczył, że miejscowi, znudzeni zimą i brakiem wieści ze świata chłoną jego opowieść jeszcze chętniej

niż chrzczone piwo, na które i tak ledwie ich było stać. Żołnierz potoczył pytającym spojrzeniem po izbie. „No i co byście zrobili na naszym miejscu?”. Prócz dwu mężczyzn siedzących w kącie nikt nie był w stanie udzielić mu odpowiedzi, a ci dwaj, pomijając że znaczniejsi, przyjezdni, to nie zamierzali najwyraźniej wtrącać się do opowieści, choć sami, popijając nie hrzaniec, a szlachetne wino, słuchali historii i nie ukrywali tego. Nawet teraz jeden pokiwał z aprobatą głową, a drugi nawet się uśmiechnął i uniósł trochę ponad stół swój kielich. – No tak to trwało sześć dni, dokładnie. Tylko tak – my ich uszczuplamy mocno, oni nas słabiej, ale ich jest pięć razy wiency, to i piontego dnia zostało ich mało, a nas wcale. Wieczorem zebrał nas dowódca, Rewer, i powiada: „– Chłopy, widać pomocy nie będzie i możemy tera albo sie w nocy wycofać i drapać stąd pieprzem posypując swoje ślady, by psy nas nie zwietrzyły, albo bedziemy sie bić do ostatka, do ostatniej całej klingi, do ostatniej nabitej garmatki, do ostatniego dechu!”. – Opowiadający wczuł się w rolę Rewera, wyprostował się, chwycił jedną ręką pod bok, drugą zakrutnął wąsa, minę miał dziarską i dowódczą. – My na to różnie, jeden kwiknoł, że pożytku z naszej walki ni ma, drugi, że siła ich, a nam pomocy się skompi... Rewer milczał i słuchał, chwile tak słuchał i coraz wiency takich sie odzywało, co już sakwy mieli popakowane. Nagle Rewer mówi: „– Wy gnoje ojscane! Wy psie fiuty w pyle wytyłane, gówna kacze takie! Już kity pod siebie i chodu? Już gotowicie pientami sobie zadki poobijać?! Srać na honor najmitów!? Plecy pokazać i żyć potem spokojnie???”. „– Ale siła ich, a nas garstka...” – jęknął który. A Rewer wychylił się w jego stronę i l–lu! go jape! Tamtego ścieno z nóg, podniósł się i ryj wyciera i nie wie – obrazić się czy potulnie żlizać smarki z juchom i tyle. A Rewer patrzy na niego i mówi: „– Lepiej w ryj dostać małom garstkom czy dużom poducho? Bo my jesteśmy dla nich garstkom!”. Jak my nie rykneli śmiechem, jak się nie zaczeni pokładać! Aż do tamtych stanowisk doszło, bo wartownicy nasi zaczęli sykać. Nagle nam, gr–rucha–pietrucha, sił doszło. I w ogóle...

Teraz opowiadający uznał, że ma już słuchaczy w garści i może sobie zaserwować mały antrakt na zaczernięcie dziobem hrzańca. Upił serdecznie, wytchnął „hu–ach!” i otarł wąsy.

– Nikt już nie zamierzał drapać stamtąd, nawet ten w papę rympnienty, taka nas ochota do bitki naszła, że jeszcze trocha, a byśmy poszli na jeich okopy już tera, w nocy. Jeszcze Rewer powiada: „– Nie było tak i nie będzie, żeby jemelcy Rewera pokazywali rzyć wrogowi! Nie miałem w oddziale ani jednej rany na dupie i mieć nie pozwo...”. A tu jeden krzyczy: „– Przesz Gacły ma taką ranę, na rzyci!”. Gacły się zacukał, to taki jakała był choć rembarz znatny, zacukał sie, wszyscy rechocom, wartownicy sykajom, bo nie wszystko słyszom, a i ruch w norach tamtej hordy sie zrobił. W końcu Gacły wykrztusił: „– Moja rana na zadzie, bom usiadł na butelkie!” No i wtedy sie zaczeno! My w ryk, Gacły wybałuchy postawił, Rewer pod wonsem się uśmiecha. No, wesoło jak w karczmie, a nie jak przed ostatniom potyczkom. A duch taki w nas... – Wojak zamilkł na chwilę i zatopił się we wspomnieniach. – Ja, pamientam, pomyślałzech: – A co grucha–pietrucha!? Ile by życia nie było, zawsze go będzie za mało, zawsze jeszcze aby przynajmniej dzionek. Jak tak, to wszystko jedno kiedy, byle nie umierać w sromie za siebie. – Sięgnął do szklanicy i dopił. – No! – Plasnął dłonią o stół. – Taki to był wieczór...

– Bardzo w nim ten twój xameleon widoczny! – zakpił ten o prymat w kompanii walczącej. Ale duch w nim wyraźnie osłabł.

– Czekaj... Mówie: wieczór. W nocy zaś obudził me ktoś na warte, tom wstał i poszedł. Jakie osiem kroków ode mnie ziewał niejaki Wadeiloni, zacny zuch. Stalim tak trochi, potem on do mnie kiwnoł i usiadł, wtedy ja stałem, potem ja usiadłem, a on stał i tak na zmianę. Przed świtem przyszedł Rewer, przycupno koło mnie, pogapilim się na ruszajoncego wroga; zbierali sie do roboty – lonty buchtowali, przesypywali proch do ciepłych kanirków, żeby podsech, ostrzyli białą broń... Rewer cóż powiedział, podniósł sie i

dostał strzałę prosto w szyję. Musiała, franca, być wystrzelona na pałę, ale trafiła go jak trza, zaraza. Zwalił się na mnie, coś mu w garle zabułgotało, kopnoł pientom ziemie i już.

Żołnierz zamrugął oczami i zamilkł. Jego palec, umoczony w kropli wina, rysował na poharatanych dnami kufli i mis drewnie blatu nieregularne mazy. Wojak najwyraźniej odfrunął na skrzydłach wspomnień i właśnie oniemiały stał nad ciałem ukochanego dowódcy. Jego kompani czekali cierpliwie; w końcu ten zadziorny chrząknął głośno. Malona wzrok odzyskał ostrość.

– Ta–ak, bracia – był Rewer, ni ma Rewera. – Uniósł kufel w górę, cała trójka karnie i poważnie uniosła też naczynia i spełniła niemy toast. – Ja, grucha–pietrucha, mało nie zacząłem ziemi gryźć ze złości. Patrze na trupa i wiem, że koniec z nami. Z Rewerem mogliśmy wstrzymać te kupy aż do ostatniego woja, a tak – wiedziałem, że zara wszyscy zaczniemy stamtąd dymać aż pogubimy obcasy. A wtedy nas ichnia jazda wysiecze, bo wiać trza było w nocy. No to się odwróciłem i chciałem pójść powiadomić kamratów, ale mnie złapał za ramię Wadeiloni, aż mi w barku chrumkneło cóż i popatrzył na mnie, ciarki mnie przeszły, on zaś mówi: „– Malon, przysiengnij na swoje życie, że tego co zobaczysz nikomu nie powiesz! No!”. Ja cóż zabełkotałem, ale on położył rękę na kordylecie i już wiedziałem, że mnie utrupi. Przysiengłem, a on wtedy pociongnoł ciało Rewera trochi w bok, dziura tam była. Złożył tam, coś do niego mruknoł i przykrył skrzydłem wózka, wrócił do mnie. Ja się patrze – grucha–pietrucha: Rewer! W ubraniu Wadeiloniego, ale Rewer! Nie wiem kiedy i jak on to zrobił, ale stoi przed mnom Rewer. Zatrzenśło mie, zimno mi i rence latajo, a on powiada: „Zamknij pysk i idziemy do boju. Potem znańdniesz ciało i pokażesz wszystkim. Jasne? I niech cie nie skusi gadanie!”. Ja już wiedziałem, że gdybym pisnoł to by mi on ten pisk urwał sztychem, to tylko cóż wymruczałem i tak było – poszlimy do do boju i tak siekli, że tamci dali w dryby–sryby. Takiej walki już później nie widziałem i nie zobacze. Każdy z nas usiekl co najmniej po dwudziestu i bylimy straszni. – Zamilkł na chwilę i w panującej od dłuższego czasu, od początku głośnej opowieści, ciszy w karczmie zgrzytnął ostro, krześliwie zębami, aż Sweryn wdrygnął się i syknął „Hułee!”. – Potem, kiedy my się otrzenśli z kurzu i starli skrzepłom juche z rąk i gąb, zobaczyłem, że Wadeiloni patrzy na mie i popycha wzrokiem do okopu. No to poszłem tam i narobiłem rabanu, że niby dowódce nam któż uszczelił... – Zapął do opowiadania nagle z wojaka wyparował. Westchnął przeciągle, siorbnał resztkę chłodnego wina, które nagle, po wystygnięciu i częściowym odparowaniu aromatu ziół zdradziło czym jest – kwaśnym cienkuszem, i z hukiem odstawił kufel.

– No i co dalej? – zapytał kompan.

– A co tam?.. – Machnął ręką niechętnie. – Popołudniu przyszła dopomoga – Wzruszył ramionami. – Grucha–pietrucha – zakończył smętnie dość.

– A ten Wadeiloni?

– Znik. – Dotknął wierzchem dłoni kufła, jednego z tych stojących w centrum stołu i powrócił od wspomnień do rzeczywistości czując chłód naczynia, podniósł zagniewany wzrok szukając karczmarza. – Hej, gospodarzu! – wrzasnął. – Miało być podane za chwile i goronce, nie? A nie takie chłodne jscyny! – Czy to na skutek wypitego już wina, czy własnej opowieści zaczął się złościć coraz bardziej. Walnął pięścią w stół i zaczerpnął powietrza. – Słyszysz tam? Nie bede pił tej bryji, co smakuje jak woda z brudnego dachu. – Karczmarz uznał za najwłaściwsze nie pokazywać się na razie na oczy wojakowi. Z drzwi, za którymi przed chwilą zniknął, nagle wypadł wygięty do tyłu Sweryn. Zahamował gwałtownie, wystraszonemu spojrzeniem obrzucił żołnierza i chwycił za kij z kępą pakuł nie zamierzając zbliżyć się i oberwać za cwane gospodarza. Jeden z żołnierzy, ten nazwany Zychurem, pojednawczo położył swoją rękę na przedramieniu Malona, ale to nie poskutkowało – wojak poderwał się i huknął na całe gardło: – Możesz to dawać tym kmiotom! – potoczył ręką dokoła – ale nie mi! – Rozpalał się coraz bardziej, zrozumiał to również karczmarz uważnie

nasłuchujący przez nieszczelne drzwi, trącił palcem pętającego się pod nogami kilkuletniego chłopca i syknął mu do ucha: „Leć po Szuta, niech weźmie swoją kłonicę!”. – Ja za dużom przeżył – kontynuował awanturę Malon wychodząc zza stołu i stając pośrodku izby – żebym się godził na takie traktowanie. Jam Malon i mam swój ho...

– Nie drzyj się waść!

Cztery słowa przecięły wrzaskliwy monolog, zaskoczyły i oszołomiły Malona. Kłapanął zuchwą z dźwiękiem „tłap” i potoczył wzrokiem dokoła. Przy odległym stole, gdzie siedzieli dwaj znaczniejsi goście, jeden z nich nawet – przypomniał sobie Malon – chwilę wcześniej wymienił z nim bezgłośny toast, ale teraz, gdy żołnierz się rozjuszył, ten właśnie postanowił utrzyć mu nosa. Był nieco starszy od towarzysza, tak samo jak kamrat szczupły i w czymś podobny do krzemienia. Malon przypomniał sobie, że kilka chwil temu pomyślał sobie, że z takim nie chciałby zadzierać, taka była od niego pewność siebie i aura, oznajmiająca, że ta pewność nie jest błagą ani bezczelną zuchwałością. Teraz jednak, zamroczony cienkim, ale jednak winem i złością, a także przeświadczony, że każdy jego ruch i krok jest pilnie obserwowany przez towarzyszy, musiał – jeśli nie chciał stracić miru – postawić się nieznanemu.

– Nie bedziesz mnie uczył jak mam się wieść...

– Nie tykaj, waść, bo ja cię nie tykam – przerwał znowu nieznanomy.

– A ty mnie nie ucz! – wrzasnął co tchu w piersiach Malon. – Jam zdawna uczony!

– Honorem frymarczyć też? – zapytał spokojnie tamten wyczekawszy, kiedy tracący dech Malon znacznie wciągać powietrze.

– Ja?

– Z waści opowieści wynika, że dałeś słowo nie opowiadać o tym Wadeilonim. – Mówiący miał minę „Wszak nie ja to mówiłem”. – A opowiedziałeś...

– Wadeiloni nie żyje, to mnie zwalnia z przysięgi! – ryknął Malon.

– Bzdura – rzucił lekceważąco adwersarz. – Miesiąc temu go widziałem. – Westchnął, wstał i oparłszy czubek spoczywającego jeszcze w pochwie, długiego cienkiego miecza o podłogę tuż obok stopy, a nasadę dłoni na jajowatym zakończeniu rękojeści rzucił cicho, ale dobitnie: – Co do xameleona też waść łżesz. Nie ma takiego. Jego towarzysz oderwał wzrok od ściany, w którą leniwie się dotychczas wpatrywał, rzucił mu lekkie pytające spojrzenie przekrzywiając głowę w bok i do góry. Zaraz potem odsunął się nieco od stołu i po raz pierwszy popatrzył w kierunku Malona. Jego wzrok ominął jednak purpurowiejącego żołnierza, a musnął pozostałych trzech. Wszyscy, choć byli niepiśmienni, przeczytali w nim wyraźnie: „Nie wtrącajcie się”. Zychur i drugi, który ani razu się jeszcze nie odezwał opuścili wzrok, trzeci, który sprowokował opowieść Malona zawahał się, ale też odwrócił spojrzenie. Malon oblizał wyschnięte wargi, potoczył rozbieganym spojrzeniem dokoła, kmiotkowie siedzieli na półdupkach gotowi w każdej chwili salwować się ucieczką z placu boju. Z tyłu nie dochodziły żadne napawające otuchą odgłosy, Malon zrozumiał, że będzie stawał sam. Przełknął ślinę tak głośno, że śpiący pod stołem pies obudził się myśląc, iż to kawał ochłapu wpadł do miski z polewką. Rozczarowany podszedł do Malona i bezczelnie obwąchał mu portki, dopełniło to czary goryczy żołnierza. Odwrócił się i wymierzył psu potężnego kopa, zaprawione jednak w takich opałach psisko zręcznie odskoczyło w bok, a siła potężnego zamachu obróciła wojakiem, podcięła mu nogę i cisnęła o podłogę. Któryś z miejscowych odważył się zachichotać, dołączył drugi i reszta. Malon poderwał się wściekły i splunawszy na podłogę, pogroziwszy pięścią najbliższemu wioskowemu wypadł z izby. Natychmiast pojawił się karczmarz, przebiegł przed siadającym już mężczyzną kłaniając się i bormocząc coś pod nosem dopadł stu wojów i uśmiechnawszy się przymilnie zgarnął wszystkie kufle, także i te napełnione chłodnym już teraz winem.

– Chciałeś się poruszać? – zapytał cicho ten ze szlachetnych gości, który się nie odzywał.

– Coś ty, Cadronie, przecież wiesz, że nie uznaję machania mieczem za zabawę. Jeśli jest wyjęty to po to, by zabić. – Zapytany usiadł odstawiając miecz pod ścianę. Pochylił się i powiedział: – Nie chcę, by rosły i w ogóle krążyły opowieści o xameleonie. To mi utrudnia życie, a z czasem może wręcz uniemożliwić prowadzenie starego zajęcia. Wiesz, nasłuchawszy różnych dumnych opowieści, ludziska zaczną się wzdrygać na sam dźwięk tego słowa, albo i zaczną wręcz na mnie polować.

– Przesadzasz.

– Może.

– Nie może, a na pewno, Hondelyku.

– No dobrze – może trochę.

Cadron zachichotał. Przeciagnał się.

– Ale i tak nie wiem dlaczegoś się tak na tego biedaka zawziął?

– Bo to nie całkiem tak było, to raz. Po drugie, jego tam nie było. Po trzecie... – Przerwał i popatrzył z podziwem na przyjaciela. – No i omal byś mnie zmusił do przyznania, że chciałem się poćwiczyć z tym bufonem. – Trącił pięścią ramię współtwórcy, pokręcił głową. – Idziemy? – Rzucił na stół monetę i popukał palcem w drewno blatu. – Gospodarzu, dzban tego samego na górę.

Pierwszy wyszedł z izby, gdzie natychmiast rozpalila się dyskusja o zaistniałej przed chwilą sytuacji. Uczestnicy zgodni byli, że ów pan, co tak usadził Malona, posiekałby go na plasterki grubości płatków róży. Natomiast czy opowieść żołnierza miała prócz uroku męskiej bajdy jakieś walory historyczne – tu zgodności nie było. Zresztą, po wyjściu wojaków, co nastąpiło po chwili, gospodarz dbał o to by spór nie wygasł i przynosząc kolejne garnce cienkusza brał stronę tej grupy, która aktualnie przegrywała w dyskursie. Dzięki temu wieśniacy spierali się wciąż równie gorąco, i musieli – co dziwne – chłodzić się gorącym winem.

– Deszcz zimny jakby już była jesień – powiedział Cadron popukując paznokciem w nieźle wykonaną szybkę z magmiki. Ktoś końcem sztyletu wydrapał w usztywnionej błonie „Byłem tu. Aordenik”. – Może niepotrzebnie rozpowszechnia się naukę pisania – rzucił w powietrze. Odwrócił się i zobaczywszy, że przyjaciel marszczy czoło próbując zrozumieć co ma na myśli wskazał palcem napis, a Hondelyk pokiwał głową „Widziałem”. – Można by sobie wyobrazić czasy – otrząsnął się – brr!, kiedy każdy będzie pisał i czytał i na każdym wolnym kawałku muru coś będzie stało. Wyobrażasz sobie – tu: „Selma to dziwka”, tam: „Karponos się gzi z żoną grodarza”, a jeszcze gdzie indziej: „Chętni spuścić gluty parobkom z karczmy *Pod Obcasem* – zbieramy się jutro o zachodzie słońca”.

– Pokręcił głową dziwiąc się własnym spaczonym myśłem. Podszedł do stołu, potracił kostki, ustawivszy wszystkie siedem w szereg popatrzył kuszaco na Hondelyka: – O najbliższe czyszczenie koni?

– A idź! Przecież wygrasz, to wiadomo.

– Czasem przegrywam.

– Jeśli nawet tak, to nie ze mną.

Hondelyk rozparł się wygodnie na krześle, zmrużył oczy i wpatrywał się w kości usiłując wpytać je jaki też mają dzisiaj humor i komu będą służyć. Sięgnął do naszytej pod połą kaftana kieszeni i wyjął kilka przedmiotów, które zatrzymał w garści, a dłoń oparł na stole.

– Zagrajmy po prostu jak uczciwi ludzie – o pieniądze.

Cadron prychnął pogardliwie.

– Co to jest „uczciwa gra”? – zapytał pełnym różnych odcieni tonem.

– Mówisz jak człowiek stojący nad pijaną, ale piękną ladacznicą – nie tając niezdrowego zainteresowania i jednocześnie wielkiej pogardy.

– Krótko mówiąc – o pieniądze grając nie mogę oszukiwać czy sięgać do wszelkich dostępnych środków, to nie honor. Ale grając o co innego!.. – zatarł dłoń.

– A–a–a tam... – Hondelyk rozprostował palce, na stole ułożył się rulonik ze sztywnej skóry, w którym spoczywał niezły kapitalik, ze czterdzieści rekli, sprzączka z przysiodłowej sakwy i płaskie ciężko połyskujące ciepłopurpurową barwą płaskie puzderko. Cadron szybko wyciągnął palec. Właściciel odgrodził przedmioty od ciekawskiej ręki dłonią. – Gdzie???

– Co to jest?

– Sprzączka.

– Diabła tam! Nie o to pytam, wiesz przecie. To puzderko...

– A to?! – Wziął w palce, pokręcił z dziwnym wyrazem twarzy. – Kupiłem tam na wyprzedazy, tam gdzie futra. – Jeśli równie tanie co futra...

– Och, tłumaczyłem ci – futra z bradenswansa muszą kosztować fortunę. To jest ptak, którego trudno dogonić na śmigłym koniu, trzeba mieć kilka i przeskakiwać z jednego na dru...

– Wybacz, ale gdy słyszę „futra z ptaka” pytam gdzie są granice ludzkiej naiwności.

– Cadronie, widziałem takiego ptaka i goniłem go. Miałem świetnego konia, ale nawet nie poczułem zapachu tego giganta.

– Poważnie?

Hondelyk pokiwał głową, Cadron skrzywił się jakby chciał powiedzieć: „No, trudno, ja już nic nie wiem!”.

– Jego pióra mają tysiące cieniutkich rureczek, w te rureczki wchodzi powietrze i stąd te niemal magiczne właściwości futer, stąd ich cena.

– Magiczne właściwości?! – odzyskał uszczypliwy ton Cadron.

– Jeśli położysz albo lepiej powiesz je obok ognia, w te rurki wchodzi ciepłe powietrze i futro przez kilka godzin grzeje jak nic na świetle. A gdybyś zostawił je w lodowni na pół dnia, to w największy skwar będzie ci w nim zimno przez cały następny dzień.

– Aha. Pomysł wart Wielkiego Geonarda – w upał chodzić w futrze! – Potrząsnął złożonymi w zamkniętą konchę dłońmi, zagrzechotały kości, ale Hondelyk nie zareagował.

– Lepiej zag...

– Są pustynie, gdzie w nocy woda zamara, a w dzień jeśli wbijesz do szyszaka jajo to ci się usmaży. – Uśmiechnął się widząc jak Cadron zamarł z uniesionymi do góry rękami. – Tak, bracie. Tam byś się modlił o takie futro.

Cadron odłożył kości i zaczął się wpatrywać w towarzysza nie kryjąc coraz mocniej kielkującej podejrzliwości. Siedział dłuższą chwilę z przekrzywioną głową, wyglądając jak zaniepokojony, ale zbyt leniwy by odlecieć, gawron.

– Wybieramy się na taką pustynię? – zapytał w końcu widząc, że dobrowolnie Hondelyk nic z siebie nie wykrztusi.

– Kto wie gdzie nas ciśnie los... – usłyszał filozoficzną odpowiedź. Cmoknął i postanowił poczekać trochę. Pobębnił palcami w stół. – A to – po co kupiłeś?

Hondelyk chwycił puzderko za rogi i zakręcił nim.

– Poprzednie mi się rozpadło, usiadłem na nim.

– Ale co jest w środku?

Hondelyk milczał chwilę, chwila ta była nasycona lawiną wspomnień.

– Włos od serca – powiedział w końcu.

– C... C–co?

– Włos od serca. – Widząc, że przyjaciel nie zamierza rezygnować westchnął krótko i podsunął puzderko: – Patrz.

Wewnątrz, pod grubą tarczką z przezroczystej, doskonale obrobionej na wypukło magmiki, na białej poduszeczce leżał zwinięty w kółko włos. Gdy zaintrygowany do granic możliwości Cadron pochylił się nad stołem zobaczył, że włos jest w połowie rudy, a w

połowie czarny. Na oko mógł mieć łokieć długości i był dość gruby. –Dziwny w kolorze i dość gruby.

– Tak.

Hondelyk zatrzasnął wieczko i schował puzderko do kieszeni na piersi.

– Co: „tak”? – oburzył się Cadron. – I to wszystko, co mi powiesz?

– A co jeszcze mam ci powiedzieć, rzeczywiście – dziwnie dwukolorowy i gruby.

Widać było, że z trudem utrzymuje powagę.

– Nie drażnij się. Gadaj. Wieczór długi.

– Nie mam nic do opowiadania.

– A dlaczego „od serca”?

– Ojej... Jako dzieciak miałem ten włos, uważałem, że dostałem go od pewnej osoby. Tak od serca. Potem się nawet ten włos od serca pobiłem z jednym grubianinem... I tak dalej. Noszę go, bo mi przynosi szczęście i przypomina ważną chwilę w moim życiu. To tyle – wzruszył ramionami.

Siedzieli chwilę w milczeniu, Hondelyk jakby zatopiony w przelotnych wspomnieniach, Cadron gorączkowo przypominający sobie czy wcześniej przyjaciel coś mówił o włosie z serca... Od serca, poprawił siebie. Nie, nic takiego nie było.

– No to gramy?

Otrząsnął się z myśli.

– Poczekaj, skocz jeszcze na dół. Coś to wino przelatuje przeze mnie jak strzała przez nadmuchany pęcherz...

Poderwał się i wybiegł z izby, płomienie świec na stole i kaganka ściennego zatańczyły jakby chciały poderwać się i wybiec w ślad za Cadronem, ale w ostatniej chwili zrezygnowały z szaleńczego pomysłu. Gibnęły się na boki, wyciągnęły ku górze, niczym prostujący zastałe kości człowiek i uspokoiły usadowione na knotach. Hondelyk wziął do ręki rulonik, odruchowo zważył go w dłoni, podrzucił kilka razy, potem jeszcze kilka razy z obrotami – jednym, dwoma, kilkoma, wysoko z kilkunastoma i jeszcze pod sam sufit, wirująco. W końcu rulonik z reklamami wylądował obok puzderka w kieszeni na piersi. Sprzączkę podsunął bliżej świecy. Trzeba pamiętać postać chłopaka, by przyszył, pomyślał. Może też wyczyścić uprząż i siodła sadrą, mieszaniną quotosu, oliwy i liprydy – wilgoć na dworze. Moknie wszystko... Myśli nagle skoczyły w innym kierunku. Ciekawe, pomyślał, czy w futrze bradenswansa człowiek tonie błyskawicznie czy odwrotnie – pływa jak na tratwie? Futro jest lekkie, leciuchne jak na futro, ale też nie jest to normalne futro. Ale rzeczywiście ciekawe jak się zachowuje na deszcz... Zaraz! A jakby tak... Przecież wyprawione pęcherze są miękkie i jednocześnie mocne i nie przemakają, bo dzieciaki bawią się nimi i w deszcz i skwar? Albo jeszcze lepiej – pęcherze tej olbrzymiej ryby, jak jej tam?... A – sterlity! Właśnie, z nich można by szyć cienkie, mocne, nie wilgotniejące peleryny! Normalnie leżałyby zwinięta w ciasny mały rulonik, a na deszcz – naciągasz i można jechać dalej!

Poderwał się i przemaszerował po izbie. Gdy wpadł do pokoju Cadron podniósł dłoń i powiedział:

– Wiesz co?..

A w tej samej chwili te same słowa wyrzucił z siebie Cadron. I to on odczekał krócej, i mówił dalej:

– Pamiętasz tę komorę na końcu korytarza? Co to nas tak ciekawiła, że co i rusz ktoś tam wchodzi?

– To ciebie ciekawiło – sprostował Hondelyk.

– Dobrze, mnie. Idę ci ja korytarzem, spotykam paroba, pytam go czy sucho tam, na dole. A on zdziwiony pokazuje mi te drzwi komórki. Mówi tak – „Bo nie ma żadnych dam w zajeździe, można, panie skorzystać tu”. Ja mu o mało w ucho nie dałem, ale prowadzi

mnie i wiesz – głowa mi spuchła! – Cadron zwałił się na krzesło, całą miną, całym ciałem okazując bezgraniczne zdumienie, pomieszane z podziwem i zachwytem. – Tam jest dziura, jak w normalnym kiblu, nie trzeba chodzić na dół, bo wszystko tam i tak spada. Rozumiesz? Aż poszedłem do karczmarza pogratulować pomysłu, a on mówi, że tu cała okolica tak buduje, żeby górne izby miały swoją wygodkę. Proste, nie? – Płasnął się dłonią w kolano. – Dawno już nie byłem tak zaskoczony.

– To czemu nam nie powiedział, że można...

– No przecież była ta dama!

– A. No tak – zgodził się Hondelyk. – Czekał, a nie można by było zrobić jednej wygodki dla kobiet, a drugiej dla nas?

Cadron popatrzył na przyjaciela z niesmakiem.

– Co ty? Zwariowałeś?

– Dlaczego? Pomyśl, to proste – do jednej...

– Przestań, masz jakieś dziwaczne dzikie myśli godne co najwyżej prymitywnego koczownika, a nie godnego kawalera i xameleona.

Hondelyk machnął ręką przerywając Cadronowi.

– To ty jesteś dziki. Nie dorosłeś do moich genialnych pomysłów. Coraz trudniej mi wytłumaczyć ci co i dlaczego tak. A to futro mu nie pasuje, a to... Nieważne. – Wstał. – Stawka – dwa selity – powiedział wskazując kości. – Ja pójde sprawdzic, co też da się ulepszyć w pomysle naszego gospodarza.

Skierował się do drzwi.

– Dobrze, gramy na pieniądze, ale kto przegra rekla czyści konie! Dwa rekla – dwa czyszczenia.

Odpowiedziało mu zrezygnowane machnięcie ręki, Hondelyk wyszedł przez drzwi, które pożegnały go cichą zwiewną jękliwą piosenką. Cadron szybko sięgnął do kieszeni, wyjął komplet kości i położył na stole, a leżący komplet zgarnął zamierzając schować do kieszeni, coś go jednak zastanowiło w nich, obejrzał dokładnie, zważył, poturlał po stole.

– Och, ty draniu! – powiedział cicho. – Zamieniłeś mi kości, a ja byłbym je sam zamienił na te niekantowane! Kiedy ci się to udało? – Wyszczrzył zęby i kilka razy kłapnął zębami, wydobywając z piersi niski psi warkot. Jeszcze raz sprawdził kości i te, które uznał za uczciwe szybko odniósł do sakwy i wcisnął w jej wnętrze. – Teraz zobaczymy!..

Chwycił kości, otulił je dłońmi, pogrzał, chuchnął. Cisnął i zadowolony przyjrzał się konfiguracji. Zmieszał ją i – wzorem Hondelyka – zaczął przemierzać pokój od progu do leżącego naprzeciwko okna. Przy czwartym nawrocie usłyszał na korytarzu jakiś hałas, miękki stłumiony łomot i szybkie skradające się kroki. Cadron zmarszczył brwi, klepnął się w bok, gdzie spoczywał sztylet i miękko cicho otworzył drzwi, które, jakby zauroczone jego ruchami, nawet nie próbowały skrzypnąć, choć chętnie robiły to wcześniej. Korytarz był mroczny, służba jeszcze nie zapaliła kaganka obok schodów, dlatego Cadron zobaczył tylko jakiś cień wsiąkający w ciemność na szczycie schodów, poczuł chłód na karku, tam gdzie u doświadczonego mężczyzny rodzi się przecucie nieszczęścia. Sztylet wysunął się na korytarz, za nim trzymający go mężczyzna, cisza panowała zupełna, ale ucho Cadrona wychwyciło jakiś niepokojący odgłos. Pomknął w jego kierunku bezgłośnie i szybko, groźnie. Po sześciu krokach, gdy do osławionej komórki zostały jeszcze dwa, natknął się na leżące na podłodze ciało. Przeskoczył je i błyskawicznie zajrzał za drzwi i w koniec korytarza, a potem wrócił do leżącego nieruchomo Hondelyka. Schowawszy sztylet przykucnął mruczając pod nosem: „Miałeś ładne puzderko, przyjacielu, zamieniłeś na guza. Nie nacieszy...”

Dłoń dotykająca barku pośliznęła się na czymś ciepłym i mokrym. Cadron znieruchomiał, potem runął na kolana, wsunął rękę pod szyję przyjaciela, drugą złapał pod kolana i stękawszy podźwignął przewalający się przez ręce ciężar. Pomknął do pokoju,

gdzie tańcząc na jednej nodze zrzucił z łóżka dwa toboły i delikatnie ułożył na nim ciało. Szarpnął poły kaftana na piersi, rozrzucił na boki. Na lewej piersi lśniła mokrym nieprzyjemnym, czerwonym blaskiem plama wilgoci. Hondelyka twarz miała kredowobiały kolor, rysy twarzy podkreślała jakaś dziwaczna sinica, jakby każde załamane i występ obrysowane zostały popielatą kreską. Na Bogów, pomyślał Cadron, Maska Skonu! Porwał z ławy cieniutką lnianą koszulę, szarpnął ją i rozdartą zrećźnie złożył w kostkę, którą umieścił na piersi przyjaciela, w miejscu gdzie delikatnie pulsując wypływał cienki strumyczek krwi. Jednym szarpnięciem zdarł z siebie pas, przerzucił go przez pierś Hondelyka, zacisnął klamrę i odruchowo ocierając ręce o oderwany rękaw koszuli wybiegł z pokoju. Schody załomotały pod jego krokami, ktoś, kto miał ochotę i nieszczęście akurat teraz wspinać się na górę, potrącony żywym pociskiem zwałił się na sam dół, ale i tak Cadron wyprzedził go i był tam pierwszy. Runął jak kula z garmatki przez korytarz, wbił w ścianę jeszcze jednego pacholka, a gdy wybita z rąk decha, na której ten niósł mięso, spadła na ziemię on sam już szarpał za kark gospodarza.

– Migiem wezwij cyrulika, babkę... Kogo tu macie, jeśli nie – wyślij na ilu trzeba koniach gońca... I tak go wyślij, zresztą. No?

Karczmarz zaszamotał się w rękach Cadrona, zamamrotał coś. Szarpnięty mocniej niż wcześniej odzyskał zdolność mówienia i myślenia.

– Już, panie. Wysyłam... – Nerwowo pokręcił głową, znalazł spojrzeniem chłopaka. – Sweryn, migiem po Kajtysa! Już!!! – ryknął na koniec.

Cadron puścił karczmarza.

– Drugiego chłopaka pošlij po najlepszego w okolicy medyka.

– To właśnie ten, panie.

– To po drugiego najlepszego. Szybko. – Odsunął się od machającego rękami na drugiego chłopca gospodarza. Rozejrzał się po śmiertelnie cichej izbie. Siedzieli tu już sami miejscowi. – Ludzie, wychodził kto tędy, wybiegał?

Niemal jednocześnie i zgodnie pokręcili głowami. Jeden podniósł rękę i wskazując jedną ścianę otworzył usta, Cadron zrozumiał, że chce pokazać korytarz, którym on sam tu przybiegł i który prowadził dalej na podwórze. Rzucił się do drzwi, ale uznał, że zemsta poczeka. Runął do innych, krzyknawszy tylko do karczmarza: „Lodu i wody, i szarpie! Pośpiesz się, człowieku!”. Wbiegł na górę i rzucił się do pokoju. Hondelyk leżał w identycznej jak go zostawił pozycji. Cadron zbliżył się do łóżka i zamarł w bezruchu. Maska Skonu, jak ocenił, nie rysowała się wyraźniej, ale zdawał sobie sprawę, że wyraźniej rysować się mogła już chyba tylko na twarzach nieboszczyków. Stał nieruchomo choć w duszy szalała burza. Nie wiedział jak może pomóc przyjacielowi, nie wiedział czy wysłać w pogoń za Malonem, bo to, że jego to robota nie wątpił już, czy ułożyć Hondelyka na boku, czy podnieść i oprzeć o poduszki... Przyniósł sobie nogą zydel i usiadł przy łóżku. Dłoń rannego była lodowato zimna, palce zgrabiłe i sztywne, oczodoły wypełniły czarno-sine plamy, nie było wątpliwości – Skon pochylił się nad Hondelykiem, chuchał nań swym zimnym oddechem, wyciągał doń szponowate dłonie, z których kapwały krople czerni.

– Proszę... – szepnął Cadron.

Gdyby ktoś odważył się wejść w tej chwili do izby nie wiedziałaby do kogo kierowana jest ta prośba – do Hondelyka, by nie umierał, czy do Mistrza Skonu, by nie zabierał jeszcze przyjaciela, ale jedyną osobą, która miała zamiar tam wejść i zrezygnowała od progu, wycofała się i na palcach, krzywiąc się, marszcząc czoło i zagryzając wargi pokonała schody z powrotem, był gospodarz. Na dole odetchnął i zaraz mocno zaczerpnął powietrza widząc wbiegającego do izby medyka z kuferkim po pachą.

– Tam! – wskazał schody i ruchem głowy nakazał Swerynowi towarzyszenie na górę.

Pobiegli obaj do góry. Karczmarz złapał się za włosy na czubku głowy i szarpnął na boki. Czuł, bał się tego, że dzisiejszy wypadek jakoś źle odbije się na jego losach. Wszedł do kuchni, gdzie natrafił na zaniepokojone spojrzenie żony. Nie odezwała się, ale nie musiała.

– Albo – powiedział z goryczą – mnie posiecze towarzysz tego zabitego, albo on wyzdrowieje i sam mnie obedrze ze skóry.

– Zabity wyzdrowieje? – zapytała kobieta unosząc do szeroko otwierających się ust zapaskę. Wytrzeszczone oczy wyglądały jak dwa przekrojone jaja z brązowymi ze starości żółtkami.

– Milcz, durna pindo! Jeszcze dycha, ale czarny welon nad nim się giba. – Westchnął głęboko. – A jak nawet nic mi nie zrobią to i tak gadanie się poniesie – że nie jest bezpiecznie tu, że byle ciul może gościowi wbić szykanę pod żebro... Och, ty życie!.. – Podszedł do kredensery, wyjął tajemną kamionkową butelkę z równie sekretną co do treści nalewką i nie bawiąc się w szukanie koneszki pociągnął z dzioba.

– A ty byś tylko... – zaczęła kobieta nie rozumiejąc, że choć – jak dotychczas – nie miała żadnego wpływu na bieg wydarzeń, to za chwilę właśnie ona oberwie pięścią, jakby była wszystkim winna.

– Zamknij dziób, bo zabiję! – ryknął karczmarz odrywając butelkę z lekarstwem od ust. Schował naczynie do kredensery i pognął na górę.

Medyk kończył zawijanie piersi rannego czwartą wstęgą bandaża, przesiąkła krwią koszula leżała na podłodze. Gospodarz na palcach zbliżył się i ostrym gestem pokazał Swerynowi co ma robić. Sam przybrał odpowiedni wyraz twarzy, współczujący, poważny i odpowiedzialny, podszedł do stojącego z zaciśniętymi pięściami drugiego z gości.

– Gońcy jeszcze nie wrócili – wyszeptał, żeby jakoś zagadać – gońcy nie mogli jeszcze wrócić ze wsi leżącej o cztery likry. – Może Babayagr by pomógł? Żeby tylko chciał przyjść. – I sam sobie odpowiedział: – Nie będzie, zaraza, chciał. A jak nie będzie chciał, to nawet go nie zobaczysz...

Kajtys prychnął pogardliwie, zamocował koniec wstęgi i podniósł się z wysiłkiem. Popatrzył na swoje zakrwawione ręce, Sweryn migiem skoczył do misy, nalał wody i podał naczynie medykowi. Ten w zupełnej ciszy opłukał ręce, podniósł wzrok na Cadrona, czekał na pytania. Miał chudą drapieżną twarz, z wąskim ostrym nosem, oblicze raczej wzbudzało lęk niż zaufanie, ale Cadron pamiętał, że Hondelyk powiedział kiedyś o innym, garbatym medyku: „Jeśli z taką posturą może uprawiać ten fach nie oskarżany o czary to być musi naprawdę dobrym fachurą”. To samo dotyczyło Kajtysa. Medyk nie wytrzymał uporczywego spojrzenia Cadrona, nerwowo bliznął wargi.

– Ciężko z nim, panie. Gdybym mógł dokładniej zbadać okazałoby się, że klinga otarła się o serce, może nawet zadrasnęła je... Nie mogę jednak badać, bo każdy ruch może napiąć tę nadwyreżoną ściankę, wtedy pęknie i krew buchnie do...

– Wiem – przerwał Cadron widząc, że medyk najwyraźniej rozpędza się i zaraz zabierze się do szczegółowego opisu. – A możesz powiedzieć coś mniej przykrego?

Kajtys zastanawiał się chwilę.

– Żyje.

Słuchający z napiętą uwagą karczmarz kwaknął, wystraszył się, niemal podskoczył w miejscu, poruszył dużymi stopami, przestąpił z nogi na nogę i – nie znajdując innego wyjścia – wytrzeszczył oczy na Sweryna i wściekłą miną usiłował wygnać go z pokoju.

– Poczekaj – mruknął Cadron do chłopaka. Położył rękę na ramieniu Kajtysa. – Mistrzu – powiedział. Trochę oliwy na duszę nie zaszkodzi, pomyślał. – Zapłacę ile chcesz – masz tu siedzieć dzień i noc, mów czego chcesz i jak to załatwić. Słowem...

– To moje powołanie, panie – powiedział medyk. W jego tonie słyhać było – Cadron, nawet przytłoczony nieszczęściem, usłyszał to bez wysiłku – oburzenie. – Pobieram opłaty, bo muszę z czegoś żyć, ale przede wszystkim muszę pomagać cierpiącym. – Zasapał

poirytowany. – Na razie mam wszystko, co mi potrzebne, ale dobrze by było wysłać kogoś po czerwony kuferek stojący na półce obok drzwi.

Karczmarz znalazł wreszcie okazję, by wyjść z izby nie wzbudzając zainteresowania. Mruknął, że on to załatwi i pognał na dół. Zostali w pokoju we czwórkę – ranny Hondelyk, Cadron, Kajtys i Sweryn.

– Chłopak ci się przyda, mistrzu?

Teraz to „mistrzu” nie służyło niczemu innemu jak wyrażeniu szczerego szacunku. Mistrz przyjął to bez zmruczenia oka, rozejrzał się po izbie.

– Będziesz tu spał, panie? Będzie zimno – ostrzegł widząc jak Cadron kiwa głową. – Muszę obniżyć ciepłotę ciała twego przyjaciela.

– Nie szkodzi. – Cadron zrozumiał o co chodzi medykwowi. Trącił ramię chłopaka, który, jeśli nie rozmawiał i nie strofował go karczmarz, nie odrywał wzroku od nieruchomego Hondelyka. – Przynieście tu dwa łoża i dużo okryć. Nie mówcie, że nie ma – spalę tę gospodę jeśli będę zły. Goń! – popchnął chłopca, bo mimo groźby nie zamierzał się ruszać szybko.

Zostali sami, medyk i Cadron. Pierwszy uznał, że czas rozmów się skończył, lekko skinął głową i wrócił do łoża. Najpierw położył dłoń na czole Hondelyka i wznosił oczy do góry. Potem umoczył kawałek ściereczki w wodzie i położył na czole rannego, zastanawiał się chwilę, aż przypomniał sobie – podszedł do okna i pomocowawszy się chwilę wypchnął na zewnątrz skrzydło. Zaskrzypiało, wahało się i zamarło polewane obfitymi strugami niesłabnącego deszczu. Cadron podszedł do przyjaciela, delikatnie wytarł palcem kącik oka, gdzie zebrało się kilka kropeł wody spłynąwszy z czoła. Wiedział, że jest zdolny do działania tylko dlatego, że po prostu odrzucił od siebie myśl o możliwości śmierci przyjaciela, jeśli podsuwała się taka czarna obawa – natychmiast stawiał przed nią wysoką zaporę innych myśli, choćby najbliższych, na przykład o konieczności oprowadzenia koni, nawet w deszczu, kupienia waksy, ale koniecznie dobrego sortu, bo ta tańsza wysycha, odpada płatami, potem uprzęż wygląda jakby nabawiła się luszczyca. Poza tym trzeba sprawdzić... Trzeba sprawdzić... Bogowie, on nie może umrzeć! Nie tak głupio: pijany zakłamanym żołdak i przy wychodku?! Dajcież mu przynajmniej godne zejście...

– Panie... – Medyk musiał któryś już raz nagabywać Cadrona, bo w końcu zdecydował się pociągnąć go za rękaw. – Pa... – Zobaczył, że zapytywany wrócił do izby, puścił rękaw. – Panie, przyjaciel cię woła.

Cadron runął na kolana, przysunął twarz do twarzy druha. Szare wargi drgnęły i uleciało z ich tchnienie dźwięku.

– Nic nie mów – pośpiesznie rzucił Cadron w ucho Hondelyka. Czuł, że serce łomocze mu jak oszalałe, z jednej strony – bo przyjaciel żył, z drugiej strony – ze strachu, że wysiłek go zmęczy. – Jestem i będę przy tobie...

Powieki drgnęły, na króciutką chwilę uniosły się, błysnęły mętne żółte białka oczu. Wargi poruszyły się głos był wyraźniejszy:

– Kto... to... był?..

– Lepiej powiedz! – zaszeptał nerwowo medyk. – Nie wolno mu mówić!..

– To był Malon, ten żołnierz, którego zrugaeś. Potem go dogonię, na razie leż i nabieraj... Co?

– Gdzie?..

– W pierś... Ale leż i nie gadaj, rana jest ciężka...

Hondelyk znieruchomiał. Cadron rzucił raptowne spojrzenie na medyka, ten objął dłonią szyję leżącego, długą, nieznośnie długą chwilę wyczuwał puls i w końcu z widoczną ulgą skinął głową. Odetchnął przez szeroko otwarte usta. Wstał.

– Najlepiej żeby się nie odzywał – mruknął. – O włos od serca...

Pokręcił głową i podreptał do stołu do swojego kufereka i tobołków, które z niego wyjął. Zielony ten kuferek, zauważył Cadron i nagle uświadomił sobie, co powiedział medyk.

– Coś rzekł, powtórz? – zapytał cicho podchodząc na palcach do stołu.

– Ja? – zapytał Kajtys grzebiąc w zawiniątkach i najwyraźniej daleki myślami od pytania.

– Ty, ty!

– Ja–a... Ja rzekłem, że ostrze przeszło o włos od serca, może nawet o pół grubości włosa...

– Dobrze, przestań już to powtarzać! Cadron wiedział, że strofuje Kajtysa bojąc się, że Mistrz Skon usłyszy jak cienka granica dzieli Hondelyka od jego Włości Ponurych. Żeby nie pomyślał: „Tak cienka, że aż jej nie widać. Skoro tak?..”

– Panie, to nie ja się tu wezwałem! – warknął medyk odwracając się do Cadrona. Ze zdziwieniem zrozumiał, że hardość medyka jest wrodzona, a nie że wynika z chłodnego szacunku swej mocy w tej chwili i w tym miejscu. – Nie sądzę byś miał dla mnie jakiejś cenne rady, więc najlepiej by było, gdybyś...

– Przepraszam. Już będę milczał, ale z izby nie wyjdę. – Rozłożył ręce jakby chciał pokazać długość ostatnio schwytanej ryby, ale złożył ręce i potrząsnął wyprostowanymi na kształt grotu oszczepu dłońmi. – Zgadzam się, że jesteś tu najważniejszy. Dobrze?

Medyk sapał jeszcze chwilę, ale udobruchany poważną miną Cadrona skinął w końcu głową, jego ręce wróciły do grzebania się w zawiniątkach, pudełeczkach i zwojach, ale oczy albo zwracały się do sufitu, gdzie szukały natchnienia albo uspokojenia, albo na rannego i każdym razem z ulgą odnotowywały – żyje! Cadron dużym łukiem obszedł stół i Kajtysa, zbliżył się do bagaży i bezmyślnie przerzucił kilka sakw.

Gonić drania czy poczekać, zastanawiał się. Jeśli poczekam, to i tak trzeba będzie długo siedzieć, zanim zdrowie pozwoli... Teraz? Teraz! – zdecydował nagle. Gdy znalazł cel działania ręce zaczęły sprawnie przebierać w manelach. Własnego pasa z mieczem nie musiał szukać – broń zawsze mieli w pogotowiu, wyszarpnął tylko grubą pelerynę, chwycił broń i wypadł z izby. Na korytarzu natknął się na wspinającego się pośpiesznie po schodach przemokniętego na wskroś Sweryna z połyskującym wilgocią czerwonym kufrem w ręku. Odsunął mu się z drogi, mruknął: „Zgłoś się później do mnie po zapłatę”. Ruszył skokami w dół, gdy tylko na schodach zrobiło się miejsce, ale zaraz znowu się wstrzymał – na górę biegł chłopak.

– Babayagra ni ma! – wyrzucił z siebie wytrzeszczając oczy.

– Z–z–zaraza... Gdzie ona mieszka?

– A hen pode lasem! Ło tam! – starannie pokazał ścianę po swojej lewej ręce.

– Konia mi daj! Tego siwego wałacha.

Chłopak rzucił się w dół, za nim wznosił skoki po półmrocznych schodach Cadron. Na dole czekając na chłopaka wypytał miejscowych dokąd pojechali i dokąd mogli pojechać żołnierze. Zdania były podzielone: „Tam. Abo tam, panie”. Podziękował kierowany jednak tylko zdrowym rozsądkiem, a nie rzeczywistą wdzięcznością, z ulgą wypadł na zewnątrz, zarzucił na głowę kaptur, ale niemal natychmiast złośliwy podmuch wiatru zrzucił go na plecy. Zaklął pod nosem nie przerywając truchtu do Gabera. Ze stajni odezwał się, zdziwiony tym, że został tam sam, Pok, ogier Hondelyka. Droga rozmiękła i Cadron nie poganiał wierzchowca chcąc, by mądre zwierzę samo poznało szlak i oceniło jak stawiać kroki, po chwili jednak trącił boki piętami, Gaber prychnął, ironicznie jak się wydało jeźdźcowi, przyspieszył jednak, przeszedł w kłus, potem sam, nie ponaglany, wyciągnął krok, a na pierwszą wyartykułowaną pretensję rzucił się w galop, jakby chciał powiedzieć: „Masz. Musiałem chwilę marudzić, ale teraz – proszę!”. Cadron wykoncypował sobie, że jeśli zbój będzie uciekał, to raczej postara się jak najwcześniej zejść z oczu nawet miejscowym, dlatego wybierze drogę, która prowadziła od karczmy na szlak, a nie do wsi.

Deszcz gnany silnym wiatrem walił w plecy jeźdźca, cieszył się z tego – gdyby było odwrotnie musiałyby galopować z zamkniętymi oczyma i ustami, z nosem zalewanym strugami wody. Ni stąd ni zowąd przypomniał sobie, jak kiedyś dwaj podstępni zbójce, jadący po dwu stronach rzeczutki, wlekli go, związanego niczym wędzony boczek, przez nurt strugi. Gdyby nie strzała Karchyza Zowatego i dwie inne, jego towarzyszy, pewnie pogłębiłby nosem koryto potoku, a potem własnymi flakami nakarmił raki. Utrzymując równy galop odrzucił ociekającą wodą połę peleryny, która opadła i oblepiła broń.

– Gaberku! Dawaj! – krzyknął. Koń zastrzygł uszami, przyspieszył jeszcze, choć kopyta grzęzły w błocie. – Ja ci, kurwisynu, dam – wyrzucił z siebie Cadron nie do konia już kierując te słowa.

Droga zakręcała wolno biegnąc wątlym parowem między również nieznacznymi, rozległymi wzgórzami. W obniżeniu terenu błoto sięgało niemal końskiej pięty, Gaber zaczął chrypieć; Cadron zrozumiał, że nie osiągnie wiele tu na cmokającej drodze. Postanowił porzucić szlak i pognać polami, na skróty, i w sumie twardszymi gruntami. Zapłacę, pomyślał, chłopom za stra... Co to? Uciekający wpadli w tym samym miejscu na taki sam pomysł – z błota wynurzały się rozmyte ślady kilku koni, kopyta ich zapadały się głęboko w rozmiękłe grzbiety pagórów i tylko dlatego nie udało się deszczowi zamaskować tropów. Zresztą uciekający nie dbali specjalnie o sekret – w połowie zbrocza leżał rozrzucony ręce na boki Malon. Cadron zwolnił, otarł wodę z czoła, brwi, przejechał ramieniem po nosie i ustach. Gaber parsknął.

– Cii. Nie będziesz się dłużej męczył – poklepał go po szyi człowiek.

Podjechali jeszcze bliżej. Teraz widać było dokładnie skąd wypływa krew barwiąca część spływającej z leżącego wody. W piersi rodził się purpurowy strumyk, mieszał z uderzającymi z mocą w ciało kroplami i rozwodniony, blednący w miarę oddalania się od rany, spływał na ziemię, gdzie już tylko sprawne oko znalazłoby jego ślad. Koń parsknął, ale nie był zaniepokojony – zbyt wielu widział już zmarłych, kilku napastników sam wysłał do Włości Ponurych. Cadron ściągnął wodze.

– Kompani pozbyli się kłopotu – mruknął do Gabera. – Albo się bali pościgu, albo uznali, że z takim wykrota nie będą się wodzić.

Gdy gnał po błocie, gdy przed oczy nachodziła blada maska twarzy przyjaciela wiedział, że zgnoi Malona, że nie będzie takiej kary, takiego podłego uderzenia, których nie wykorzysta dla zemsty na nikczemnym żołnierzu. Teraz przyglądał się chwilę ciału, ale nie przyszło mu do głowy, żeby przynajmniej splunąć w ziemię – Malon należał już do Mistrza Skonu, tego samego, który żonglował duszą Hondelyka. Ostatnim spojrzeniem musnął powłokę Malona, na poruszenie wodzy Gaber ostrożnie wycofał się, skoczył bokiem, wrócił na drogę, poczuwszy lekki ucisk łydek jeźdźca pokiwał jakby potakując głową i ruszył stępa z powrotem. Cadron ponaglił konia, przeszli znowu w galop, ponaglany w miarę oddalania się od ciała i zbliżania do wsi, oddalania od ważnej sprawy i zbliżania do tej ważniejszej; koń gnał w gęstym deszczu, parskając co kilka kroków. Człowiek prychał co dwa oddechy, wymrukiwał akieś łagodne przekleństwa pod adresem miejscowych bożków pogody. Wracał pod karczmę dwa razy dłużej niż się od niej oddalał. Pod samym budynkiem pomyślał sobie, że lepiej już będzie od razu pojechać na poszukiwanie tej jakiejś babki Yargi, niż za jakiś czas znowu wystawiać się na słotę, zimno, wiatr. Przypomniał sobie jak stał chłopak pokazując kierunek, zrezygnował jednak, wrócił na podwórze i wypytał go jeszcze raz, bo akurat ten sam pojawił się słysząc kołatanie w drzwi. Częściowo posuwał się przez wieś, potem wjechał między dwa obejścia, obszczały go niemrawo, nawet nie wystawiając nosa z bud, dwa burasy, „A tylko mi wyjdźcie!” zagroził i psy nie zaryzykowały, zostały w suchych budach. Potem skończyły się sady, ogrody i szopy. Pola z kapustą, motrełą, burakami i seprasenką mokły uparcie, ścierniska chętnie nasiąkały wodą. Pod lasem, chyba dlatego, że teren trochę się wznosił, było suszej, nie czuło się wiatru, a nawet można było

poczuć niemocne zapachy dymów z chat. Zaś trochę dalej, w niecce, o dziwo zupełnie na oko suchej, stała drewniana chata z dziwacznym kurnikiem czy gołębnikiem z boku – na grubym mocnym pniu, z rozcapierzonymi na wszystkie strony garbami korzeni, zamocowana była pomniejszona kopia właściwej chaty stojącej obok. Komuś chciało się nawet porobić okiennice, które pewnie niczego nie zasłaniały, i komin na pochyłym dwuspadowym dachu. Pień, z kolistą naroślą w połowie długości był podobny z pewnej odległości do kurzej stopy, ze szponami zagrzebanymi w ziemi i gruzłowatym kolanem. Pod domem Cadron zeskoczył z konia i przerzuciwszy wodze przez szyję Gabera podszedł do drzwi i zapukał. Najpierw zrobił to delikatnie, demonstrując szacunek, a po chwili czekania na deszczu – mocniej. Potem załomotał z uczuciem, dodając wołanie, ale chata została zimna, pusta, milcząca. Coś natomiast poruszyło się w ptaszniku na kurzej stopie.

– Potrzebuję pomocy, dobrze zapłacę! – wrzasnął Cadron odsunawszy się o dwa kroki, żeby głos dotarł do całego domu. I okolicy. – Potrzebni jesteście w karczmie. Jeszcze raz mówię – dobrze zapłacę.

Coś znowu poruszyło się w domku i – człowiek poczuł tak wyraźne ciarki na plecach, że spływająca za kołnierz woda zaczęła się na nich pnieć – zachichotało. Cadron odczekał chwilę, przełknął z wysiłkiem gulę, nie wiadomo kiedy i jak spęczniałą w gardle, i, starając się nie okazywać strachu, ale też nie odwracając plecami do obu chat, przysunął do nerwowo przestępującego z nogi na nogę Gabera i wskoczył w siodło. Chwilę potem i on i wierzchowiec uznali, że krótki galop będzie bardzo na miejscu, migiem znaleźli się pod karczmą. Cadron spędził chwilę w stajni uspokajając wierzchowca, ale w końcu, gdy przybiegł zdyszany gamoniowaty chłopak, nie miał już powodu by zwlekać z pójściem na górę. Bał się wejść do izby, bał się, że napotka pełne winy spojrzenie medyka, bał się Maski na obliczu przyjaciela, Maski, która była podobno za każdym razem jednym z niezliczonych odbić prawdziwego oblicza Mistrza Skonu. Wdrapał się na schody czując, że każdy ze stopni wysysa z niego masę energii, w końcu był na górze i nie miał innego wyjścia jak skierować swe kroki do izby.

Przed drzwiami odetchnął i wszedł.

Kajtys zerknął nań przelotnie, ale nie skwitował poza tym nawet słowem jego obecności. Wydawał się całkowicie pochłonięty, i to bardzo ucieszyło Cadrona, wsłuchiwaniami w wątki oddech Hondelyka. Cadron strzepnął spływające z rękawów krople wody. Medyk zezem zerknął na niego.

– Utrapienie z tą wodą – zagadał Cadron.

– Ciężar – mruknął Kajtys.

– Ciężar?

– Jej ciężar sprawia, że spływa w dół, do ziemi, która przyciąga wszystko, co ma ciężar – wyjaśnił medyk nie odrywając wzroku od Hondelyka.

– A co niby nie ma ciężaru? Poza powietrzem?

– Powietrze akurat ma ciężar, inaczej odleciałoby ku gwiazdom. Ale masz rację – inne gazy...

– Zajmij się rannym! – syknął Cadron. – Nie interesują mnie twoje dywagacje o powietrzu i jego wadze.

– Zajmuję się cały czas – obraził się uczony. – Moje dywagacje mu nie szkodzą. Zupełnie.

Cadronem wstrząsnął dreszcz. Zrzucił z pleców przemoczoną całkowicie kurtę, potem machnął ręką i zrzucił z siebie całe odzienie; nagi podszedł do sakw i wyjął dla siebie suche ubranie. Wytarł się kawałkiem lnianej szarfy, poparskując ubrał się i podszedł do płonącego niemrawo ognia. Okno wciąż było otwarte, ale tu ziąb nie był tak dokuczliwy jak na dole, a zwłaszcza w strugach deszczu.

– Nie może tu być ciepłej – mruknął urażony medyk uprzedzając ewentualne pretensje.

– Wcale nic nie mówię, mistrzu. – Cadron poczuł, że stosunki z medykiem się popsują, sklął siebie w duchu za głupie gadanie. – Jeśliś uraził cię czymś to wybacź. Jestem rozdygotany... Tym wszystkim – powiódł ręką dokoła. Westchnął. – Plotę co mi ślina przyniesie na język...

– Nie jestem urażony. – Dłoń medyka ułożyła się na czole Hondelyka, spoczywała na nim chwilę. Kajtys poruszył się, poszukał w rozłożonych na stole rzeczach, wyłowił gliniany flakonik. Rozejrzał się po pokoju, wskazał brodą szklanice na kominku. Cadron podskoczył z nią do stołu, Kajtys wkropił do wody trochę aromatycznej cieczy, zabełtał. Ze stołu wziął miedzianą rurkę, włożył ją głęboko w płyn, zatkał szczelnie wystający koniec miękką częścią poduszki kciuka i przeniosłszy rurkę nad brzegiem przytknął jej koniec do warg Hondelyka, rozchylił je i odsunął kciuk od górnej krawędzi; Cadron zobaczył jak wypełniająca rurkę ciecz spłynęła do ust rannego. Przez chwilę połyskiwała między rozchylonymi wargami, potem jakby wsiąkła. Nie, to niemożliwe, pomyślał Cadron, by umarł. Tyle razy wywijał się Mistrzowi z rąk, musi mieć zaskarbiającą jego przychylność, może więc?.. Bo przecież nie teraz, nie tu, nie tak... Poczuł, falę gorąca uderzającą do głowy, myśli zakotłowały się w ponurym splocie. Błada twarz przyjaciela z wyostrozonymi rysami stała przed oczami gdziekolwiek zwrócił oczy, okręcił się na pięcie i wyszedł na korytarz, gdzie postać chwilę wpatrując tępo w ciągle otwarte drzwi do feralnej komórki, pozwolił leniwie przebiec przez głowę myśli: Gdyby poszedł do wygodki na podwórzu?.. Zmusił się do kilku wolnych kroków, podszedł do drzwi i chwyciwszy je, z całej siły ręki, wspomaganej półobrotom ciała, zatrzasnął, mając nadzieję, że ten huk obudzi go z koszmarnego snu, w którym przyjaciel leży na szali Mistrza Skonu, a ten potężny władca czubkiem palca kołysze szalę niezdecydowany, w którą stronę ją przechylić. Hałas ustał, a on nadal stał na korytarzu karczmy, przed zadziwiającym pomysłem miejscowych budowniczych. Zgrzytnął zębami i pomaszzerował na dół omijając drzwi do swojej izby. Kajtys nawet nie wyjrzał na korytarz i to spodobało się Cadronowi. Na dole poszedł do kuchni, zażądał od żony karczmarza butelki najlepszego wina i powiadomienia Kajtysa, że znajduje się w stajni, po czym wyskoczył na deszcz i przebiegł kilkanaście kroków dzielących go od uchylonych drzwi stajni. Postanowił zrużać gospodarza, za złe pilnowanie koni, ale zaraz po wejściu okazało się, że drzwi zostawił otwarte Sweryn, spłoszony, z widłami w ręku, podrzucający Gaberowi więcej siana na podściółkę. Musiał dopiero co zacząć, bo dopiero jedna kępa ułożyła się obok nóg konia. – Zostaw to i uciekaj! – polecił Cadron. – Gdyby mnie szukał medyk to tu będę – a gdy chłopak dziwnie niechętnie ruszył do drzwi rzucił: – Hej, stój! Co to za Babayagr? Znachor?

Chłopak wolno pokręcił głową: – Nie–e! – powiedział z przekonaniem. – Wiedziem. Wiele może, ale prawie nigdy nie chce. A jak nie chce, to go ni ma.

– Nie chce mu się chcieć... – mruknął Cadron. Opadło go znowu zniechęcenie, które na chwilę uleciało. Machnął ręką z butelką. – Dobra, idź.

– Może, panie, zaprowadzę was do komory? – gorączkowo zamamrotał młodzieniec. – Tam można i się położyć i nawet...

– Won! – ryknął wściekły Cadron. – Bo zaćwiczę!

Młodzieniec zniknął z widoku jak zdmuchnięty płomyk jedynej w ciemnej izbie świecy. Cadron ułożył szyjkę flaszki w lewej dłoni, huknął nasadą prawek w denko, lak prysł, korek z lekkim puknięciem wypadł i wbił się w leżącą na ziemi słomę; przytknąwszy szyjkę do ust zaczął zachłannie pić. Jego wzrok powędrował do góry w dziękczynnym niemym pozdrowieniu winnych bogów. Na poprzecznej belce, o kawałek od drabiny i kryjówki w stercie słomy siedziała nieruchomo wystraszona dziewczyna. Cadron omal się nie zakrztusił, dziewczyna chlipnęła, ale jej płacz zagłuszyło kaszlanie mężczyzny.

– Ż–żeby cię!.. Co tam robisz?

Natychmiast zawstydził się własnej głupoty. Otarł rękawem usta, machnął ręką.

– Skacz i zmykaj – polecił dziewczynie.

Natychmiast wykonała polecenie, opadając w dół przytrzymała spódnicę rękami, ale i tak ujawniła, że albo nie nosi bielizny, albo już zdążyła się jej pozbyć przed karesami ze Swerynem. Przysiadła na klepisku, z dołu zerknęła na Cadrona i już nie zwlekając czmychnęła ze stajni. Mężczyzna kaszlnął jeszcze raz, częściowo tylko z powodu darcia w gardle, częściowo, bo musiał się pozbyć niezręcznego uczucia wstydu z powodu własnej tępoty. Łyknął znowu wina, podszedł do koni i sumiennie sprawdził obrok, potem ułożył między końmi małą stertę słomy, ułożył się na niej i przy akompaniamencie chrzęstu siana i owsy, pobrękiwania kótek ogłowia i stukotu kopyt spijał słodkie wino czekając na umór i bojąc się, że wcześniej przyjdzie wiadomość od Kajtysa. Raz drgnął, gdy Pok uniósł głowę i przeciągle zarżał. Człowiek wsłuchał się w rzenie, poczekał na jakiś odzew. Poderwał się i odstawwszy wypitą tylko do połowy butelkę wina na krawędź żłobu i poklepał oba wierzchowce po szyjach.

– Masz rację – przyznał Pokowi. – Nie tu powinienem być.

Ale zwlekał jeszcze chwilę, przesiał przez rozcapierzone palce ziarna owsy, klepnął w blok słomy i patrzył czy i jaki wznosi się kurz, w końcu nie miał już powodu do pozostania w stajni. Wyszedł przez drzwi, przystanął pod daszkiem, zmierzył częstotliwość deszczu. Lało z monotonnym uporem. Przemknął przez podwórko, wpadł w korytarz, strząsnął krople z włosów i dłoni. Na górze Kajtys zmierzył go badawczym spojrzeniem, ale nie odezwał się. Cadron na palcach podszedł do łóżka. W twarzy przyjaciela, ułożeniu rąk i całego ciała nic się nie zmieniło. Mistrz Skon nie odsunął się od łóża, ale też nie położył swej lodowatej dłoni na dłoni rannego. Cadron westchnął.

– Przy takich ranach każda chwila działa na korzyść rannego – powiedział nagle cicho Kajtys. – Ścianki rany zasklepiają się... – dodał.

Nie patrzył na Cadrona, więc nie widział zdziwienia na jego twarzy, ani radości, ale nagle, wykazując się znakomitą znajomością ludzkiej duszy uzupełnił:

– Ale nie ciesz się, panie. Wszystko w ręku największego medyka...

W komnacie zapanowała cisza. Dopiero teraz Cadron zauważył, że okno jest już zamknięte. Przetarł ramiona, przysunął do łóżka krzesło, ale wrócił spojrzeniem do okna, wisiało obok niego na wystającym kołku drogie jak słynna ładacznica futro.

– Okno zamknąłeś? – zapytał Cadron.

– Tak, przeziębienie byłoby straszne.

– Ale ciało powinno być w chłodzie – upewnił się Cadron podnosząc z krzesła.

– Tak, ale to sprzeczność... – przerwał widząc jak Cadron biegnie do okna i przynosi, obmacawszy je przedtem sumienne, futro, nakrywa przyjaciela. – To bradenswans – wyjaśnił.

– Aha – powiedział z szacunkiem Kajtys. Dotknął lekko niby-piór. – Słyszałem tylko o tym, ale jeszcze nie miałem w ręku. – Pomilczał i dodał: – Chłodne jest. Tak będzie dobrze.

Cadron sapnął zadowolony. Przynajmniej się na coś przyda, pomyślał. Chwilę milczał, ale nie wytrzymał długo:

– Dlaczego nikt nie chce rozmawiać o tym waszym znachorze?

Odpowiedziało mu kose spojrzenie Kajtysa, ale konował nie odezwał się.

– Czy Babayagr wam zakazał? – nie ustawał pytający.

Medyk cmoknął zniecierpliwiony.

– Nie. Ale to nie jest temat do zwyczajnej sobie rozmowy. Wiadomo o nim tyle ile on chce.

– Ale czy...

– Tu i teraz... – Kajtys odwrócił się do Cadrona i rzucił mu znaczące, bardzo znaczące spojrzenie. – ... bym o nim w ogóle nie gadał!

Nie pozostało nic innego jak skinąć głową i odstąpić od tematu, co też Cadron uczynił. Usiadł na przygotowanym krześle, poprawił się. Chwilę wpatrywał się w pełgający płomyk świecy, jednej z sześciu stojących na półce nad wezłowiem. Poczucił się jakoś dziwnie – z jednej strony nie chciało mu się spać, ale przed oczami popłynęły nagle jakieś mętne fale, jakby mniej przejrzystego powietrza. Potrząsnął głową, wzrok odzyskał ostrość. Na wszelki wypadek mocno przetrął oczy palcami, zerknął na Kajtysa.

Medyk z przekrzywioną głową wpatrywał się z natężeniem w twarz Hondelyka, zaczął wyciągać rękę, ale coś przerwało mu ruch. Cadron zamarł, ale medyk poruszył się i ruchem ręki nakazał mu, żeby się pochylił.

– Woła cię – szepnął. – Doprawdy... Nie wiem co lepiej – nie odzywać się, i czekać, że odstąpi, żeby się nie męczył, czy...

Odpowiedziało mu zaskoczone, zaniepokojone i niepewne spojrzenie. Po chwili Cadron zdecydował się. Opadł na kolana i przysunął twarz do twarzy przyjaciela. Spomiędzy szarych warg uleciał jakiś wąty jak skrzydło młodego motyla dźwięk.

– Hondelyku, jestem tu, przy tobie – wykrztusił Cadron.

– Wiem... – doleciało z poruszających się tak nieznacznie, że tylko bardzo uważne oko mogło to zauważyć, warg. – Widzę... San...

Kątem oka zauważył, że Kajtys macha rękami z wściekłym wyrazem twarzy.

– Hondelyku, nie mów nic. Słyszysz? Nic nie mów, każdy ruch ci szkodzi. Proszę cię. Milcz. Porozmawiamy...jutro... Później...

– Sandia! – powiedział nagle wyraźnie i głośno Hondelyk.

Cadron z rozpaczą popatrzył na medyka.

– Muszę... opowiedzieć...

Obaj bezradnie wpatrywali się w leżącego na łożu rannego.

– To go zabije! – syknął Kajtys. Rzucił się do swoich maneli, gwałtownie grzebiąc wyszukał znaną już Cadronowi rurkę i jakieś buteleczki. – Zaraz–zz... Zaraz... – Szybko zmieszał coś i przytrzymując drugą ręką drżącą prawą wlał do ust Hondelyka jakąś ciecz.

Ranny drgnął. Z ust pociekła strużka zielowego płynu, w zapachu którego rozpoznał wywar z opiatecznika, skuteczny na sen, czasem wieczny. Hondelykowi zabułgotało w gardle.

– Po... słuchaj...

– Proszę cię – zamilcz. Będę cię słuchał kiedy indziej ile zechcesz, dzisiaj nie mów!

Usta Hondelyka drgnęły, ale uleciał z nich tylko wąty pachnący ziołami oddech. Jedna powieka na chwilę poderwała się do góry, błysnęło mętne białko.

Cadron oderwał się od pościeli, sprawdził czy futro zachowuje chłód i ukontentowany odsunął się od łóżka. Odetchnął głęboko. Przez chwilę milczeli obaj z napięciem wpatrując się w leżącego na łożu. W końcu Kajtys pokiwał głową do własnych myśli, zajął się porządkowaniem porozkładanych na całym stole przedmiotów. Cadron usiadł w fotelu czując nagle falę znużenia w całym ciele. Niby dlaczego, pomyślał, jestem zmęczony? Starzeję się czy jak? Trochę wina na dole i już? Acha, pościg za tym łajdakiem... Ale i tak – niedobrze. Muszę się zdrzemnąć... Ziewnął rozzdzierająco, przeciągnął aż zatrzeszczały kości i zaskrzypiał fotel. Medyk rzucił mu krótkie spojrzenie, nie odezwał się. Cadron splótł ręce na piersiach i ułożył brodę na piersi. Sen zawinął się nad jego głową, poczuł ciepłą ciemną pelerynę muskającą głowę, nawet nie próbował otworzyć oczu.

– Gregu–u–u–sie!.. – Głos matki, śpiewny ale mocny docierał wszędzie. Dwie dziewczki rozprawiające zawzięcie przy płocie poderwały się i pognały w różnych kierunkach, przy czym ta obca pochyliła się, żeby matka jej nie zobaczyła, a Lonka, rudy cycaty wypłosz,

złośliwy i leniwy nad wyraz, po dwóch krokach zwolniła, jakby ona nie musiała się śpieszyć. Gregoryn nie znosił tej dziewczyny, zwłaszcza od chwili, gdy przyłapaną na gzikach z Bocajanem, chwyciła rękę Gregoryna, tę zdrową, i wsadziła ją sobie pod spódnicę. Było tam gorąco, wilgotno, a na twarzy Lonki gościł złośliwy, wredny, jadowity uśmiezek.

– Jeśli coś powiesz matce albo komukolwiek, to ja powiem, że robiłeś mi to palcami. Powąchaj – zostaje na długo!

Zaśmiała się jazgotliwie i zawirowawszy spódnicą, rozsiewając zapach gżenia i bezwstydu, poszła do kuchni. Gregoryn został w progu komory oszołomiony, złamany, zawstydzony. Powąchał palce i zwymiotował. Cały dzień spędził na sianie na poddaszu stajni, dopiero pod wieczór zaniepokojona matka z dziewczynami i chłopakami stajennymi odnaleźli go. Lonka pierwsza rzuciła się do wycierania mu twarzy, ale robiła to tylko po to, by nachyliwszy się szepnąć: – Och, ależ mocny zapach!

Chłopiec zaczął krztusić się, ale żołądek miał już pusty, a nie pomyślał, że lepiej przeżywa się takie słabizny z wypełnionym czymkolwiek, czego nie szkoda, żołądkiem. Matka to wiedziała i dlatego wmusiła w niego dwa surowe jaja i jeszcze dwa razy po dwa, w miarę potrzeby, a potem wykapała i Gregoryn spokojniejszy, choć wciąż podejrzliwie obwąchujący dłoń położył się spać. Kiedy w pokoju został tylko jeden kaganek wszedł doń ojciec, powstał chwilę za progiem wpatrując w zapuchniętą od zmagania z żołądkiem i płaczu twarz syna. Potem westchnął i wyszedł.

Matka później płakała, obudzony jej głosem chłopiec usłyszał jak wyrzuca ojcu, że się martwi, bo syn wyzdrowiał, a ojciec na to, że sukcesja przejdzie w ręce garbatego kulawego suchawca. Gregoryn nie raz już słyszał takie rozmowy i zupełnie nie przejmował się nimi, jak gdyby dotyczyły nie jego a kogoś innego, na dodatek obcego. Zasnął zapomniawszy o Lonce i kłótni rodziców. Dwa dni czuł się źle i wydawało mu się, że dziewczyna ciągle go szpieguje, dopiero trzeciego dnia, kiedy kilkadziesiąt razy wyszorował ręce piaskiem, błotem, zmiażdżonymi kłęczami tataraku i dał do powąchania Katu, a ten zupełnie się nimi nie zainteresował, uznał, że Lonka przesadziła z trwałością zapachu swojej piczki. Ale i tak unikał dziewczynki, wcześniej też jej nie lubił więc przychodziło mu to z łatwością.

– Gregusie?

Matka zatrzymała się przed jego kryjówką, przekrzywiła głowę jak zawsze, kiedy chciała powiedzieć, że coś ją gniewa, a tak w rzeczywistości nie gniewało.

– Gregusie, synu Illemarsa, ile razy... – Jej spojrzenie zaczęło się o Kata, miał na czubku nosa zdradziecko powiewające piórko. – Czy ten pies nie może odzepić się od kur?!

– Oczywiście, że może. Dlatego tu jest. Już tu jest – pozwolił sobie na chichot – mama pewnie była w dobrym humorze, jak zwykle, zresztą.

Przykucnęła i objęła chłopca. Przytuliła, a on nagle uświadomił sobie, że zapach matki – tak, ten nie zaginie nigdy, będzie trwał w pamięci, nie to, co takie durne wonie parzących się dziewczek. Matka przytulała go tak mocno, że poczuł to nawet przez swoją uschłą, otepiałą rękę. Poruszył się, szarpnął, ale mama nie puszczała. Zaczął głośno protestować. W końcu Demai puściła niby syna, ale przytrzymała za ramiona, wpatrzyła się chciwie w jego twarz.

– Płakałeś?

Skinął głową: – Tak, nad pogryzioną cebulą.

Pociągnął nosem, przetarł oczy rękawem przedramienia. Demai odetchnęła, ale chwyciła go za ucho i pociągnęła.

– Janki znowu będzie miała powód do narzekania, wyjedliście pierwszą wiosenną cebulę?

– Och, niecałą. – Z dołu popatrzył na matkę, musiała mieć coś do powiedzenia, rzadko szukała syna w ciągu dnia. Kiedyś usłyszał, że umyślnie daje mu tyle swobody, by hartował i ćwiczył całe ciało. Gregoryn był więc pewien, że mógłby bezkarnie pohulać po obejściu, ale nie robił tego wiedząc na jakie wyrzuty naraziłby matkę. – Mamo?

– Słucham? – Uciekła spojrzeniem od jego ciemnobrązowych oczu, ale zaraz wróciła. – Och, dowiesz się później...

Nagle poderwała się i pobiegła do domu nic więcej nie wyjaśniając. Chłopiec odprowadził ją wzrokiem, położył rękę na olbrzymim łbie psa, który natychmiast skorzystał z okazji, by strącić ją ruchem głowy i opadającą złapać w pysk, gdzie zaczął miętolić delikatnie zębami, którymi miażdżył bez większego trudu kości wołowych nóg.

– Kiedyś ci urwę ten twój ozór – obiecał chłopiec i spróbował chwycić śliski język, pies aż zaskowyczał ze szczęścia i ze zwiększonym wigorem zabrał się do wylizywania ręki pana. – Chodźmy do sadu, może co już pączkuje? Przemierzeli podwórze, Gregoryn bacznie rozglądał się dokoła, ale nigdzie nie widział Sandii. Trudno, może matka ukarała ją za szczypior, którego objedli się jak młode głupie cielaki. Pokręcili się przy stajniach, obgłaskał po raz drugi tego dnia Lantara, swojego kuca, wygrzebał z kieszeni kawałek suchara i podzielił się sprawiedliwie z Perłą, a potem z nieodłącznym Katem u nogi przeszli obok psiarni, gdzie kilkanaście gończych psów rzuciło się do drewnianej kraty.

– One obiecują, że jak cię trafią na polu, to z twojej skóry nie zrobi się nawet leżaczka na podłogę – przetłumaczył chłopiec psu ujadanie współplemieńców. Kat zerknął na niego z jęzorem wywieszonym z paszczy i mlasnął. – Dobrze – powiedział Gregoryn, odwrócił się do ujadającej sfory i już prawie otworzył usta chcąc przetłumaczyć gończym odpowiedź Kata, gdy zobaczył siedzącą pod rozłożystą, obsypaną żółtymi puszystymi kotkami wierzba Sandię. Ruszył do przyjaciółki, zobaczyła go, ale wpatrywała się tylko uważnie jak kuśtyka, jej ręce sprawnie, w sposób, jaki zawsze Gregoryna dziwił, zaplatały z długich ciemnokasztanowych włosów dwa warkocze, które potem układały w jedno splatające się koło. – Sandia... – sapnął waląc się na trawę.

– Sandia–Sandia! – przedrzeźniła go. – Nie zmieniałam imienia od wczoraj!

– A skąd mam o tym wiedzieć, skoro cię nie widziałem?

– Głupi!

– Mądrzejszego i tak tu nie ma.

– Jest Kat.

– Kat jest przyjacielem, dlatego ciągle udaje, że jest głupszy.

Napięcie opadło, oboje poczuli, że znowu są przyjaciółmi, a wyjaśnienie złego humoru dziewczynki Gregoryn zostawił na inną okazję. Uśmiechnęli się do siebie. Dziewczynka sięgnęła za plecy, miała tam schowane zawiniątko, wyjęła zeń cztery kawałki suchodańca, wypieczonego na kamień miodownika, z lukrowanym wierzchem połupanym i popękany na kształt nieregularnych kółek.

– Patrz, zupełnie jak to nasze błoto, gdy wyschło, prawda?

– Wiesz co!?! – obruszyła się.

– Przepraszam, ale przecież podobno ciebie takie gadanie nie dziwi?

Przypomniała sobie, że rzeczywiście tak mówiła: – Bo się do ciebie przyzwyczaiłam. Masz, wybieraj.

Gregoryn błyskawicznie rozważył wszystkie warianty i wybrał największy kawałek. Ugryzł. Sandia pokręciła w podziwie głową.

– Wiesz co? – powtórzyła, ale innym tonem. – Wziąć największy kawał, to trzeba być draniem!

– Ż–żiwie czy szie... – wymamrotał z pełnymi ustami. – Jeden kawałek–kh!.. – odkaszlnął – ...jest dla

Kata, trzy dla nas. Jedno dostanie dwa, drugi jeden. – Przełknął do końca swoją porcję słodkiego suchara. – Gdybym wziął najmniejszy chciałabyś mi to wynagrodzić i dałabyś drugi, czyli miałbym więcej niż ty i to znacznie. A tak – ja mam największy, Kat średni i ty dwa najmniejsze – wszystko sprawiedliwe.

Włożył do ust swój suchar i mocno zacisnąwszy na nim zęby przekreślił kęs, cała głowa częściowa powtórzyła ruch, czoło zmarszczyło się w wysiłku, w końcu trzasnęło i kolejny kawał suchodańca zaczął być obrabiany mocnymi białymi zębami dziewięcioletka. Kat wpatrywał się w chłopca z rozdziawionym pyskiem, w końcu kłapnął zębami i głośno przełknął ślinę.

– Och, co ja z wami mam!.. – naśladując z przekonaniem matkę powiedziała Sandia. Westchnęła: – Masz i ty, boraku.

Podawała Katu jego kawałek, zniknął w paszczy, raz chrumknęło. Psisko z godnością majtnęło ogonem i położyło się udając, że nie jest zainteresowane dalszym podziałem smakołyka. Każdy inny, pomyślał Gregory, rzuciłby Katu ten kawałek, ale nie Sandia, nie, ona nie rzuca ciasta przyjaciółom. Chłopiec poczuł, że gdy tak o niej myśli chce mu się płakać. Odwrócił wzrok na podwórze, pomrukał, żeby spędzić rosnące, wzbierające, pęczniące pod powiekami łzy. Któryś z chybasów ojca podszedł do kraty psiarni i zaznaczył moczem swoje terytorium, zaraz po nim przyszedł jeszcze dwa; pod stajnią Zuze kopniakiem poczęstował niemrawego parobka.

– Przyjechał bałagan, Bassomplery – powiedziała Sandia nieco niewyraźnie. – Mają niedźwiedzia, dwa! – poprawiła się. – Rodzinę rysia, ale tylko w klatce i jeszcze dwa takie dziwaczne lejenie – z puchatymi rogami.

– Jelenie – poprawił odruchowo. – A akrobaci są? – Odwrócił się do przyjaciółki, szybko dodał, żeby nie wyczuła pośpiechu w jego głosie, gdy pytał o akrobatów: – Skąd to wszystko wiesz, założę się, że nawet Wiatra nie wie jeszcze o nich tyle co ty?

– Wiatra zagrzebała się w kuchni – prychnęła dziewczyna. – Możemy pójść ich obejrzyć. Pytałam – starszy pozwolił przyjść na ćwiczenia, bylebyśmy nie opowiadali wszystkim. – Zawahała się. – To znaczy – powiedziałam, że dziedzic ma takie życzenie...

– Słusznie – Pochwalił. Po chwili zapytał: – A skąd wiedziałaś, że będę chciał ich zobaczyć jak najprędzej?

– Przecież tam jest ciągle ta mała Bassomplera! – Uśmiechnęła się zjadliwie, nie odsłaniając zębów, mrużąc oczy i marszcząc czoło. – Pamiętam jak na nią patrzyłeś w zeszłym roku. Wyrosła – dodała. – Ale chuda nadal jak pasek tatki.

Jest zazdrosna, pomyślał ze zdziwieniem i nagle zrodzoną radością. To miłe.

– Wiesz, co w niej podziwiam – to, co wyrabia ze swoim ciałem – wyrzucił z siebie wyznanie.

Oboje poczuli się niezręcznie – on, bo przyznał się do tego, że interesuje się ciałem wędrowniej akrobatki, ona – ponieważ zrozumiała, że nie chodzi mu o ciało dziewczyny, tylko o swoje, kalekie, dalekie od tej doskonałości prezentowanej przez córkę Bassomplera. Sandia wsunęła w dłoń chłopca drugi z przysługujących jej kawałków.

– Masz tę część, ale gdybyś się ze mną podzielił było by dobrze! – wyrzuciła z siebie pośpiesznie.

– Yhy... – Zacisnął zęby na sucharze aż na szyi wystąpiły żyły i gałki oczne odsłoniły się niemal całkowicie. Kiedy zęby przełamały twardość suchodańca i zetknęły się z wyraźnie słyszalnym trzaskiem – jęknął. – Aż mi iskry w oczach rozbłysły... – poskarżył się podając jej ten kawałek, który nie zawędrował do ust.

– Nie widziałam! – zbyła go. – Jak zwykle przesadzasz.

Chrumkali zgodnie sucharami, ich słodycz rozlewała się po ustach, wędrowała do gardła po drodze jaśniej rozpalając słońce i oczyszczając powietrze z nie zawsze miłych zapachów dworskiego podwórka.

– No to chodźmy. – Nie byłaby kobietą, gdyby teraz, kiedy już niezręczność minęła, nie prychnęła: – Do tej twojej Bassomplerki!

Skwitował milczeniem tę zjadliwość. On też być mądry i już wyczuwał wiele z tego, co jakiś jeszcze jakiś czas temu wydawało mu się nieznanne, niezręczne, niezgłębione. Dokończyli suchary, oblizali palce nie zauważając, że w oczach psa, śledzącego ich uważnie, zatrzepotała rezygnacja – miał na to samo ochotę. Dziewczynka wstała pierwsza, otrzepała porządnie spódniczkę z okruszków, przytupnęła nogą. Podniósł się i Gregoryn, poderwał Kat. Ruszyli razem przez podwórze, przez bramę, wyszli na łąkę specjalnie nie zaorywaną, nie uprawioną, wypasaną tylko owcami, które zostawiały równy kobierzec murawy; łąka służyła takim właśnie spędom ludności, jarmarkom, targom, rzadkim hucznym zabawom, jak podczas Święta Spadających Gwiazd, czy jak ta, którą ogłoszono w dniu urodzin Gregoryna. Teraz stało na jej obrzeżu pięć wozów z budami, domy na kołach wędrownych bałaganiarzy. Jeden miał wyraźną dostawkę – połączoną z wozem krótkim dyszlem klatkę z niedźwiedziami, z drugiego, tylko trochę przedłużonego doleciało nagle wyraźne „wrrrau!” rozzłoszczonego czymś rysia. Dziwne, większe, opatulone w futra jelenie z puchatymi rogami pasły się na małym wybiegu. Kat pisnął, ale na wyraźne żądanie chłopca: „Nie rusz tych zwierząt, ani żadnych innych tu! Rozumiesz?” stęknął i odprężył się. Na wszelki wypadek Gregoryn wyjął z kieszeni kawałek sznurka i założył symboliczną pętlę na szyję psa. Podeszli bliżej. Po łące maszerował w te i z powrotem mężczyzna z okazałą czarną poprzetykaną kilkoma wyraźnymi pasmami siwizny brodą. Zobaczywszy dzieci z psem najpierw groźnie zmarszczył brwi i ruszył w ich kierunku, jakby chciał przegonić, ale zbliżywszy się uśmiechnął szeroko:

– Ach, to wy?! Sam Gregoryn z najpiękniejszą – po twojej mamie, chłopcze – rudą damą w okolicy, Sandią! – ale mówiąc to przykucnął i wczepił się w futro Kata przy uszach, potarł nos. Pies wydał z siebie szczęśliwy skowyt. – Czy tak się zachowuje dorosły groźny szwancer? – zapytał Bassompler przysuwając twarz do pyska psa.

– On ma dopiero dwa lata, dorośleją podobno gdy mają trzy–cztery.

– Aha. No to w przyszłym roku jeszcze nie będę się bał podejść do tego kolosa. – Wstał, ale nie wyprostował się do końca, cały czas jego ręka spoczywała na głowie Kata. – A co u was nowego? Doroślejecie?

– Oczywiście – z godnością odpowiedziała Sandia.

Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale nagle zza wozu wyprysnęło jakieś szczupłe ciało, pochyliło się, uderzyło dłońmi o trawę, odbiło od niej, zawirowało w powietrzu, bokiem, znowu przodem, na koniec wykonało obrót w powietrzu tyłem i wylądowało na nogach, ale zachwiało się i miękko opadło na pupę.

– No tak... – powiedział Bassompler patrząc na córkę podnoszącą się z trawy. – Nie przygotowałaś rozstawy i stąd takie zakończenie.

Dziewczynka podeszła do nich uśmiechając się szeroko.

– A bo chciałam jak najszybciej skończyć i przywitać się – wyznała bez cienia skruchy w głosie. – Witajcie – dygnęła przed Gregorynem i Sandią.

– Witaj, Bik, – powiedzieli chórem. Chłopiec pokręcił głową i dodał z podziwem: – Gdyby ktoś chciał cię trafić strzałą musiałby wystrzelić całą chmarę!..

– Głupi jesteś, Gregorynie – zareagowała natychmiast Sandia. – Strzelać do kobiety, cóż za pomysł?!

Ojciec Bik, przekręcił głowę i wykrzywiwszy pełne usta w podkówkę zmarszczył brwi.

– A wiesz... Coś w tym jest... Takie na przykład strzelanie za jakieś pieniądze – trafi – wygra, nie trafi – płaci – powiedział wolno przed oczami rozgrywając już tę scenę.

– Ależ to nieludzkie! – zawołała Sandia.

Bassomler wrócił do rzeczywistości. – Spokojnie, przecież nie mówię o strzelaniu strzałami z grotem i tak dalej. Wystarczyłoby zdjąć groty, i założyć miękkie czuby, a Bik, włożyłaby gruby strój i jakiś ładny hełm na głowę...

Bik, podskoczyła i klasnęła w ręce: – Tato! Taki jak miała ta aktresa, wiesz – z piórami i taką grzywą!?

– No właśnie! – zgodził się ojciec. Oboje zapomnieli o gospodarzach i przekrzykując siebie uzgadniali szczegóły: – Cały strój byłby kolorowy... Albo czarny, a tylko hełm... Tak i wszyscy strzelają z jednej odległości. A koniec strzały usmarowany kredą i zostaje ślad na stroju... Ha, jeśli trafią?

– No i coś narobił? – zapytała Sandia trącając łokciem chłopca.

Bassomplerowie zamilkli, potem on roześmiał się z lekkim przymusem.

– Przepraszam, ale pomysł jest przedni, więc trzeba go obgadać, żeby nie uciekł. Ale to już później, rzeczywiście. – Położył rękę na szyi córki. – Kochanie, zrób całą grupę ćwiczeń, dopiero potem ten łańcuch skoków, dobrze? Przecież wiesz – nierozgrzany mięsień łatwo zerwać.

Bik, skinęła głową, odsunęła się i zaczęła wykonywać całe serie skłonów, skrętów, wymachów kończynami. Raser Bassompler odszedł na bok pociągając za sobą całą trójkę. Usiadł na trawie zachęcając do tego samego dzieciaki, zauważył, że Gregoryn dziwnie, łakomie przygląda się jego córce odruchowo dotykając prawą ręką swojej chudej lewej.

– Ciało można rzeźbić – powiedział z namysłem uważnie obserwując chłopca. Po żywym spojrzeniu rzuconym na siebie zrozumiał, że dobre odczytał jego myśli. – Ćwiczenia określonych części ciała może spowodować, że na przykład ktoś będzie miał mocne jak jeleń nogi i chudą wątłą górną połowę ciała. Oczywiście to głupie – biegacz musi mieć czym oddychać, ale można by tak zrobić. Można wyćwiczyć ciało tak, by odwrotnie – miało mocne ręce i takie sobie nogi. To też nie jest mądre, bo jak dźwigniesz ciężar, jeśli nogi się pod tobą uginają? Najlepiej, rzecz jasna, określić komu o co chodzi i tego się trzymać w pracy, nieustannej pracy, długiej i mozolnej. – Wpatrzony w niego chłopiec pokiwał głową. – Przy tym jeszcze trzeba pamiętać, że ćwiczenie pewnych mięśni może być szkodliwe, na przykład Bik, nie wolno rozwijać kilku mięśni, bo straci na gibkości i szybkości zginania rąk i ciała...

– Wydłużyć ciało też można? – rzucił szybko chłopiec. Jego sucha krótsza noga drgnęła.

– Wiesz co – o długości ciała decydują kości. O wydłużaniu kości nie słyszałem, może to możliwe tylko nikt się tym nie zajmował. – Mówiący zobaczył smutek w oczach dzieciaka i dodał szybko: – Na pewno nie zaszkodzi poprawienie mięśni takiej kończyny – porzucił mówienie ogródkami i wskazał po prostu nogę Gregoryna. – Poza tym, po poprawieniu jej działania powinieneś nosić but z grubszą podeszwą, sprawna noga utrzyma ciało na takim bucie i będziesz kulał mniej albo wcale. Rękę też powinieneś ćwiczyć – powiedział postanowiwszy nie owijać niczego w bawełnę.

– Myślisz, że będę mógł ją wyćwiczyć? – szepnęła chłopiec.

– Nie jestem pewny, ale jeśli cokolwiek czujesz, a czujesz? – Gregoryn pokiwał głową. – No, to myślę, że na pewno może być lepiej. Chodź pokażę ci jak ćwiczyć – wskazał miejsce na łągu za wozami. – Bik,, będziesz mi przez chwilę potrzebna do pokazania niektórych ćwiczeń.

Poszli we trójkę, z Katem za wozy. Sandia została sama, zastanawiała się chwilę czy nie powinna się obrazić za takie potraktowanie, ale w końcu wielkodusznie wybaczyła Gregorynowi. Przecież jeszcze nawet biedak nie wiedział, co go czeka za kilkanaście dni, za dwie–trzy dekady, pomyślała. Czowała, że ma wyrzuty sumienia, ale nie potrafiła wydusić z siebie informacji, którą posiadała podsłuchując – najpierw niechcący, a potem żarłocznie – rozmowy matki z Wiatrą. Wynikało z niej jednoznacznie, że Illemars postanowił wysłać syna w podróż do Tarsandry, pod pozorem rozpoczęcia nauki w słynnej szkole. Wiatra i

matka zgodziły się, że chłopiec nie przeżyje tej podróży, tej nauki i życia w obcym nieprzyjaznym dla kalek świecie. Matka ściszyła nawet głos i mruknęła coś o łatwej możliwości spowodowania krzywdy za niewielkie pieniądze, byle z dala od domu, gdzie Demai jak lwica broniła syna, ale Wiatra zasyczała jak rozgrzana płyta pieca, na którą wykpiiała zupa i matka umilkła, mrużąc jednak przekornie: „Dobrze–dobrze! Znam go jednakże...”.

Zza wozu dobiegały fragmenty komend Rasera: – ...na brzuchu, tak... kilka razy... Nie, bardziej do tyłu! Jeszcze bardziej! Tak... Przekręć się na bok i unieś ile możesz nogę... Oddychaj głęboko...

Podniosła się i zastanawiając jak może bardziej przysłużyć się przyjacielowi: mówiąc mu co go czeka, czy pozwalając spokojnie przeżyć następnych kilka dni, zajrzała za wóz. Kat zerknął na nią młalszaniem kwitując widok – Gregoryn na rozciągniętej na trawie macie, Raser nad nim, Bik, obok na trawie, demonstrując ćwiczenia. Uznała, że tutaj na razie nie ma nic ciekawego do roboty, poszła obejrzeć niedźwiedzie, rysie i przede wszystkim te dziwne futrzaste jelenie. Udało jej się nawet dotknąć rogu jednego z nich i okazało się, że to, co z pewnej odległości wyglądało jak mech na porożu w rzeczywistości było twarde, a więc rogi ich wcale nie były miękkie i przyjemne w dotyku.

– F–fu? – mruknęła Sandia. – Dziwoląg jakiś – ni to lejeń, ni to co!

Odeszła od spokojnie pasących się zwierząt, a widząc, że zza wozu wyłania się Gregoryn pomachała ręką kierując go w swoją stronę. Za wozem, słyszała to wyraźnie, rozgorzała dyskusja czy można potraktować ćwiczenie z Gregorynem jako zagzewkę do praktyki, czy nie. Zdania ojca i córki były podzielone.

– Wiesz – wysapał chłopiec dokuśtykawszy do przyjaciółki – Raser mówi, że powinienem do końca lata poczuć wyraźną poprawę. Jeśli tylko nie będę się obijał i próbował... Hej? Dlaczego płaczesz? Płaczesz? Co ci jest?

Co mam mu powiedzieć, pomyślała Sandia odwracając się i usiłując ukradkiem wytrzeć wzbierające łzy, że nie będzie go tu za kilkanaście dni, a tam nie będzie miał czasu na ćwiczenie? A może Wiatra i mama nie mają racji? Nie, niemożliwe – mama się nie myli. A mnie nie wolno płakać!

– Możesz sobie ćwiczyć z tą swoją akrobatką! – wyrzuciła z siebie i sama usłyszała, że zabrzmiało to nadspodziewanie prawdziwie.

– Sandio... No wiesz? – Gregoryn zająknął się, zakołysał przestępując z nogi na nogę. – Przecież masz moją przysięgę...

Dziewczynka poczuła kolejną falę wzruszenia, poderwała się, okręciła na pięcie i pobiegnęła z powrotem do bramy w wiekowej palisadzie. Gregoryn westchnął i pomaszerował za nią starając się, zgodnie ze wskazówkami Rasera napinać odpowiednie mięśnie i – choćby wyglądało to śmiesznie – machać lewą ręką, bo każdy ruch będzie dla niej korzystny. Sandia zniknęła gdzieś, pozostało mu korzystanie ze swobody, pomaszerował do sadu i pracowicie sprawdził niemal wszystkie drzewa, a na pewno wszystkie gatunki rosnących tam drzew. Spróbował chwycić się nisko rosnącej gałęzi nie – jak to czynił zwykle – jedną mocną prawą ręką, a rozłożyć ciężar na obie, na prawej więcej, na lewej minimalnie, byle palce utrzymały się na konarze. Nie udało się za pierwszym razem, nie udało za drugim, trzecim i czwartym. Po chwili odpoczynku, kiedy Gregoryn najpierw po kolei ułożył palce lewej dłoni na gałęzi i zacisnął ją na drewnie udało mu się powisieć chwilę podkurczając nogi. Zawył z radości, odtańczył coś w miejscu, „przypupując” lewą nogą. Potem właściwie zarzucił szukanie owoców nadających się do jedzenia, szukał raczej gałęzi, które nadawały się do ćwiczeń. Jakiś czas potem, gdy pot obficie uperlił czoło i niemal bez przerwy szczypał w oczy, odważył się zawisnąć na konarze bez możliwości podparcia się nogami w razie potrzeby. Od razu przy pierwszej próbie zmęczona nedorozwinięta ręka nie wytrzymała ciężaru i ciało majtnąwszy się w bok upadło na

ziemię. Gregoryn trafił głową w gruby konar leżący na ziemi i na chwilę stracił przytomność, kiedy wrócił do świadomości leżał na mokrej ziemi z dudnieniem w głowie i – wymacał go bez trudu – olbrzymim guzem na skroni; gdy chciał się podnieść opierając o skomlącego bezsilnie Kata okazało się, że dodatkowo skręcił w kostce prawą nogę. Żeby wyjść z sadu musiał czołgać się po błotnistych ścieżkach. Najpierw próbował wykorzystać sytuację do ćwiczenia chorej ręki, ale potem dał spokój, bo ból był zbyt wielki, a jeszcze jakąś chwilę później po prostu się rozplakał i pochlipując czekał na pomoc. Kat rozszczękał się rozpaczliwie, potem pognał do ludzi i znalazłszy Sandię przyprowadził ją do umorusanego nieszczęśliwego Gregoryna.

Wykapany, z okładem na głowie i kostce leżał w łóżku próbując opowiedzieć przyjaciółce co udało mu się osiągnąć pierwszego dnia ćwiczeń. Potem przyszła matka i przepędziła Sandię na występ Bassomplerów.

– Zostanę z Gregorynem – zaproponowała dziewczynka.

– Nie, kochanie. To by nie była kara, a powinien być ukarany za lekkomyślność. Mógł zrobić sobie większą krzywdę albo... – Nie dokończyła, machnęła ręką i westchnęła.

O wiele później Gregoryn obudził się gdy cicho stuknęły nieuważnie przymykane drzwi.

– Po prostu starał się ćwiczyć swoją biedną rękę – usłyszał głos matki.

– Akurat! – prychnął pod drzwiami ojciec. – Chce opóźnić swój wyjazd!

– Jeszcze nie wie, że ma wyjechać – zaproponowała mama.

– Widocznie jednak wie! – uciął ojciec. – Ale to niczego nie zmieni – wyjedzie kiedy tylko gościńce podeschną. Za dekadę, półtorej.

– Ależ, panie...

– Powiedziałem i słowa nie cofnę!

Rozległy się oddalające kroki i cichy głos matki, ale już nie dało się zrozumieć, co mówi. Gregoryn odrzucił przykrycie i przeczekawszy lekki zawrót głowy, pomagając sobie niezgrabnie laską, którą przyniosła mu Sandia, pokuśtykał do drzwi, udało mu się je cicho otworzyć i przedostać pod drzwi komnaty sypialnej. Tam przyłgnał uchem do drzwi i wstrzymał oddech.

– To jest bardzo mądry chłopiec...

– Może. Ale tu są takie ziemie, że nie wystarczy być mądrym – podnosząc głos wyskandował ojciec. – Można stracić wszystko co udało się dotychczas naszemu rodowi zwojować.

– To o to ci chodzi?

– Tak, o to też. Żeby nie stracić to, co miał ojciec i co mam ja. Nie chciałbym umierać jak Grut na posłaniu w stajni swojego dawnego wroga!

– Nie zmienisz, widzę, zdania?.. – jęknęła matka.

– Nie. Na pewno.

– Nawet jeśli ci powiem, że jestem brzemienna?

Nastała długa chwila ciszy, potem, o wiele ciszej niż dotychczas, odezwał się ojciec:

– A jesteś, pani?

– Tak. Jestem już pewna.

Cisza wysłała do komnaty swoją siostrę, młodszą i silniejszą, dłuższą. Gregoryn zdążył zmienić podparcie i nabrać kilka głębokich oddechów zanim ojciec powiedział:

– To nic. Musi wyjechać...

– Ależ... Jeśli to będzie chłopiec, to będzie chłopiec, to Gregoryn mu ustąpi prymat w domu. Na pewno. Nigdy nie był...

– Pani, pomyśl co się stało w rodzie chociażby Gruta właśnie, w rodzie Dawingów, Trotelny... Co? Wszędzie to samo – waśnie następców, trucizna, podchody, intrygi... Koniec jednak – przejście ziem za długi, za zdrady, z niemocy.

– On...

– On się zgodzi, tak! Potem podrośnie, albo sam, albo jego kobieta uświadomi mu, że mógł być najważniejszy. Może ktoś mu podpowie, że kilka kropel tego czy owego może pomóc zdobyć władzę. – Chwila ciszy i znowu ojciec: – Zaprzeczysz, pani?

– Tak.

Nawet Gregoryn pod drzwiami usłyszał, że w głosie matki brakuje wiary w wypowiedane słowa. Ojciec po prostu prychnął lekceważąco. Dały się słyszeć głośne kroki, Illemars przemaszerował po komnacie, potracił chyba krzesło, bo drewniana noga zgrzytnęła po podłodze. Gregoryn drgnął i omal nie runął na bok oparłszy się na bolącej nodze. Koniec laski cicho stuknął o drzwi. Chłopiec zacisnął zęby i rzucił się do ucieczki. Wpadł w łóżko odrzucając laskę na podłogę, nakrył się z głową i wyrównał oddech udając głęboki sen. Nikt jednak nie przyszedł do jego pokoju, może nikt nie usłyszał czynionych przezeń hałasów, może szukali przyczyn w innym końcu dworu. Po chwili jego oddech wyrównał się naprawdę. Uświadomił sobie, że najważniejsze z tego, co usłyszał, to to, że opuszcza rodzinny dom. Wyjeżdżam, pomyślał. Dokąd? Po co? Na ile? Daleko czy blisko, pewnie daleko, bo Demai by nie protestowała tak gorąco. Wyjeżdżam? Za dwie dekady! Sam! Sam? A Sandia? Kat? Nie, bez Kata nigdzie nie pojedę!

Rozgorączkowany usiadł na łóżku, głośno i ciężko oddychał, skręcona kostka zapulsowała bólem, który, na szczęście, ustał zanim rozbudził się na dobre. Gregoryn szarpnął mocno rozcięcie koszuli nocnej, wyszarpnął z rękawa lewą rękę. Chudy piszczel obciążony skórą i cienką warstwą mięśni po uwolnieniu z rękawa walał się na pościeli jak podrzucona obca kończyna, której jeszcze nie umocowano na dobre do ciała. Chłopiec zacisnął zęby i kazał palcom się poruszyć. Drgnął wskazujący i kciuk, pozostałe nie zmieniły położenia. Gregoryn spróbował jeszcze raz i jeszcze, ale nie udało mu się zmusić do poruszenia pozostałych palców. Chciał jeszcze odrzucić przykrycie i poruszać stopą, ale nagle ogarnęła go fala żalu i rozgoryczenia. Rozszlochał się i długo płakał zadając pytania i szukając na nie odpowiedzi. Potem zasoby łez skończyły się, wytarł twarz i prawie natychmiast sen skleił podpuchnięte powieki i rozjaśnił mrok nocy przyjemnym snem, w którym on sam, zgrabny i mocny, wraz z dwoma identycznymi psami polował na przeturki i szpanice na bezkresnej łące pod wspaniałym błękitnym niebem.

Siodło na Lantarze, kucu Gregoryna, miało specjalnie wykonane przez siodlarza dodatkowy rzemień z klamrą na strzemieniu z lewej strony, dzięki czemu, po wpięciu felernej nogi, chłopiec mógł się czuć w nim niemal tak dobrze jak gdyby miał obie nogi zdrowe. Aktualnie, z obolałą prawą czuł się mniej pewnie, ale nie zamierzał przecież urządzać dzikich galopad tylko przejechać po miedzach podsychających pól. Po pierwszych niepewnych chwilach poczuł się w siodle znowu dobrze, a nawet bardzo dobrze. Szczególnie, że było to jego pierwsze wyjście z domu po upadku w sadzie. Demai nie pozwoliła mu nawet wyjść na pożegnalny występ Bassomplerów, zanim zdążył oburzyć się i rozplakać okazało się, że będzie miał swój występ w dużej komnacie, dla siebie tylko; dołączył do niego Kat i – rzecz jasna – Sandia. Stracił więc tylko występ niedźwiedzi i dłuższe oglądanie rysy w klatce, które – „Jak to koty!” rzucił Raser – i tak nie poddają się żadnej tresurze. Zaraz potem bałagan Bassomplerów odjechał, bo rodzina śpieszyła się na doroczny pierwszy wiosenny i w ogóle największy targ w Karmisinidrze. Chłopiec usłyszał jak matka wypytuje Rasera, czy nie będzie przypadkiem tędy przejeżdżał za dekadę–dwie, jak z żalem wysłuchuje tłumaczenia Bassomplera i domyślił się, że cieszyłaby się, gdyby mogła wyprawić go z nimi: przynajmniej przez część podróży miałby zacne towarzystwo. Na przecięciu dwóch polnych dróg zatrzymał się i poczekał na Sandię, jej kucyk chętnie poskubywał młodą trawę, a ona będąc niepewnym jeźdźcem nie potrafiła go opanować,

gdy kucyk wreszcie raczył zbliżyć się Gregoryn smagnął go w zad. Kucyk przysiadł zaskoczony i ruszył żwawo prosto przed siebie. Jeździec roześmiał się głośno, nawet oburzona Sandia musiała się uśmiechnąć z powodu nagłego przyływu gorliwości konika, którego nie potrafiła zmusić do uczciwej pracy od początku wycieczki. Galopowała teraz po drodze aż ta wbiła się piaszczystym parowem w las. Gregoryn dogonił ją zamierzając powiedzieć, że penetracja lasu nie była dzisiaj planowana, ale – uznał – skoro już los popchnął ich w tym kierunku – trudno. Pojechali obok siebie.

– Strasznie cicho! – szepnęła dziewczynka. – Ale nie strasznie – uzupełniła szybko, żeby sobie czegoś nie pomyślał. – Szkoda, że Kat pognął gdzieś za sukami... – dodała pozornie bez związku, ale gdy Gregoryn zestawiał te słowa z wcześniejszymi zrozumiał, że Sandia czułaby się lepiej mając w zasięgu wzroku potężnego szwancera.

– Cicho, bo jeszcze za wcześnie na gody – powiedział szybko – a po zimie trawożerzy muszą się napaść, a drapieżniki – równie szybko napolować do woli i do syta. – Po kilku krokach wyciągnął rękę i powiedział: – Poczekajmy, niech się napiją.

Odczekali chwilę, w trakcie której koniki napiły się kryształowo czystej odstałej wody z kałuży pośrodku drogi, parsknięcia ich były jedynymi dźwiękami w najbliższej osiągalnej słuchem okolicy. Gregoryn kilka razy otwierał usta, ale wobec perspektywy wyjazdu wszystkie tematy, jakie zamierzał poruszyć stawały się nieaktualne: budowa nowego szałas–zasiadki na zajęcie na skraju sadu, letnia wyprawa na przepływające rzeką łaserki, tydzień Spadających Gwiazd, podczas którego dzieciaki i młodzież spędzały trzy noce w polu. Nieważne stały się plany co do przebieranej zabawy na zakończenie żniw, nieważna jesienna pogoń za młodymi lisami. Katastrofa zbliżała się dużymi krokami i nie można było udawać, że się jej nie widzi.

– Wiesz... – W głosie znalazło się tak dużo chryпки, że musiał wydać z siebie długą serię chrząknięć zanim odezwał się znowu. – Wiesz... Słyszałem, że mam wyjechać z domu. – Pokiwał głową pod uważnym spojrzeniem przyjaciółki. – Matka nie chce mi tego powiedzieć, ale ja już wiem. Ty też wiesz, prawda? – Skinęła głową wpatrując się pomiędzy uszami Perły w drogę. – Wszyscy wiedzą... – stwierdził z goryczą. – Tylko...

Przerwał nagle uderzony pewną myślą. Wraz z nią uderzyło mu w twarz gorąco. Aż stęknął trafiony pomysłem zesłanym mu przez jakieś dobre bóstwo. Gorączkowo rozważał go przez kilka chwil.

– Sandio... – wyszeptał. – Mam pomysł!.Tak! – krzyknął nagle nie widząc żadnej złej strony projektu. Wychylił się i ponownie przeciągnął baciem po zadzie Perły. Gdy skoczyła do przodu trącił piętą bok Lantara i dogonił Sandię. – Zsiądziemy z koni na łęgu nad rzeką, dobrze?

Skinęła głową zajęta przede wszystkim utrzymaniem się w siodle, galopowali chwilę, potem zastałe przez zimę i opóźnioną wiosnę kuce zwolniły, Gregoryn pogonił je i pogalopowały jeszcze trochę, ale potem kategorycznie odmówiły większego wysiłku. Chłopiec nie nalegał, musiał szybko obmyślić swój plan, żeby trafić nim do przekonania Sandii i od razu zacząć go realizować. Konie zwolniły do marudnego stępa na rozmokłym brzegu rzeczki, w ogóle maszerowały tylko dlatego, że miały jeźdźców na grzbietach i z przyjemnością parsknęły, gdy dzieci zeskoczyły z siodła, zarzuciły wodze na napęczniałe pąkami gałęzie i zatrzymały się rozglądając po okolicy.

– Chodźmy do Studni – zaproponowała Sandia.

Gregoryn zawahał się, podejście do skalnego pępka, grupy tworzących okrąg ostrych i tajemniczych skał pomiędzy drzewami na wzgórzu, tam wyżej, wymagało sporego dla niego wysiłku, ale z drugiej strony – mógł jeszcze raz pobieżnie sprawdzić swój plan.

– Dobra. – Po kilku krokach wyrwało mu się: – A nie boisz się tam iść?

– Wieczorem nie weszłabym za nic – przyznała się Sandia. – Ale teraz? W dzień? Zresztą, co tam – skały, dziwacznie ułożone w koło i tyle. Tylko mrok czyni je strasznymi. –

Oddechnęła głęboko, łąka zaczynała iść coraz bardziej spadziście, dziewczynka zwolniła i zerknęła na przyjaciela. – No to co to za plan? – przystanęła i postanowiła dać mu szansę odpoczynku.

– Ucieknę z domu! – wypalił Gregory. – Nie dam się wywieźć. Jak się dowiem, że wyjeżdżam – ucieknę! Rozumiesz mnie? Zgromadzę zapasy, zacznę od dzisiaj. Będę spokojny, nic po sobie nie okażę, ale mając kryjówkę i zapasy mogę posiedzieć w lesie nawet pół lata, a potem będzie już za późno. – Wpatrywał się w Sandię szeroko otwartymi oczami, szukając w jej spojrzeniu aprobaty dla swojego planu. Coś jeszcze przyszło mu do głowy, uzupełnił, żeby ją przekonać: – Przez ten czas będę ćwiczył uparcie, nic innego nie będę robił i – zobaczysz! Wrócę normalny... – zawahał się – ... w każdym razie normalniejszy i wtedy ojciec nie będzie miał powodu, żeby mnie wysłać. – Pomajał głową na boki. – A jak nawet – to dopiero w przyszłym roku, a przez rok nie wiadomo co może się zdarzyć!.. – Nie czekając na Sandię ruszył pierwszy ku jeszcze niewidocznemu nawet na tle nieba, nawet spoza słabo jeszcze ulistnionych drzew, pierścieniowi skał. Z tyłu dobiegło go niepewne chrząknięcie.

– Co tam hmykasz? – rzucił przez ramię. To Sandia wymyśliła słowo oznaczające nieokreślone chrząknięcie, gdy nie wiadomo co powiedzieć. Odwrócił się i poczekał na idącą o dwa kroki z tyłu dziewczynkę. – No i jak?

– Nie wiem, Gregusie – powiedziała zdyszana, cicho, bez przekonania. – Nie chcę, żebyś wyjeżdżał. – W jej oczach błysnęło nagle zdecydowanie. – Jesteś moim najlepszym przyjacielem, lepszego już w życiu nie będę miała i nie chcę nawet mieć, ale ta ucieczka... – Pomrugnęła powiekami. – Nie wiem, nie wiem czy to dobra rzecz...

Odwróciła się i ruszyli ramię w ramię do góry. Zostało do szczytu garbu kilkanaście kroków, kilka głazów uformowanych w szereg wystawiało swoje twarde garby, tworząc coś niemal jak stopnie bardzo przydatnych tutaj schodów. Weszli na nie.

– Ja też do końca nie wiem – przyznał Gregory. – Ale wiem, że jeśli wyjadę to wyjadę na długo i nic już nie poradzę. A jeśli przetrwam tutaj przez taki czas, że już nie będzie można mnie wysłać – to tyle zyskam, że nie wyjadę. – Stał chwilę zaciskając i prostując palce prawej dłoni. – Co mnie może gorszego spotkać?! – krzyknął w końcu, a w jego głosie nie trzeba było głęboko szukać stłumionych łez.

Zawstydził się niemęskiego drżenia głosu, gwałtownie ruszył do góry, machając szeroko ręką poderwał ciało i szybko przebył kilka ostatnich kroków. Na tle rzadkich drzew i szczytów w skałach wyglądał jak duże ptaszysko wymachujące jednym skrzydłem. Z drugim złamanym, pomyślała Sandia. Dogoniła Gregoryna, zatrzymała się obok. Dyszeli oboje głośno, potem Sandia rozejrzała się dokoła, zmarszczyła brwi.

– Coś tu jest inaczej, prawda? – Chłopiec jeszcze chwilę dyszał zagłębiony w swoich uczuciach, potem wolno, jakby niechętnie porzucając żal, poszedł za przykładem dziewczynki. Na dole, na brzegu rzeki nerwowo i przeciągle parsknął któryś z kuców. – Taka cisza... i zapach?

Gregory wciągnął powietrze w nozdrza, powtórzył to kilka razy, szybko, sapiąc głośno.

– Jak w kuźni?.. – powiedział cicho.

– Masz rację! Rozgrzane żelazo?

– Tak... – Sandia zobaczyła jak prawa ręka wolno poruszyła się, przejechała po brzuchu, dotknęła pasa, przesunęła się ku pochwie z dużym bojowym sztyletem w szczelnej masywnej skórzanej pochwie. Poczowała jak niesforne włoski na karku, te, których nie mogła wpleść w warkocz, prężą się i sztywnieją. – Gregus? Boję się... – Uprzytomniła sobie, że pierwszy raz w życiu przyznała się do strachu. Natychmiast ogarnęła ją złość. Rozwarła zaciśnięte szczęki i wydusiła z siebie: – Musimy sprawdzić co to jest!

Chłopiec wolno ułożył palce na rękojeści, był gotów w każdej chwili wyszarpnąć sztylet i wbić go we wroga. Rozejrzał się, trafił wzrokiem w pełne napięcia spojrzenie Sandii, to

wystarczyło, by oboje uznali, że nie odejdą nie wyjaśnwszy przyczyn własnego niepokoju. Oboje go czuli i nie potrafili umiejscowić – dopiero co przebyty stok aż do wody był pusty, porośnięty starą ubiegłoroczną i kępkami już tegorocznej trawy, w kilku miejscach czerniały wydarte ich stopami płytkie i nieregularne wyrwy w murawie. Niepokój wzrastał w miarę podchodzenia, więc to coś musiało być tu, na górze, przed szpalerem drzew otaczających z kolei pierścień skalnych palic. Kiedyś Sandia powiedziała, że wyglądają jak pępek olbrzyma, zagrzebanego w ziemi giganta, któremu wystaje tylko spod ziemi wypukły duży pępek. Od tej chwili tak mówili o skałach. Teraz Gregoryn poruszył brwią w kierunku skał i szepnął:

– Pępek...

Sandia miała szeroko otwarte oczy, widniało w nich zaniepokojenie i strach, nie przyznałaby się za skarby świata do lęku, ale nie potrafiła go też ukryć. W duszy chłopca rozegrała się krótką, ale intensywną walką, z jednej strony szanę rozumu obsadzał rozsądek, który mówił, że nie mają broni, są dziećmi i nikt z dorosłych nie wie, że potrzebują pomocy, z drugiej strony szturmowały je głosy harde: A co tracimy? Komu na mnie zależy? Może jak coś zrobię to nie wyjadę z domu?! Serce zabiło mocniej na ostatnią myśl. Puścił sztylet, chwycił za rękę dziewczynkę i pociągnął pod niemal nagie gałęzie drzew. Odruchowo ustawili się tak, że Sandia miała na oku stok wzgórza, a Gregoryn drzewa i lukę w nich prowadzącą do Pępka.

– Zostań tutaj, ja pójdę sprawdzić Pępek. Gdybym nie wrac...

Odwróciła się do niego i popatrzyła z taką siłą, że chłopiec kłapnął zębami zamykając jak mógł najszybciej usta.

– Jeszcze raz mi zaproponujesz taką rolę!.. – syknęła i nagle poczuła, że jej strach uleciał błyskawicznie, a przyjaciel nie: został i uśmiecha się ironicznie. Podstawiła mu pod nos zaciśniętą piastkę. – Zabiję!

– No to chodźmy, ja mam nóż więc pierwszy. Ale cicho!

Szybko ruszył nie dając jej czasu do namysłu, sztylet trzymał w opuszczonej ręce, ale – jak go uczył Farnepel – ostrze kierował w górę i do przodu. Sandia idąc z tyłu ze zdziwieniem zauważyła, że kuleje bardzo mało, lewą stopę stawia mocno, topornie, ale pewnie, w każdym razie pewniej niż wcześniej. Weszli pod gałęzie, kapwały z nich krople wody, czasem trafiały w głowy dzieci, ale one nie reagowały na to. Zapach rozżarzonego metalu i jeszcze czegoś niewiadomego stał się mocniejszy, wyraźniejszy, zabijał już wszystkie inne, z przeciwnego brzegu parowu nadleciał nieśmiały wietrzyk, na krótką chwilę przyniósł zapach pączkującej zieleni, ale zaraz ustąpił miejsca ciężkiej metalicznej woni. W szpalerze drzew widniała przerwa, która – jak to świetnie dzieciaki wiedziały – prowadziła do szczyby w szczelnym pierścieniu skalnym. Dlatego uznali kiedyś, że można by tu zbudować warownię – mury były już niemal gotowe, studnia dostarczyłaby wody, las trzeba by wyciąć i niewielka załoga dałaby radę powstrzymać ogromne siły wroga. Teraz znaleźli się w naturalnej przecince, zrobili kilka kroków, weszli między wysokie szczelnie przylegające do siebie, tworzące zwarty wysoki mur, iglice. Skręcili w bok. Gregoryn odwrócił się i zerknął pytająco na Sandię, skinęła głową, też usłyszała niskie buczące brzęczenie, jakby kilka rojów szerszeni toczyło ciężki bój o jedną wydrążoną kłodę. Zrobili jeszcze kilka kroków, przysunęli się do skały; teraz wystarczyło wychylić głowę, by zobaczyć polanę otoczoną wysoką palisadą kamiennych palic, ale coś powstrzymało dzieci przed tym krokiem. Chłopiec zerknął do tyłu, dziewczynka odpowiedziała mu bezradnym spojrzeniem, zamierzała położyć rękę na ramieniu i powstrzymać przed ostatnim, dla niej już wyraźnie niebezpiecznym, niepotrzebnym krokiem, ale Gregoryn ruszył do przodu, a pozostawianie przyjaciół w niebezpieczeństwie nie leżało w charakterze Sandii, zrobiła dwa długie kroki i ramię w ramię weszli na polanę.

Potrzebowali na to trzech dziecinnych kroków.

W połowie drugiego czuli, że trzeci powinien skierować ich z powrotem.

Ale nie zrobili tego.

Kończąc ten trzeci wiedzieli, że popełnili błąd.

I zaczęli się bać.

Sandia chwyciła za uzbrojoną rękę Gregoryna, ścisnęła i zrobiła pół kroku w tył, chłopiec okręcił się na zdrowej stopie, choć głowa nadal była skierowana na polanę. Dziewczynka pociągnęła mocniej, odwróciła się i jęknęła. Dopiero teraz Gregoryn energicznie przestąpił z nogi na nogę stając plecami do środka polany. Było już i tak za późno. Zanim zdążyli chociażby krzyknąć ogarnął ich mrok, miękki, nieprzyjemny, bo duszący, pełen zapachu rozgrzanego metalu i czegoś, co od biedy dałoby się nazwać suchą wodą. I jakiejś ostrej ziołowej przyprawy. Nagle, równie niespodziewanie jak zapadła ciemność rozwiała się i skamieniały, nie mogący i nie chcący mimo strachu poruszyć nawet powieką, Gregoryn zobaczył, że niemal całą przestrzeń w palisadzie skał wypełnia granatowo-bura, jak burzowe niebo, masa. Przypomniał sobie jak kiedyś uciekając przed burzą wpadł do pustego spichlerza, przez szereg okienek wpadało mdłe słabe światło, a na środku czaił się granatowo-czarno-zeliwny mrok. Uciekł wtedy czym prędzej, jądro mroku wystraszyło go, tak jak to tutaj. Ale tutaj tkwił skamieniały wiedząc, że cokolwiek by się stało nie ucieknie zostawiwszy Sandię. Chciał poruszyć ręką, by dotknąć przyjaciółki, ale nie zdążył – na kokonie mroku rozjarzyło się kilka jaśniejszych plam. To są drzwi, przebiegła przez głowę chłopca myśl, a z tych drzwi wypadają i pędzą na nas... Co to jest?!

Cadron kichnął i obudził się. W pokoju panował półmrok, kominek przygasł niemal zupełnie, tylko pojedynczy szereg karminowych węgielków znać ślad ognia w drewnie. Z sześciu świec cztery zgasły, jedna zupełnie niedawno, bo właśnie swąd jej tłącego się knota zaświdrował w nosie. Kajtys drzemał z głową obsuniętą na pierś, skulony na krześle przy łożu Hondelyka, kichnięcie Cadrona wyrwało go z bezdennych pokładów do płytszych – poruszył głową, pyknął wargami, ale zaraz zapadł z powrotem w głęboki sen. Cadron chwilę walczył z oporną pamięcią złośliwie podsuwającą tylko świadomość śnienia dziwnego, ale nie straszego i ciekawego snu, zmagał się z umykającą jego końcówką i nie mogąc nic więcej sobie przypomnieć wstał w końcu i wzięwszy dwie świece z pęku zapalił je w świecznikach. Nasilający się blask padł na schowaną dotychczas w cieniu twarz rannego. Rysy Hondelyka rozmyły się, zatraciły w obcej pobrużdżonej, poznaczonej cierpieniem twarzy starca. Czując zimne ciarki na plecach Cadron na palcach podszedł bliżej.

O bogowie, pomyślał, czując ciężką pelerynę strachu przygniatającą go do ziemi. To Ttafeond! Wypisz-wymaluj król Ttafeond, gdy nas powitał, a właściwie później, gdy Hondelyk już się zgodził go zastąpić! Ale co to znaczy – odzyskuje siły i dlatego może się przeistaczać czy też ciało samo przybiera jakieś zapamiętane kształty? Dlaczego nigdy z nim o tym nie rozmawiałem!? Przecież nic nie wiem o jego zdolności, prócz tego, że byłem przy kilkunastu przeistoczeniach... Coś powinienem, ż-żeby to!.. Co? Co!?

Podszedł na palcach jeszcze bliżej. Wyciągnął rękę i dotknął wierzchem dłoni policzka przyjaciela. Był ciepły, nawet bardzo ciepły. Odetchnął z ulgą. Nagle przez twarz Hondelyka przebiegł skurcz, jakby pod wpływem dotknięcia przypomniał sobie w jakiej postaci występuje i rysy drgnąwszy po dwakroć ułożyły z powrotem w znaną twarz.

Gdy dotknąłem Hondelyka wrócił z jakiegoś dalekiego świata do swojej postaci, uświadomił sobie Cadron. Muszę go pilnować, bo jeszcze kto zobaczy...

Jakby na potwierdzenie tych myśli ranny jęknął cicho i drgnął, a gdy Cadron rzucił spojrzenie na medyka i wrócił wzrokiem do warzy przyjaciela, to na jej miejscu zobaczył oblicze innego człowieka – nalana czerstwa rumiana twarz... Jak mu tam? Zendel Gar-

Trutnie! Tak, ten grubas... Och nie! Przecież na zmiany zużywa się furę życiowej energii! Teraz potrzebuje jej do czegoś innego, a nie do miotania się po użytych powłokach!

Błyskawicznie położył rękę na czole leżącego, znacząco przydusił, gładkie pulchne czoło niemal natychmiast zapadło się i pod dłońią czuł już bruzdy suchej ciepłej skóry. Odetchnął. Przez cały czas muszę go trzymać w płytkim śnie, pomyślał Cadron. Nie wolno go puszczać w ten sen, gdzie traci kontrolę nad własnym ciałem, musi jakąś częścią siebie być zaczepiony o normalne życie, o ten pokój, tę noc. Chyba lekkie hałasy, jakieś dźwięki trzymały go tutaj, a gdy wszystko ucichło – zaczął odpływać.

Cadron jakimś ubocznym myśleniem, w jakiś natrętny sposób atakowany innymi myślami odpychał je od siebie gorączkowo myśląc o czymś innym. A owe obce niedobre myśli szeptały: „Po prostu umiera. U–mie–ra! Nie panuje nad ciałem. Jak nie panuje świeżo powieszony, jak – pamiętasz? – nie zapanował ten biedak, na którego zwał się kawał muru i zapach krwi i bólu zmieszał się z odorem uryny i kału?! Jak...”.

Odsunął się gwałtownie, potracił stół, zabrzączały flakoniki, a jedna ze świec wyrwała się ze swego gniazda w świeczniku i stuknęła głucho rozmięczonym końcem o stół. Kajtys poderwał głowę z piersi i szybkim pełnym winy spojrzeniem obrzucił Cadrona. Obaj jednocześnie odwrócili się do Hondelyka, Cadron z ulgą zobaczył, że przyjaciel nie obudził się, ale ma swoją twarz.

– Nie możemy obaj spać – powiedział. – Obudził mnie jego szept, choć nie usłyszałem, co mówił. – Miał wyrzuty sumienia, że kłamie sumiennemu medykowi, ale nie mógł mu przecież powiedzieć, że w komnacie musi być jakiś hałas, muszą dźwięki trzymać rannego w tym świecie. – Tak nie może być – zakończył zdecydowanym tonem.

– Oczywiście – zgodził się szybko Kajtys. Poczucie winy widoczne było w każdym jego ruchu, w pochyleniu głowy, o spojrzeniu nie wspominając; zakrzętnął się poprawiając niepotrzebnie futro, dotykając policzka, dłoni, rzucił się do stołu i najpierw zapalił świecę, potem pochrząkując przemieszał woreczki i butelki. – Może czuć się lepiej skoro się odzywa – bąknął.

– Pewnie tak – powiedział cicho Cadron. Miał nadzieję, że mówi wystarczająco cicho i niewyraźnie, by żaden ze złośliwych bogów nie usłyszał i przekornie nie zadecydował o innym losie Hondelyka.

– Ale lekką gorączkę chyba ma – powiedział konował i przygryzł dolną wargę. – Będę szczerzy, panie – to też może zabić.

– Nie kracz!

– Nie kraczę, tylko już zdarzyło mi się tłumaczyć...

– Rób, co masz robić i nie przejmuj się tłumaczeniem – przerwał Cadron. Przemaszzerował się po izbie, ziewnął, przeciągnął się. Rzucił okiem na Hondelyka i uspokojony, widokiem znanej twarzy przemierzył izbę jeszcze kilka razy. Medyk w tym czasie zmieszał coś jeszcze i zaaplikował choremu. Cadron przechwycił zatrwożone spojrzenie, zawrócił i stanął przed medykiem. – Mów, co masz do powiedzenia, nie ma czasu na ukrywanie czegoś. – Dźgnął palcem w mostek Kajtysa. – No?

Medyk pokręcił głową: – Nie jest dobrze. Oddech coraz płytszy, może być, że w płucach zaczyna się wydzielanie gorączkowej flegmy. To utrudni oddychanie, zmusi serce do energiczniejszej pracy, a to może przerwać świeżą bliznę.

Cadron zamarł w bezruchu, miał świadomość, że po kilku godzinach oczekiwania uznał postępujący proces zdrowienia za przesądzony i właśnie usłyszane słowa zaskoczyły go. Potoczył bezradnym spojrzeniem po izbie.

– To... Co można... Co mogę zrobić? Mów! Potrzebujesz pieniędzy? Pomocy? Coś ci przywieźć?.. – Kajtys wolno kręcił głową. – No to co?

– Nic. Po prostu możemy czekać...

– Czekać to dać szansę przeciwnikowi – powiedział z goryczą Cadron. – Hondelyk tak mawia – odruchowo wskazał brodą przyjaciela.

– Wiesz przecie kto tu jest przeciwnikiem – mruknął medyk.

Oby Mistrz Skon nie usłyszał, pomyślał Cadron i szybko złożył w kółka kciuki i wskazujące palce. Z tak ułożonymi palcami przedstawiany był Mistrz Skon. W głosie konowała zabrzmiała pewna dziwna nuta, jakby ukrywanego lekceważenia czy protekcjonalnej pobłażliwości. Nie ośmielił się jednak zapytać o powody takiego tonu.

– Może jakiś kataplazm? Gorący napar...

– Nie!

– No to... – zawahał się i nagle uprzytomnił co go dręczy od kilku chwil. – Babayagr! Czy on może pomóc?

W przeciwieństwie do wcześniej prezentowanej niechęci tym razem Kajtys zawahał się i niemrawo poruszył ramionami. Lekka zmarszczka przebiegła przez jego twarz poruszając wąskim nosem, poruszył wargami jak wyszarpnięty z wody karp.

– Próba nie zawada – wydusił w końcu. – Ale jest noc – dodał innym tonem.

– To co? Mówże!

– No nic... Tylko nikt tam nie chodzi po nocy...

– A chrzanisz, konowale!

Zadowolony, że może działać, że nie musi bezradnie i beczynn timer patrzeć na zawieszzone nad przepaścią przyjaciela rzucił się do kąta, szarpnięciem wydobył ze stosu rzeczy pelerynę, jeszcze wilgotną, ale nie szukał innej. Z mieczem w ręku na palcach opuścił izbę; na korytarzu pełgał ogień tylko jednego kaganka, ale to wystarczyło, by znaleźć schody i zbiec po nich. Karczma była pusta i cicha, zaspana, musiała by późna noc, ale Cadronowi nie chciało się iść do izby głównej i sprawdzać na wodnym zegarze godziny. Po omacku wy dostał się na podwórze, deszcze wreszcie ustał, noc była jasna, pełnia, i ucieszony mocnym światłem księżyca Cadron pomaszerował do stajni, po drodze szturchańcem obudził „pilnującego” obejścia uzbrojonego w drewnianą tarczę i krótki miecz strażnika i powiadomił go, że zamierza wyjechać i wrócić.

– Niech–no się okaże, że nie będę mógł tu wejść, to pożałujesz! – zagroził.

– Co też, panie! – zachnął się wartownik, ale jego zaspany głos nie zostawiał miejsca na złudzenia.

Nie zawracał sobie już nim głowy, nie szukał też siodła, wyprowadził trochę zdziwionego Gabera i ominąwszy stojącego przy uchylonym skrzydle bramy dozorcę wyszedł przed karczmę, wskoczył na grzbiet wierzchowca. Znał już drogę i bez kłopotu wy dostał się inną drogą na pola, by szybko znaleźć się pod dwoma izbami. Starannie przywiązał konia do giętkiej młodej brzozy, podszedł do chaty i zastukał, najpierw lekko, a po chwili mocniej, na końcu dwa razy stuknął pięścią. Długą chwilę nic nie wskazywało, żeby hałas obudził czy wywołał Babayagra, potem jednak coś zabręczało, jakby miska spadła na podłogę czy została potracona wolno przesuającą się stopą.

– Babayagr! Potrzebuję pomocy! – krzyknął Cadron. – Mam rannego przyjaciela. Słuchaj!

Coś szurnęło przy drzwiach, Cadron przestał wrzeszczeć, odsunął się trochę, ale, ku jego zdziwieniu, drgnęła i otworzyła się tylko górna połowa drzwi, jak w niektórych bogatych i dużych stajniach. Z czerni otworu wyłonił się grot, a Cadron poczuł, że brakuje mu powietrza – z takiej odległości nikt jeszcze nie mierzył do niego z napiętej kuszy. Grot był wykonany ze sklepanych umyślnie niedbale kilku płatków metalu, które po uderzeniu w cel rozchyłały się jak kwiat. Barbarzyński wynalazek rozwierał niewiarogodnych rozmiarów ranę i niemal uniemożliwiał normalne wyjęcie bełta z rany.

– Ktoś? – warknął trzymający kuszę, a broń wahnęła się, jakby nie miał pewnej ręki, albo trzymał ją jedną ręką, albo był pijany. W każdym z tych wariantów bełt miał do przebycia nieznośnie małą odległość. – Czego?

– Zatrzymałem się z przyjacielem w karczmie. On został napadnięty i zraniony, blisko serca, ciężko. Potrzebuję pomocy.

Grot bełtu kiwnął się, potem kusza dziwnie zadarła się w górę, potem wykonała coś, czego Cadron nie przewidziałby w najgorszym śnie – gwałtownie opadła w dół i uderzyła łóżem w ramę drzwi z grotem niemal rysującym mu bruzdę na nosie. Nie czekał aż puści mechanizm spustowy i runął na ziemię. Za drzwiami coś zaszurało, stuknęło, ktoś coś warknął. Zgrzytnął rygiel, zawiasa drzwi rozdarła się w wniebogłosy, stało się jasne, że wdarcie się do domu znachora bez obudzenia połowy wsi jest wykluczone. Cadron podniósł się, czyszcząc dłonie i otrzepując spodnie uważnie wpatrywał się w ciemność za drzwiami.

– Wchodź! – rozkazał obcesowo głos niewidocznego ciągle Babayagra. – Próg jest niewysoki, ale nie próbuj niczego!

– Czego miałbym próbować? Przyszedłem po pomoc.

– Niejeden już tak gadał! – warknął z ciemności głos. I dodał z mocą: – A teraz leży pod ziemią z pyskiem pełnym korzeni trawy!

Cadron zrozumiał, że gospodarz boi się go, odetchnął więc po kryjomu, stanął nieruchomo i czekał. Cicho odetchnął przez nos kilka razy, w izbie panował dziwny zapach, jak w stolarni czy bednarni.

Drzwi za plecami wrzasnęły, znowu ogłaszając światu, że przemierzyły półkolistą ograniczoną drogę. Potem, w końcu, gospodarz krzesał ognia i zapalił kaganek. Cadron przyjrzał się i zdębiał. Babayagr był karłem. Gdy chwycił w krótkopalce dłonie kaganek i poniósł do stołu, gdy pełgające światło opadło na jego twarz okazało się, że skóra ma niespotykany kolor szarofioletowy, a na brzegach uszu łuszczy się i odpada płatkami. Podobnie wyglądała na rękach – placki nieco jaśniejszej, odrobinę bardziej czerwonej skóry upstrzyły wierzchy dłoni. Karzeł miał wypukłe bardzo mięsiste wargi; gdy wdrapał się na wysoki zydeł, postawił kaganek i wbił spojrzenie w gościa okazało się, że pulchne wargi, z powodu sercowatego kształtu nie mogące się ze sobą zetknąć, odsłaniają fatalne zęby – niemal czarne, nierówne co do długości i szerokości i z różnej szerokości szparami pomiędzy nimi. Cadron zaczerpnął powietrza, drugi raz i jeszcze raz. Kusza leżała pod ręką karła, za daleko, by gość mógł szybko jej sięgnąć, fatalny grot zerkał na jego pierś.

– No? – warknął karzeł. – Nagapiłeś się?

– By–e... Ja... Hęgh–hm! Tak, ja mam prośbę: ranny... Ranny jest mój przyjaciel, uderzony nożem w serce, prawie w serce – poprawił się. – Ostrze otarło się o serce...

– Krwawi? – przerwał gospodarz przekrzywiając głowę i drapiąc się głośno po porośniętej rzadkim mokrym, pewnie spoconym we śnie włosiem, język przejechał po wargach, był biały i matowy.

– Nie, chyba nie, ale wdała się gorączka...

Karzeł pokiwał głową.

– Ta – rzucił krótko. Znowu kiwnął głową jakby do swoich myśli. Wsadził palec zakończony zielonkawym paznokciem do ucha i energicznie nim potrząsnął aż ruch wprawił w drżenie całą głowę. – Gorączka przeniesie się albo umiejscowi w płucach, wypełnią się flegmą. – Babayagr wyjął palec z ucha uważnie przyjrzał się paznokciowi. – Twój przyjaciel się po prostu utopi.

Przełknięcie twardej guli wyrosłej w gardle okazało się niezmiernie trudne, ale w końcu Cadronowi udało się tego dokonać. Karzeł plasnął dłonią o stół i rzuciwszy: – Nie ruszaj się! – zeskoczył z zydeł. Po chwili przyniósł dwa inne kaganki i rozpałił je. W izbie pojaśniało. Cadron wolno rozejrzał się, pod ścianami stały leżały i wisiały na ścianach kosze, koszyki, płaskie wiklinowe talerze, patery, prostokątne pudła bez wiek i z wiekami,

ale najwięcej było związanych z gałązek grabiny mioteł z długimi prostymi ostruganymi do białego drewna kijami. Babayagr wdrapał się na zydel, potrąciwszy łokciem kuszę, Cadron omal nie jęknął.

– Mógłbyś odsunąć trochę tę broń? Albo skierować w inne miejsce? Tak przy okazji – niektórzy władcy za taki grot wieszają za nogi nad ogniskiem.

– A inni niektórzy mają mi co nieco do zawdzięczenia – powiedział z naciskiem karzeł.

Cadron wzruszył ramionami: – Nie zamierzam cię pouczać...

– Myślę – w końcu przyszedłeś to po pomoc! – prychnął gospodarz dając dowód świadomości swojej wagi.

Przy prychnięciu trochę śliny wyprysnęło mu z ust, jakaś kropelka trafiła w kaganek, zaskwierczał knot. Cadron z trudem przełknął ślinę, postanowił nie ustępować za bardzo pola. Na dłuższą metę zawsze była to zgubna taktyka.

– ...i gdyby grot mierzył w co innego – niechby sobie mierzył. – Wyciągnął rękę, a kiedy karzeł drgnął wskazał kciukiem siebie i dodał: – Pod koszulą mam najcieńszą i najtrwalszą z możliwych kolczugę, wyrób tmutarakańskich mistrzów, znasz to?

Karzeł nie mógł znać wymyślonego właśnie miasta słynącego z wymyślonych w tej chwili kolczug, ale nie zamierzał się do tego przyznawać. Pokiwał głową i sapnąwszy trącił broń tak, że celowała daleko od boku Cadrona.

– No? Zadowolony?

– Tak. Ale bardziej będę, gdy udasz się ze mną do karcz...

– Na pewno nie! – uciał Babayagr. – Nigdzie się do nikogo nie udaję.

– Ale pomoc...

– Jeśli zdecyduję się na pomoc to wystarczy jeśli się zdecyduję – znowu przerwał gospodarz i Cadron zrozumiał, że kłótnia do niczego nie doprowadzi.

– Dobrze, zgadzam się na twoje warunki tylko pomóż przyjacielowi.

– Zapłata? – szybko rzucił gnom.

– Jaka zechcesz.

– Słowo?

– Słowo!

– Dobrze, w takim razie wybieram z góry i natychmiast. – Na jego obliczu rozgościł się szeroki chytry uśmiech.

– A co z pomocą?

– Jak tylko otrzymam zapłatę.

– Płacę!

– Dobrze – powtórzył Babayagr. – Zapłata jest taka – przyniesiesz mi jeden zużyty czar...

Cadron otworzył usta, ale uświadomił sobie, że gospodarz umilkł i czeka na jego protesty. Skinął głową jakby się zgadzał na żądanie. W końcu, pomyślał szybko, musi coś więcej powiedzieć. Wtedy będą się targować. Karzeł rozczarowany milczeniem gościa poruszył zuchwą, jakby coś rozgniatał między zębami.

– Jest takie miejsce, taki śmietnik z zużytymi czarami. Niektóre czary zużyte znikają, inne zostawiają po sobie ślad na tym właśnie śmietniku. Wyślę cię tam, przyniesiesz mi jeden, a ja natychmiast spróbuję ulżyć twojemu przyjacielowi.

– Uratujesz go?

– Nie, źle mnie zrozumiałeś – pomogę. Nie gwarantuję skutku, nie wiem jak blisko jest Mistrz Skon. Na pewno nikt więcej nie zrobi niż ja, ale to nie musi wystarczyć. Zresztą, twój druh może już nie żyje...

– To jaki ja mam w tym interes?..

– Jeśli się da to pomogę. Ja, nie ten cały Kajtys!

Zapadła cisza. Cadron bał się ugody i jednocześnie przemawiała do niego arogancją i pewnością siebie karła. Mógł, oczywiście, być chamskim naciągaczem, ale wtedy dlaczego karczmarz niemal natychmiast wywołał jego imię?

Dlaczego Kajtys niechętnie, ale przystał na propozycję wykorzystania jego pomocy?.. Musiał mieć w okolicy dobrą opinię. Jeśli tak...

– Zgoda. Byle szybko. Wolałbym, na twoim miejscu będąc, żebyś nie odchodził stąd zagniewany! – zagroził.

Ale nie zrobiło to na karle żadnego wrażenia. Zeskoczył ponownie z zydlu i pognął kiwając się na krzywych nóżkach do kufra po ścianę. Wyjął stamtąd dwa flakoniki, postawił na stole, rzucił się do kufra jeszcze raz i coś pomrukując pod nosem dołożył do flakonów dużą butlę i czarękę. Z flakoników niedbale chlusnął po niewielkiej porcji ciemnych ostro pachnących cieczy, dopełnił czymś, co miało konsystencję i zapach starej miodówki i podsunął Cadronowi.

– I to tyle?

– Tak.

– Ależ ja nie wiem co mam robić!

– Powiedziałem – przynieś czar. Nie obawiaj się, nie pomylisz tego z niczym.

– Ale gdzie ja będę, gdzie jest...

– Zaraz! Ty wypijesz to – wskazał palcem czarękę. – Ja użyję magii, by przenieść cię do Krainy Yuliq, a tam już będziesz musiał sam sobie radzić. No? – Przynął czarękę do gościa.

Płyn miał smak rzeczywiście starej dobrej miodówki zepsutej jakimiś gorzkimi domieszkami. Z żołądka cofnęła się fala wzburzonych kwasów, Cadronowi odbiło się głośno, zakręciło w głowie. Zdziwił się, że tak zareagował na płyn, szerzej otworzył oczy, bo w izbie nie wiadomo dlaczego ściemniało. Zaraz gruchnę na podłogę, pomyślał leniwie. Głupio postąpiłem. Hondelyk czeka na pomoc, ja zaś zawierzyłem jakiemuś karłowi, który głupoty plecie o czarach i magii, a sam podsunął mi miodówkę z makowiczą... Przy tym mag z niego jak z capa koń bojowy.... Nawet nie wykrył, że łzę o kolczudze... Cadronie, jakież z ciebie głu... głup... głu...

Obudził go natrętny promień słońca penetrujący połać lasu pod drzewami, pod wysokimi krzewami; właściwie promień nagrzał tylko siodło usadowiwszy się na błyszczącej skórze na długą chwilę, a śpiący odwróciwszy się i ułożywszy policzek na tym rozgrzanym miejscu poderwał się wystraszony. Ręka od razu spoczęła na rękojeści miecza, druga poszukała czegoś odpowiedniego do osłonięcia ciała od cięcia. Ale nie było kogo ciąć i nikt nie zamierzał pchnąć go sztyletem. Jakież dwie ptaszyny postanowiły zmierzyć się w długości i urodzie swych trelu i rozpoczęły zmagania tuż po przebudzeniu Wędrowca, jakby zamierzały właśnie jego wybrać sobie na sędziego konkursu. Widząc, że nic i nikt mu nie zagraża z przyjemnością posłuchał śpiewu i okazawszy się niewdzięcznikiem – nie zamierzając wdawać się w jakiegokolwiek rozstrzygnięcia – przeciągnął się najpierw na siedząco, potem, gdy wstał, raz jeszcze, przykucnął dwa razy i rozgrzany, a jednocześnie zgubiwszy senną nieruchawość, podszedł do konia od dłuższej chwili przeciągłym cichym parskaniem zapraszającego mężczyznę do siebie. Wędrowiec poklepał konia po szyi, przeniósł derkę na płamę słońca, a kawałkiem suchej szmaty dokładnie przetarł skórę wierzchowca.

– Poczekaj, potem pójdziemy do źródła – powiedział doń.

Wrócił do legowiska, przypasał miecz, jeszcze raz się przeciągnął. Zamarł na chwilę ze zmarszczonymi brwiami, jakby usiłując coś sobie ważnego przypomnieć i tak właśnie było – coś mu pozostało z wczorajszego dnia i usiłował przypomnieć sobie co, wspomnienie

jednak pozasłaniało się jakimiś innymi myślami i nie dawało się wyciągnąć na światło dzienne.

– Może tylko mi się coś śniło? – mruknął mężczyzna do siebie jak człowiek od dawna samotny i zmuszony do rozmowy samym sobą, kiedy raz przemawia do siebie głosem, raz – myślą. – Albo później sobie przypomnę...

Wzruszywszy ramionami odwrócił się do wierzchowca zamierzając podejść i spełnić daną przed chwilą obietnicę, ale nagle doleciał go z okolic pobliskiego źródła dziwny jękliwy i piskliwy dźwięk. Wędrowiec od dawna nie spał w bezpośredniej bliskości wody, tam zawsze gromadził się zwierz i człek, nie zawsze wobec niego przyjaźni. Teraz też do wody miał kilkanaście kroków. Przebył je szybko i cicho, mimo że po drodze miał gęstwinę krzewów kryżnicy i sałamachy, a w ręku niósł cienki i lekki, ale długi miecz. Bezszelestnie pojawił się na skraju płataniny krzewów i jednym długim spojrzeniem ocenił sytuację na polance. Po prawej miał źródło, po lewej – ścieżkę zwierzyny podchodzącej do wodopoju. Na ścieżce stała sarna wpatrując się w Wędrowca miękkim spojrzeniem ogromnych ciemnych cierpiących oczu. Z jej karku sterczał bełt, sarna stała bokiem, więc nie widział jak mocno skrwawiona była jej pierś, ale sądząc po tym co wyciekło na bok musiała być poważnie wyczerpana. Z drugiej strony, nad źródłem, do sterczącej nad taflą wody gałęzi ktoś przywiązał dziwny puchaty sznur, koniec sznura oplątywał złożone razem stopy traupa, a traut wpatrywał się w Wędrowca błagalnie, niemal tak błagalnie jak sarna. Potem jego spojrzenie prosząc: „Nie odrywaj ode mnie wzroku!” przeniosło się do góry, na sznur. Wędrowiec zmarszczył brwi i zobaczył teraz, że puchatość sznura polega na tym, że oblepiony on jest tysiącami mrówek, a w dwu miejscach przecięły one go już niemal całkowicie. Traut, którego skóra w normalnych warunkach ma nieapetyczną jasno-fioletową barwę, teraz miał odcień blado-siwo-czerwony, przy czym głowa, jako część najniższej położona, miała najwyraźniejszy kolor czerwony, a im wyżej, poprzez splecione ręce aż do oplątanych nóg ciało nabierało koloru bledszego i fioletowego. W zupełnej ciszy nagle głośno turknął jakiś pękający splot sznura. Traut zakolysał się, a jego oczy i tak zazwyczaj duże, okrągłe i wytrzeszczone, teraz wyglądały jak dwie dolne połówki dużych czerwono-żółtych grusz. Sarna wyczuła wahanie Wędrowca i przestąpiła z nogi na nogę, trafiła kopytkiem w kamień i ten dźwięk zagłuszył trzask pękającego włókna. Traut cicho jęknął.

Wędrowiec rzucił się do źródła. Zamierzał ciąć mieczem, los mu pomógł – gdy wyciągał rękę, chcąc od lewej sięgnąć sznura ten pękł, a traut zaczął spadać do wody i skuczyć jednocześnie, mężczyzna rzucił się do przodu i wysunawszy lewą rękę chwycił za gołen skwira. Sam rozpędzony miał do wyboru albo wpaść do źródła albo przeskoczyć je, spróbował tego drugiego, ale lustro wody było zbyt duże – wpadł po kolana do wody, wzbija się fontanna kropel, a traut zaskwirzył cienko i falująco. Jego rozdwojony ogon podskoczył do góry i opadł uderzając płasko w przedramię ratującego go Wędrowca. Mężczyzna zaklął pod nosem, wydostał się z wody i przypomniawszy sobie o sarnie rozejrzał wciąż trzymając w niewygodnej pozycji, do góry nogami, traupa. Sarna zniknęła.

– Hm? – mruknął mężczyzna. Wyszarpnął z pochwy sztylet, położył traupa na trawie i ostrożnie popiłowałszy lepki sznur uwolnił go z więzów. Skwir przeturlał się, usiadł z widocznym wysiłkiem, odrzucił resztki sznura i długą chwilę chrząkał, kaszłał, pochrypywał.

– Dzięki ci, szanowny panie – powiedział w końcu drżącym głosem. – Może jesteśmy mali, ale nasza wdzięczność jest równie duża jak Wielkich Ludzi. Tym bardziej, że, widziałem to, miałeś do wyboru pomoc innemu stworzeniu. – Wstał, zatarł przybierające już normalną fioletową barwę ręce. – W końcu nie wiedziałeś, że ranna sarna była li tylko wytworem magii Batchaline'a.

Spojrzenie Wędrowca jeszcze raz pobiegło do miejsca, gdzie przed chwilą drżało ranne zwierzę. Wyciągnął szyję, spenetrował wzrokiem ścieżkę – była czysta, trawa trwale wyprostowana, ani śladu juchy.

– Batchaline rzucił standardowy czar opcjonalny – powiedział traut. – Cykliczny, rzecz jasna, czyli pojawiał się na ścieżce wściekły kougur, żeby wystraszyć, potem lamentująca dziewczynka ze zwichniętą kostką, pardrwa ze zwichniętym skrzydłem i – na końcu – ta sarna – zakończył nie kryjąc wstrętu. – I od nowa. Widziałem ten cykl siedemnaście razy, coś okropnego.

Stworek najwyraźniej odzyskiwał kontenans, nadzwyczaj szybko, biorąc pod uwagę, że przed momentem jeszcze wisiał na włosku nad lustrem wody, która, jak wiadomo, jest śmiertelnie groźna dla trautów. Człowiek uwolniony ze śmiertelnego niebezpieczeństwa jeszcze dłuższą chwilę gadałby od tym jak śmierć patrzyła mu w oczy, jak się męczył, jak żegnał w myślach z bliskimi i przyjaciółmi. Skwir odzyskiwał o wiele szybciej kolor i dobry humor.

– Czar, nie oszukujmy się, był zadany niedbale, w pośpiechu, tym nie mniej cała masa ludzi rzuciłaby się do tej pozornej sarny, która zrobiłaby kilka kroków resztką sił, potem jeszcze kilka, a ja w tym czasie wpadłbym do wody! – wykrzyknął z wyraźną pretensją w głosie. Wędrowiec uniósł brew, skwir przesłonił, po raz pierwszy od poznania, błonami łuskowymi oczy, chwilę trwał nieruchomo. Westchnął. – Przepraszam, ale tyle czasu wisiałem do góry nogami... Te mrówki, które bezmyślnie ciąły sznur byle zebrać odrobinę więcej przekłętego miodu!

Wykrzywił w skierowaną w dół podkowę zaciśnięte płaskie wargi. Wypukłe oczy popatrzyły na człowieka z nadzieją. Wędrowiec uśmiechnął się, pochylił i położył dłoń na cieplej, porośniętej miękkim puchem głowie.

– Musiałeś mu się narazić, temu magowi...

Błony łuskowe zasłoniły na chwilę oczy. Traut wzruszył ramionami, rozdwojony ogon zwinął się i rozwinął. Coś mi o takim zachowaniu mówiono, pomyślał Wędrowiec, oznaka zdenerwowania? Strachu? Wstydu? Chęć okłamania rozmówcy? Zadolenie?

– Nie mówmy o tym – bąknął skwir. – To nic przyjemnego.

– Dobrze – wzruszył ramionami mężczyzna. Wyprostował plecy, podszedł do leżącego na ziemi miecza, podniósł, dwoma wypracowanymi ruchami przetarł głównię połą kaftana i włożył do pochwy. Rozejrzał się dokoła, opuścił wzrok na ciamkający przy każdym kroku but. – No to bądź zdrow!

Skierował się dokoła źródła w stronę swojego biwaku.

– Zaraz, poczekaj, panie! – usłyszał z tyłu pośpieszny krzyk i chlastanie gałęzi. Obejrzał się, traut pędził w jego kierunku z wyrazem zaniepokojenia na pucołowatym, a jednocześnie chudym pyszczku. – Chcesz odejść?

– Tak, mój mały. Mam... swoje plany przecież.

– A ja?

Wędrowiec poczekał aż skwir podejdzie bliżej.

– Nie znam się na twoim plemieniu – powiedział usprawiedliwiającym się tonem. – Czy uratowanie cię wiąże się z jakimiś szczególnymi... zobowiązaniami?

Po raz pierwszy od poznania traut uśmiechnął się szeroko. Miał po dwa szeregi drobnych szerokich siekaczy i trzonów; na kły, zęby mięsożerców, nie było w szczękach miejsca. Język miał delikatny różowawy kolor, niby płat słynnej ze smaku ryby sterlety.

– Nie. Nie masz żadnych zobowiązań. To ja je mam, ale to też nie jest tak, że muszę ci służyć... – zatrzepotał rozcapierzonymi palcami –...do śmie–erci, czy aż do splacenia dłu–ugu. – Przeciągał słowa jak dziecko wyliczające swoje niezbyt lubiane obowiązki. – Ja bym chciał ci się odwdziżyć, ale jeśli nie chcesz mieć przy sobie małego zimnego trauta... – Wzruszył ramionami, splótł długie palce i zacisnął spłót tak mocno, że trzasnęły stawy.

– Nie–nie! – pośpieszył z zapewnieniem Wędrowiec. – Możesz... możemy... Nie przeszkadza mi, że będziesz ze mną, nawet lepiej – będzie z kim porozmawiać.

Poczuł się niezręcznie i wiedział, że widać to po jego twarzy, ale nie wiedział jak dobrze czytają z ludzkich twarzy trauty.

– No to chodźmy do mojego obozu. – Wskazał ręką kierunek, a sam przykucnął i szybko ochlapał wodą twarz, sprawdził czy skwir odszedł wystarczająco daleko i potrząsnął głową pozbywając się nadmiaru wody z włosów. Dogonił maszerującego energicznie trauta. Wypada wziąć go na ręce czy nie? Może posadzić na ramieniu? Wzruszył ramionami. – Wybacz, ale mało – jak mówiłem – znam wasze obyczaje, czy nasze rodzaje jedzą to samo?

– Tak, do pewnych granic – rzucił traut przez ramię. Potknął się i niemal nie wywrócił idąc tak bokiem. – Czy byłoby dużym dla ciebie wysiłkiem, gdybyś wrzucił mnie sobie na ramię? – zapytał skwir. – Po pierwsze, byłoby mi łatwiej patrolować okolicę i ewentualnie odwdziżyć ci się ostrzegłszy przed opresją. Po drugie, nie spowalniałbym marszu. Po trzecie, gdyby co – nie przeszkadzałbym w walce...

– Nawet gdybym chciał nie znalazłbym błędu w twoim rozumowaniu – przyznał Wędrowiec. Pochylił się i choć wiedział, że do biwaku zostało kilka kroków wziął skwira pod pachy jak dziecko i posadził sobie na ramieniu. – Spodziewasz się walki?

Zapytał bez przekonania, ot, żeby jakoś zagadać. Traut poprawił się na ramieniu, jego chwytny ogon oplótł się dokoła rzemienia biegnącego od pasa na ukos przez pierś i ramię Wędrowca z powrotem do pasa.

– A ty nie? – odpowiedział pytaniem. W jego głosie nie słychać było ani zmęczenia, ani strachu, co byłoby normalne po nocnym wiszeniu do góry nogami nad śmiertelnym niebezpieczeństwem, otrząsnął się szybko, zapomniał, odrzucił. – Wędrujący po ten okolicy człowiek musi spodziewać się opresji, bo inaczej nie doszedłby... – Zobaczył wierzchowca i poprawił się: – ...Nie dojechałby tak daleko. – Energicznie rozejrzał się po małym obozie. – Sam?

– Sam – odpowiedział Wędrowiec zdejmując skwira i stawiając go na ziemi. Podeszedł do konia i odplątał wodze. – Rozgość się, proszę. Możesz z sakw wyjąć suchary i suszone mięso, ser i co tam jeszcze jest. Ja tylko napoję konia...

Skwir pokiwał główką. Gdy mężczyzna i jego koń zniknęli za krzewami rozejrzał się omiatając gospodarskim spojrzeniem derkę, na której spał człowiek, sakwy, siodło, drugi miecz oparty o pień drzewa, pod którym było legowisko.

– Lewą ręką walczy – mruknął do siebie. – Prawy miecz jest cięższy, raczej osłania i działa jak straszak. Tak... – Podeszedł do sakw, zapał się stopą w ziemię, szarpnął sznur pętający jedną z nich. Mimo że sięgał Wędrowcowi do kolana, że dla jego małych dłoni sznurek był gruby jak dla ludzkich gruba lina poradził sobie zręcznie z wyjmowaniem zapasów. Przy chlebie, połowie ogromnego bochna miał kłopoty, ale zerknąwszy na wydeptaną już przez Wędrowca ścieżkę zapał się, wyszarpnął chleb z sakwy, niemal przewrócił się pod jego ciężarem na plecy, ale stękąwszy utrzymał równowagę i doniósł brzemień na rozłożoną wcześniej cienką nabukową skórę. Upewniwszy się, że człowiek nie widział jego zmagania z ciężarem odetchnął i otrzepawszy ubranie z okruchów, przy okazji ścierając trochę miodu z nogawek grubo tkanych ciasno oblegających łydki spodni, usiadł w końcu na trawie. – Próżność mnie kiedy zgubi – mruknął do siebie.

Przełknął ślinę, ale nie dotknął niczego z rozłożonych zapasów, dopiero gdy Wędrowiec wrócił i usiadł skrzyżowawszy nogi, a potem wskazał zapasy podziękował skinieniem głowy i odciął dla siebie klin sera, w który z wyraźną przyjemnością wbił swoje cztery szeregi zębów. Mężczyzna odciął dla siebie kilka płatów mocno uwędzonej ciemnej szynki, oderwał kawał chleba.

– Jak cię zwą? – zapytał.

– Lassawan Gurby Tre Hanli–Frewyn Lusse Zrawendass Hum Honye Kollop–Te Wontowon Tewonti. – Traut zanim wygłosił tych kilka słów odłożył ser, wyprostował się i odchrząknął. Po wygłoszeniu kwestii chwilę patrzył uważnie w oczy człowiekowi, który nie wiedział jak zareagować na słowa skwira.

W końcu mruknął: – Godnie nadzwyczaj. – Odkąsił delikatnie kawałek sera, popatrzył na siedzącego nadal nieruchomo trauta. – Kpisz sobie ze mnie, prawda?

– Nie. – Skwir pokręcił głową. – Nie kpię, ale po prostu żartuję. – Wrócił do swojego sera. Spod oka zerknął na człowieka. – Pomyślałem, że żart na początek dnia nie jest złym pomysłem.

– Nie jest! – Mężczyzna parsknął śmiechem. Przypomniawszy sobie samego siebie jak uważnie słuchał długiego „imienia” w popłochu usiłując zapamiętać cokolwiek, by jakoś potem odezwać się do trauta. – Nawet jest dobrym pomysłem, ale – tak poważnie – masz imię?

– Lassawan. – Zawiesił głos i czekał chwilę na reakcję mężczyzny, ale ponieważ tamten milczał kontynuował:

– Myślałem, że wiesz – wszystkie skwiry w ludzkim języku nazywają się Lassawan. – I dodał: – Przyjaciele mówiliby mi Lass, wybawcy mogą mówić jak chcą.

– Wszystkie skwiry nazywają się Lass? – Mężczyzna przerwał żucie, przełknął kęs, żeby zadać pytanie. Traut skinął poważnie głową. – No to jak mamy was odróżnić?

Lass wytrzeszczył oczy.

– Nie ma człowieka, który by widział więcej niż jednego skwira naraz! To jest po prostu niemożliwe – powiedział z przekonaniem. – I się nie zdarzyło...

Człowiek był pewien, że właściwe zakończenie brzmiało: „...i nie zdarzy!”, ale z jakiegoś powodu traut nie dokończył. Wrócili do jedzenia, ale traut czekał na coś. Żuł wolniej, zerkał na człowieka, który w końcu westchnął i odłożył swój chleb.

– No dobrze. Jeśli chodzi o mnie, to muszę się przyznać, że nie pamiętam swego imienia. Nic nie pamiętam, nie wiem kim jestem, nie wiem co to są skwiry i dlaczego mają na imię Lassawan. – Rozłożył ręce. – Uwierzysz?

– Tak. – powiedział poważnie skwir. – Od pierwszej chwili wydawało mi się, że jesteś pod czarem. Są takie czary, kapturowe, że znajdujący się pod nim człowiek nie wie kim jest, po co robi to, co robi; czasem też ma coś zrobić choć nie musi do końca wiedzieć co ma zrobić?..

– To ja – mruknął Wędrowiec z ustami wypełnionymi jedzeniem.

– Nie przejmujesz się tym zbytnio?

– A po co? – Wzruszenie ramion. – Przekonałem się, że tłuczenie łbem o ścianę nie ma sensu i nie jest zdrowe. Od jakiegoś czasu wiem: obudzę się i będę wiedział w jakim kierunku podążać. Tak sobie wymyśliłem, że coś na mnie tam czeka, ale co – dowiem się tam i nie wcześniej.

Traut wysłuchał słów mężczyzny z najwyższą uwagą, gdy mówca wrócił do jedzenia trwał jeszcze chwilę nieruchomo, potem poruszył wargami jakby chciał coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili zrezygnował. Jedli chwilę w milczeniu, potem nasyciwszy się Wędrowiec odetchnął i poszedł do konia, by wyczyścić go przed drogą. Wierzchowiec parsknął z wdzięcznością, traut skończył swój ser i zaczął powoli pakować resztę jedzenia; chleb był już mniejszy, ale zostawił go na koniec i – tak jak się spodziewał – zanim upakował wszystko mężczyzna skończył czyszczenie konia, podszedł i bez słowa porwał bochen, żeby wpakować go do sakwy. Lass zręcznie zarzucił pętlę na wór i omotawszy otwór zadzierzgnął. Rozejrzał się, ale nie zobaczył już dla siebie zajęcia. Usiadł więc pod drzewem i przyglądał się człowiekowi.

– W razie czego – powiedział nagle – potrafię zrobić tak. – Wyciągnął rękę w kierunku krzewu po swojej prawej ręce i nagle za krzakiem coś huknęło.

Wędrowiec odruchowo sięgnął do miecza, ale zaraz pokiwał z aprobatą głową.

– Na pewno może odwrócić uwagę w ważnym momencie – stwierdził poważnie.

– Ehe. Do tego właśnie służy. To jest czar wrodzony trautów, i – niestety – nasz jedyny, dlatego nie używamy go przesadnie często, żeby miał skuteczne działanie.

Mężczyzna starannie wytrzeptał derkę, zarzucił koniowi na grzbiet, wygładził, nałożył siodło, poprawił, zaciągnął popręg, sprawdził. Chwilę później był gotów do drogi. Podniósł głowę, żeby popatrzeć w niebo, wyglądało jakby wietrzył chwilę, wskazał Lassowi kierunek.

– No więc – ja tam. Jeśli nie masz nic lepszego do roboty i chcesz podróżować ze mną – zapraszam.

Lass uśmiechnął się z wdzięcznością, poczekał aż człowiek włożył drugi miecz do przymocowanej do siodła pochwy, podszedł do konia i zanim Wędrowiec zdążył się pochylić podskoczył, chwycił się strzemienia, podciągnął, przełożył rękę wyżej, potem drugą i już siedział okrakiem na szyi konia, z łękiem pomiędzy rozkraczonymi nogami, z ogonem zwiniętym na pęku włosów z grzywy, by nie spaść w niespodziewanym przypadku.

Wędrowiec podszedł do wierzchowca i wstawił nogę w strzemię, gdy za krzakami rozległ się głośny ponury warkot. Odskoczył od konia i sięgnął do miecza, skwir szybko zamachał rękami.

– To ten czar, ten kougur, co to miał odstraszyć ewentualnego zbawcę!

Mężczyzna skinął głową, wrócił do konia i wskoczył w siodło, poprawił się.

– Ten czar będzie tu działał do końca świata? – zapytał. – Każdy podróżnik, który tu będzie spał może być zaatakowany przez kota?

– Zaatakowany – nie-e! – lekceważąco machnął ręką skwir. – Zauważ: twój koń nawet nie strzyże uchem, to zwykła mara czasowa. Ktoś uważny nie wystraszy się, gdy zauważy, że przez ciało kougura prześwitują krzaki. Zresztą z czasem czar będzie słabł i te widma będą coraz bledsze.

– Jasne. – Wędrowiec chwycił wodze, poruszył nimi i posłuszny, świetnie ułożony wierzchowiec okręcił się w miejscu i skierował w ścieżkę prowadzącą z szerokiego traktu na tę malutką wyrwę w gąszczu. – Dziwne – rzucił nagle jeździec jakby przecząc własnej opinii sprzed chwili. Traut mrugnął dwa razy. – Dziwne, że dopóki ciebie nie spotkałem nie męczyło mnie kim jestem i dlaczego tu się znajduję – powiedział Wędrowiec. – Mam wrażenie, że to nawet było dla mnie wygodne – budziłem się i wiedziałem co mam robić...

– My to nazywamy zawłaszczeniem umysłu – stwierdził mały pasażer.

– A ty się chyba nieźle znasz na magii, przyjacielu?

Wyjechali na trakt, skręcili w lewo i przeszli w kłus. Milczeli. Po długiej chwili traut ryzykownie puścił łęk i plasnął w dłonie.

– Co? – zapytał wyrwany z własnych myśli jeździec.

– Wisiałem nad wodą za karę, rzecz jasna – oświadczył skwir.

– To rzeczywiście jasne – prychnął mężczyzna. – Po co ktoś miałby cię wieszać, gdyby nie chciał cię wystraszyć, to znaczy – ukarać – poprawił się.

– Ale – o ile mogę cię prosić – nie mówmy o tym więcej – powiedział Lass.

– Dobrze – zgodził się człowiek. Jechali chwilę w milczeniu. – Wiesz co, przyjacielu, zastanawiam się czy by nie było dobrze przyjąć jakieś imię, wiesz, dla zwykłej wygody. Gdybyś chciał mnie zawołać, żebyś nie musiał krzyknąć: „Ej, człowieku!”. Mam tylko kłopot – żadne imię nie przychodzi mi do głowy. – Może Bosse – rzucił natychmiast skwir, jakby czekał na tę propozycję od dłuższej chwili i dlatego miał czas na zastanowienie się.

– Może być – zgodził się Wędrowiec właśnie nazwany Bosse. I po chwili odmierzonej rytmicznym odgłosem kopyt uderzających w niezbyt dobrze ujeżdżony szlak zapytał: – Dlaczego akurat Bosse? Czy to ma jakieś znaczenie?

– Jeśli znasz mit o Bosse Bez Złości... – Jeździec pokręcił głową – ...to... Acha. No nieważne, przeglądałem kiedyś księgę z opowieściami, między innymi o Bosse. Ilustracja

przedstawiała wypisz-wymaluj ciebie – wysoki, szczupły, pobrużdżona twarz, ostre spojrzenie, zrećność i pewna groźba w ruchach...

– Ciekaw jestem jak dojrzałeś zrećność w ruchach ilustracji!? – przerwał po raz pierwszy od zawarcia znajomości uśmiechnięty człowiek.

Skwir zamilkł z otwartymi ustami, przyglądał się Bosse, jakby chciał zdecydować czy aby z niego nie żartuje, w końcu zamknął usta, oblizał wargi.

– To była ruchoma ilustracja, rzecz jasna. – Wzruszył ramionami. Bosse uniósł jedną brew i skinął wolno głową.

– Ruchoma, ma się rozumieć – powiedział.

Zerknął spod zmarszczonych brwi na trauta, najwyraźniej czekał aż tamten przyzna, że żartował, ale Lass wpatrywał się w niego poważnie i nie zamierzał niczego prostować. Bosse skrzywił się komicznie i zmienił temat:

– Znasz tę okolicę?

Odpowiedziało mu skinienie głowy, ale skwir nie odezwał się. Bosse zaczął zastanawiać się co może oznaczać nagłe milczenie gadatliwego, jak się dotychczas wydawało, stworka. Jechali w milczeniu chwilę, chwila wydłużała się aż stała się tak długa, że przerwanie jej byle czym wydało się niestosowne. Najpierw obaj jeźdźcy zastanawiali się o czym myśli ten drugi, potem niepostrzeżenie pograżyli się we własnych myślach. Skoro jestem w jakimś magicznym świecie, myślał Bosse, to musi, że mam tu coś do zrobienia. Ten, kto mię tu wysłał, płynęły wolno myśli, miał w tym jakiś cel, dobry czy zły. Dobrze by było wiedzieć i ewentualnie nie plamić honoru... Chociaż, wydaje mi się, kiedyś honor wydawał mi się ważniejszy niż teraz. Teraz... Czy jestem sobą czy tylko magicznie popychaną kukłą. O, może ruchomą ilustracją, o której mówił skwir. Zabawny stworek. Nic o nich nie wiem, chociaż na jego widok natychmiast przypomniałem sobie, że to traut albo skwir, że pierwsze zanurzenie w wodzie jest zarazem śmiertelne... Czy to, że znalazł się na mojej drodze jest znakiem? Jakim? Pomoże mi? Przeszkodzi? Jak? W czym?

Westchnął i powstrzymał konia, przeszli do stępa.

Dziwny człek, myślał Lass. Na pewno zaczarowany, ale dawno... nie – nigdy nie widziałem człowieka tak dobrze spletanego czarem kapturowym. To słaby czar i na ogół szybko puszcza, a przez cały właściwie czas działa tak sobie. Bosse zaś wygląda jakby był nadzwyczaj słaby duchem i dlatego... To znaczy – nie, on nie jest słaby duchem, ale czar jest tak skuteczny w jego przypadku, że sam musiał chcieć mu ulec. Poddał się mu bez walki i bez zastrzeżeń. Sam tego chciał. Po co? Jeśli ktoś chce coś robić, to po co ukrywanie przed nim, co będzie robił? Tajemnica. Sekret. Lubię sekrety. Zatarł w myślach ręce. A czy wie, że kres wędrówki jest tuż? Dalej nie zajędzie, bo i po co? Jeśli kieruje nim kaptur-czar to tylko TO może być celem wędrówki. I co potem? Można TAM wejść, ale jak wyjść? – Gaber – odezwał się nagle Bosse. Popatrzył na trauta i ten zobaczył jak wiele bezradności odbija się we wzroku mężczyzna. – Koń nazywa się Gaber...

– Przypominasz sobie – stwierdził traut.

– Tak, ale... – Przygryzł wargi nie bacząc na to, że jeśli koń potknie się, to grozi mu bolesne przygryzienie obu warg. – To nie ten koń! – stwierdził zdziwiony, Lass nie zrozumiał co go konkretnie zdumiewa: to, że ma innego konia, czy to, że wie o tym. – Ten... Ten?... Nie pamiętam.

Pograżył się w rozmyślaniach, z miny – osądził traut – dość ponurych albo ciężkich. Czasem z piersi mężczyzny wyrывało się długie westchnienie, czasem błyskało w nich coś jak ulga czy nadzieja, ale z ust nie padało żadne słowo. Co jakiś czas jeździec podrywał wierzchowca do klusa, ale bardzo starannie odmierzał jego wysiłek – znał się na pewno na koniach i na pewno je szanował. Minęło południe, a na bokach konia nie pojawiły się nawet plamy potu. Traut chwycił w każdą garść po pęku włosów, skrzyżował ręce na piersiach i w tej pozycji, zabezpieczony przed upadkiem, zdrzemnął się po kolejnym przejściu na stęp.

Człowiek nazwany Bosse nie zauważał upływu czasu, odrywał się chwilę od rozmyślań, wodził wzrokiem dokoła, zerkał przez ramię do tyłu i znowu pogrążał się w zadumie. Dopiero gdy słońce pokonawszy większą część drogi po nieboskłonie wyrysowało na drodze, dokładnie przed jeźdźcem długi cień Bosse otrząsnął się z rozmyślań, doczekał do pierwszej polanki przydrożnej i skierował nań konia. Gdy zeskoczył z siodła skwir otrząsnął się, otworzył oczy i puściwszy ubezpieczającą uprząż z włosia, przełożył nogę przez szyję i bez strachu zeskoczył na ziemię, choć wysokość przekraczała kilka długości jego ciała.

Nie rozmawiali ze sobą. Bosse popuścił popręg konia i odprowadził go w zakątek polanki, gdzie zachowało się kilka kęp wysokiej soczystej ciemnej nasączonej cienistą wilgocią trawy. Sam ułożył się pod drzewem w słońcu, oparł plecami o pień i gestem zachęcił trauta do spożycia obiadu. Sam odskubnął kawałek sera i położywszy na plastrze szynki pogryzał i pracowicie rozcierał między zębami.

– Jesteśmy blisko – powiedział nagle Lass.

– Blisko czego?

– Parowu.

– Parowu. – Milczenie, mężczyzna zamyślił się na długą chwilę, lewa ręka, z jedzeniem zamarała w bezruchu, place prawej zafalowały. – Nic mi to nie mówi. Dlaczego myślisz, że tam się wybieram?

– W okolicy nie ma niczego innego. Kto dotarł tu kieruje się do Parowu, to jasne. Dla niektórych wszystkie drogi doń prowadzą. Twoja na pewno – też. Zwłaszcza że...

Umilkł nagle i wsłuchał się ciszę delikatnie nakrapianą szelestem liści na drzewach i czasem przerywaną brutalnym chrzęstem trawy w pysku wierzchowca. Lass podniósł się i wyprężył na całą swą niedużą wysokość.

– Coś się dzieje? – zapytał Bosse. Wepchnął do ust pozostały kawałek szynki z serem, wolno wytarł rękę o trawę, wstał, położył lewą dłoń na szyszce kończącej rękojeść miecza. Palce zostały rozcapierzone, sztywno wyprężone, skierowane we wszystkie strony, drgające niecierpliwie, żadne mocnego chwytu i pracy: przekazania uderzenia z ręki na broń. – Wydawało mi się, że nie ma tu zbójców...

– Zbójców?

– No, w ogóle – że od ludzi nic nie grozi...

– Tak. Od ludzi – nie.

– No to...

– Ćśśś... – Traut przyłożył pionowo ustawiony palec do szpary między wargami. – Słyszysz?

Od południa narastał szmer. Mocny szurgot, przeciągły, narastający. Co jakiś czas towarzyszyło mu trzaśnięcie jakiegoś konara, czasem skrzypiało coś, zaskrzeczał jakiś oburzony ptak.

– Tabun koni? – zapytał cicho Bosse. – Coś innego? Może przesuniemy się, żeby nas nie stratowały?

– Na razie nie wiemy w jaką stronę, ale to nie konie...

– No to co?

– Jeśli się nie mylę... – Wsłuchiwał się w hałas, a ten narastał i dawał się już bliżej określić – Bosse pomyślał, że taki hałas spowodowałoby kilka dużych pni drewna wleczonych po ziemi przez jakąś siłę, może bezgłośnie stąpające konie. – To musi być...

Zamilkł znowu. Bosse sapnął ze zniecierpliwieniem. Traut uniosł rękę, zmarszczył się i pokiwał głową.

– Oygrafa – powiedział. – Tylko z której strony?

– Co to – do licha – jest?!

Skwir pokręcił głową, cmoknął.

– Jak by co to wyjaśnić...

– Wykrztuś wreszcie, może będę w stanie zrozumieć!

Zanim traut otworzył usta, a nie śpieszył się, hałas stał się dominującym dźwiękiem w najbliższym otoczeniu. Teraz brzmiało to jak szmer jakiejś miękkiej lawiny obsuwającej się po łagodnym zboczu. Trzeszczały gałęzie, szurgotało coś, huknęło złamane drzewo. Bosse widząc, że od Lassa nie dowie się niczego zacisnął ręce na rękojeści miecza. Wpatrzył się w stronę lasu, zobaczył jak zadrżały wierzchołki drzew, drżenie przeniosło się bliżej i jeszcze bliżej. To coś, co wywoływało hałas, posuwało się wprawiając w drżenie drzewa. I było już blisko. Traut podskoczył i zatarł ręce.

– Dobrze, nawet nie musimy się przesuwac, ominie nas...

Huknęło jakieś drzewo. Zachwiały się gwałtownie krzewy i między nimi pojawiło się szare obłe cielsko, przypominające łeb gigantycznego robaka.

– Robal?..

– Ale jaki! – sapnął traut.

Oygrafa zamarała i nagle po jednym skurczu ciała wypadła na polanę. Jej grubość przekraczała wzrost mężczyzny, wątpliwe by zmieściła się w drzwiach przeciętnej stajni, Bosse odruchowo cofnął się. Cielsko śliskie, połyskujące rzuciło się do przodu, a potem łeb zamarał w bezruchu czekając na resztę członowanego ciała. Na samym czubku łba, bliżej ziemi znajdowało się trójkątne rozcięcie, jak nozdrza królika, rozwierało się na chwilę, stwór wciągał powietrze aż pochylały się w jego kierunku najbliższe zieleń i krzewinki, potem od czoła ruszał do tyłu spazm, a jego wynikiem było poruszenie reszty ciała w kierunku głowy. Nagle wierzchołek Bosse kwiknął przeraźliwie, jakby dopiero teraz zauważył niesamowitego przybysza, poderwał głowę szarpnął się, zerwał zawinięte na pniu wodze i – zanim Bosse zdążył poderwać się do biegu – rzucił się do ucieczki strzelivszy na wszelki wypadek tylnymi nogami w powietrze, by odstraszyć ewentualną pogoń. Traut rzucił się przed Bosse, zamachał rękami.

– Nie ruszaj się, oygrafa może rzucić się na ruch, a to nie będzie przyjemne! – syknął.

Robal trwał jeszcze chwilę w bezruchu, potem spazmatycznie szarpnął bezokim łbem, reszta ciała wreszcie zrozumiała czego się od niej oczekuje i podążyła za głową. Okrągłe boki cielska oblepione były gęstym śluzem, do którego przywarły gałęzie, kępy mchu, masy liści, ziemia, piach – wszystko, co mogło przywrzeć do lepkiego ciała posuwającego się na oślep przez las. Głowa rzuciła się do przodu, ruch na polanie pozbawionej przeszkód był rzeczywiście szybki, ktokolwiek czy cokolwiek znajdowałoby się na jej drodze zostałyby zmiecione czy odrzucone w dobrym przypadku, zgniecione i przywalone w gorszym i najgorszym. Do nozdrzy człowieka i skwira dotarł ostry zapach, przypominający woń panującą w zaniedbanej nie czyszczonej i nie wietrzzonej stajni. Jednocześnie zmarszczyli nosy i zerknęli na siebie. Robal przeczołgał się przez niemal już całą polanę, jego łeb leżał już na drodze, a ciało rzucało się w nieustającą pogoń za nim. Oblepione przywarłym do śluzu poszyciem lasu segmenty ciała poruszały się niemrawo, ale gdy Bosse przestał patrzeć na głowę, a skierował wzrok na część najbardziej od niej oddaloną zrozumiał, że końcówka cielska porusza się już w zastygłym na powietrzu kokonie ze śluzu i przyklejonej do niego części lasu. Teraz, kiedy trochę ochłonał po pierwszym zaskoczeniu, dotarło doń, że oygrafa była raczej nie robakiem, ale olbrzymią larwą – pękata, krótką, ślepa.

Został po niej kokon, olbrzymia rura, ta akurat przegradzająca Bosse drogę. Ciekaw jestem, pomyślał, co może wyrosnąć z takiej larwy? Poczuł powiew zimna na karku, strząsnął to uczucie, wyciągnął rękę i wskazał skwirowi drogę.

– Odetnie nas!

– Nie próbuj przeskoczyć jej przed łbem – szybko ostrzegł Lass. – Pluje czymś nieprzyjemnym choć niegroźnym, ale nie zdążysz już na drodze, a w lesie chyba nie będziesz próbował?

– Ale nie przedostanę się...

– Przedostaniesz się, spokojnie! To za jakiś czas się rozwali.

– A niech to!..

Bosse machnął ręką, nie odrywał jeszcze dłoni od rękojeści miecza, ale uspokoił się uznając racje trauta. Przyglądał się spokojniej podrygującemu cielsku, starając oddychać przez usta. Przypomniawszy sobie, co stracił wraz z koniem i w tej samej chwili Lass powiedział:

– Parów już jest blisko, nie będziesz potrzebował konia.

Odsunął się dalej od szlaku oygrafy, sprawdził dłonią kępę trawy czy nie jest wilgotna, usiadł na niej, a potem ułożył się. Człowiek podszedł bliżej, przykucnął. Starał się oddychać przez usta, ale co kilka chwil zdawało mu się, że czuje na języku smak tego czegoś, co tak śmierdziało i wtedy szybko wciągał powietrze przez nos, a potem tłumiąc łyzy wracał do oddychania ustami.

– Parów? – powiedział. – Co to jest? Czy to z jego powodu pojawia się ten stwór, bo nie widziałem wcześniej... – przerwał i zamyślił się. – Ciekawe – skąd wiem, że nie widziałem jej wcześniej?

Popatrzył na trauta, w jego wzroku Lass znalazł prośbę i ponaglenie.

– Myślę, że twój kaptur słabnie – powiedział. – Zresztą jesteście tak blisko parowu, że nie macz innego wyjścia...

– Dużo wiesz o tym – zatoczył ręką koło – wszystkim?

Traut wzruszył ramionami. Nie odpowiedział. Wyciągnął szyję i przyjrzał się oygrafie. Tępy łeb dotarł już do drugiej strony drogi i wbił się w las. Trzask nasilił się, ucichł, gdy łeb zamarł czekając na resztę odwołka, potem nasilił się znowu i ucichł, gdy oddalił się od trauta i człowieka. Zostali sami z odmienionym krajobrazem przeciętym ogromną śmierdzącą rurą biegnącą nie wiadomo skąd i nie wiadomo dokąd. Bosse usiadł również, przemierzył spojrzeniem całą przegrodę i nagle powiedział stanowczo:

– Albo mi powiesz co wiesz o Parowie, albo się rozstajemy. Jeśli coś ukrywasz nie chcę cię mieć za towarzysza!

Wbił spojrzenie w pyszczek skwira i czekał. Lass odpowiedział długim uważnym spojrzeniem, jego błony łuskowe na moment zetknęły się ze sobą w połowie wypukłych gałek ocznych, potem na moment wysunął się brzeg drugiej błony, mętno-błękitnej. Obaj czekali: Bosse na wyznanie trauta, Lass chyba na jakieś łagodniejsze słowa, ale nie padły. W końcu skwir westchnął.

– Każdy czar pozostawia po sobie ślad, żeby nie szukać daleko można powiedzieć, że zostaje po nim łuska, otoczka, skórka, może szkielecik?.. Może też być tak, że jakiś czar całkowicie się kończy, albo jest stworzony przez jakiegoś potężnego maga tylko na jeden raz; wtedy zostaje po takim czarze, nie po magu, jądro, to coś, z czego został wywołany. – Małe ręce pokazały kulę, otoczyły ją okrągłymi ruchami dłoni. – I to wszystko, te resztki, łupiny, otoczki, pestki spływają do Parowu. Czy tyle chciałeś wiedzieć?

– Nie, ale widzę, że pytanie cię, co ja tu robię...

– Ty tu jesteś, bo masz wejść do Parowu, to oczywiste – przerwał skwir.

Bosse zamarł z otwartymi ustami. Siedział tak chwilę, potem potrząsnął głową.

– A... A to skąd wiesz?

– To proste – żaden człowiek nie przedostanie się tu, jeśli nie kieruje się do Parowu. I to nie z własnej woli. To nie jest zwykła odległa kraina za dwoma górami, trzema pustyniami, czterema morzami. – Zobaczył, że Bosse marszczy czoło. Dodał: – Nie męcz się, przypomnisz sobie kiedy będzie trzeba, ani mgnienie oka wcześniej, ani pół mgnienia później.

Zawahał się, chyba chciał coś jeszcze powiedzieć, ale powstrzymał się, a człowiek postanowił nie pytać, obawiając się, że odpowiedź nie będzie przyjemna. Włożył do ust ostatni kawałek sera, ale zrobił to tylko z szacunku do jedzenia, z miną człowieka

wiedzącego co to głód. Wstał z zamyślnym wyrazem twarzy, otrzepał ręce o spodnie, poprawił kaftan. Jego wzrok przyciągnęła jakaś iglasta gałąź przyklejona do kokona, ale zsuwająca się teraz po obłym boku, bezgłośnie przejechała cały bok i zaszurgotawszy lekko upadła na trawę. Bosse przeniósł wzrok na las, tam skąd wytoczyła się larwa. Rura kokonu bez początku i końca zaczynała tam już się łamać – górna część na oczach obserwatora zapadała się, boki wyginały się na zewnątrz, ale zanim wyłamały się zaczynały mocno parować, kruszały, odpadały od nich kawały, jednak gdy powłoka kokona raz zaczęła się rujnować, to proces ten stawał się coraz szybszy, nabierał tempa i właściwie nic nie opadało na ziemię, nic z wyjątkiem przyswojonych części lasu – gałęzi, liści, szpilek, mchu, trawy, całych krzewów, jakiegoś pechowego gniazda. Mocny zapach butwienia dotarł do nozdrzy Bosse, przypomniał larwę. Popatrzył w lewo, nie było jej już widać, ani nawet słysząc. Posuwała się wolno, miarowo, ale bez przerwy i gdy się na chwilę odjęło od niej spojrzenie natychmiast okazywało się, że w tym czasie pokonywała zadziwiająco duże odcinki przestrzeni. Pokręcił głową żegnając wspomnienie o gigancie, odwrócił się do trauta.

– Czy to, że mnie nie dziwi twój widok – Leciutki uśmiech przemknął przez usta człowieka – to też magia?

– Tak, mówiłem – czar kapturowy, osłaniający cię, jakbyś chodził w szczelnym kapturze, przez który widzisz tylko część świata, a to co widzisz cię nie dziwi. Rozumiesz? Bo tylko to ci wolno widzieć...

Wędrowiec znowu pokręcił głową z niedowierzaniem, wstał, otrzepał dłonie, przez kruszący się i zapadający pod własnym nietrwałym ciężarem kokon popatrzył na drogę.

– Czyli wszystko, co się tu przydarza jest zaplanowane?

– Nie. Część jest nieprzewidywalna, jak oygrafa. Mówiłem – bliskość Parowu powoduje takie śmietnikowe efekty.

– Ucieczka konia też nie jest zaplanowana?

Lass roześmiał się. Człowiek znowu zobaczył dwa szeregi drobnych zębów. Padlinożerca, pomyślał.

– Nie wiem, ale myślę, że to nie ma znaczenia. Człowiek, którego pobyt w Parowie nie jest zaplanowany przez kogoś czy zaaprobowany, może mieć tabun śmigłych koni i nie dotrze nawet w pobliże tego miejsca, i odwrotnie – kto ma tam przybyć – przybędzie, nawet gdyby nie poruszał nogami.

Traut spod oka zerknął na człowieka, podniósł patyk i cisnął nim bokiem, jakby puszczał kaczki na wodzie, w walący się kokon; kij uderzył w miękką ściankę, przebił się przezeń i zniknął z oczu patrzącym.

– Hm?

Skwir nie zareagował na pytająco-niedowierzający odgłos człowieka, powtórzył jego gest – otrzepał dłonie o nogi, rozejrzał dokoła.

– No to chodźmy. Najpierw skierowali się w las, w stronę tej części kokona, która już spływała na ziemię i zamieniała w matową maź. Skwir zatrzymał się i popatrzył do góry, Bosse skinął głową, podniósł go i posadził go sobie na ramieniu. Sam ostrożnie wybrał szlak pomiędzy plackami mazi, udało mu się suchą stopą przejść na drugą stronę polany, skwir nie poprosił o postawienie na ziemi, więc Bosse podziwiwszy się w duchu nic nie powiedział, ruszył w kierunku, w jakim jechali jeszcze chwilę temu. Słońce wyraźnie opadało już ku horyzontowi. Obudziłem się w południe, pomyślał Wędrowiec nazwany Bosse. Może trochę wcześniej... I wcale mnie to nie zdziwiło? Nic mnie nie zdziwi? Nie dziwi nawet to, że nie dziwi? Jak to możliwe, co mi zrobiono, kto, kiedy, po co? Kara? Nagroda? Po prostu zlecenie? Może jestem wykonawcą takich dziwacznych zadań? Czy to możliwe, żebym coś takiego robił i nie pamiętał tego? Tak, skoro w ogóle nie pamiętam co robię, to może być też tak, że nie pamiętam czy pamięt... Och, co ja plotę?!

Roześmiał się głośno, kątem oka zobaczył jak skwir przekręca głowę, żeby popatrzeć mu w oczy.

– Nie przejmuj się, to śmiech, którego źródło leży w mojej własnej bezsilności i irytacji, nie ma niczego wspólnego z kimkolwiek poza mną.

Wydłużył krok kiedy wszedł z polany na ubity szlak, pomaszzerował szybciej, nie zwracając już uwagi na słońce. Dopiero po dwóch likrach marszu dotarło do niego, że dokoła niemal zapadają ciemności. Nagle serce wykonało gwałtowny podskok i zakotłowało się w gardle, słońce wisiało jeszcze nad widnokrzem, w szczybie między dwoma nierównymi szczytami, ale jego promienie pochłaniało czerstwiejące powietrze, błądy mizerny krąg wisiał na bezchmurnym niebie i wydawało się, że za chwilę zgaśnie całkowicie albo pojawi się jakieś inne źródło światła, które stłamsi słońce i przed którym ono już drżąc zanika.

– Co to? – rzucił odrywając wzrok od słońca tylko po to, by nerwowo rzucać spojrzenia we wszystkie jego zakątki. – Do nocy jeszcze daleko?..

– Deszcz? – bąknął skwir.

– Pha! Z czego? Gdzie chmura? Przynajmniej jedna? – Wyciągnął rękę jakby chciał oskarżyć niebo o złośliwość i niemal w tej samej chwili rozległ się cichy najpierw werbel na niewidzialnym bębnie, nadleciał zimny wietrzyk tak niespodziewany i przenikliwy, że Bosse odruchowo wstrząsnął ramionami. Skwir omal nie spadł z ramienia, przetoczył się i chwycił jedną ręką za kołnierz, a drugą za ramię. – Przepraszam...

Bosse chwycił trauta, pochylił i – wciąż wpatrując w niebo – postawił na trawie. Wietrzyk przeleciał raz jeszcze wlokąc za sobą cichy turkot, jakby ktoś uderzył opuszkami palców w napiętą skórę długiego basowego bębna.

– Wejźmy pod drzewo – zaproponował traut. – Ale nie pod wysokie.

Jego propozycja spotkała się z uznaniem, Bosse szybkim krokiem zszedł z drogi i skierował pod najbliższą kępę drzew, lecz zanim doszedł dokoła panował szum ulewy. Tylko szum. Wprawdzie gałęzie drzew uginały się jak pod strugami wody, wprawdzie liście trzepotały i drżały, a trawa pokładała się pod uderzeniami strumieni ciężkiego deszczu. Powietrze zgęstniało, powietrze warczało i nawet uderzało masą niewidzialnych palców w ramiona i głowę człowieka. Słuch informował Bosse, że znajduje się w środku strasznej ulewy, że na jego ciele wygrywa werbel jakiś wieloreki stwór. Jedyne co przeczyło tym odczuciom to to, że ani jedna, ani pół kropli wody tak naprawdę nie uderzyło w człowieka, ani kropla wilgoci nie rozplynęła się plamą na jego ubraniu. Dobiegł pod drzewo, spod gałęzi przyglądał się otoczeniu, ale nie udało mu się dojrzeć niczego, co by tłumaczyło pozorny deszcz. Okolica wyglądała zwyczajnie, jak droga i las polewane ulewnym deszczem, tyle że nie było deszczu. Przez chwilę Bosse walczył z uczuciem, że deszcz pada, ale zawsze poza jego wzrokiem; nawet usiłował szybko odwrócić się i przyłapać wodę w opadaniu ku ziemi, ale wszędzie widok był taki sam – trawa i liście drżące pod uderzeniami kropel, których nie ma; nic nie czało się poza polem widzenia, nic nie uciekało. Traut milczał, potem rzucił:

– Jeśli męczy cię to, to zamknij oczy.

Posłusznie przymknął na chwilę powieki, rzeczywiście – teraz złudzenie prawdziwego deszczu wzmogło się i nie pozostawiło miejsca na żadne wahania. Deszcz. Zwyczajna ulewa. W nos uderzył zapach wilgoci, podmuch wiatru osadził na twarzy uczucie welonika mgły. Z piersi wyrwało się przeciągłe westchnienie, Bosse po omacku sprawdził ziemię wokół siebie, usiadł. Nie otwierając oczu, otoczony odgłosami ulewy, w którą chciał uwierzyć, zapytał:

– Ile jeszcze do Parowu? Nie mamy zapasów... Koń je uniósł.

– Parów jest gdzieś tutaj – usłyszał. – Może za dwa kroki, może za dzień marszu.

– No to jak mam...

Urwał słysząc chichot trauta, był to tak niezwykły dźwięk, że najpierw musiał się chwilę wsłuchiwać, żeby określić co to jest, potem otworzył na chwilę jedno oko i popatrzył z wyrzutem na skwira. Miał szeroko rozciągnięte wargi, prawie do uszu, ale niemal nie odstaniał zębów.

– Nie narzekaj – niektórzy mają Parów już za sobą. Przez całe życie, od zawsze do zawsze – pocieszył go Lass nachichotawszy się do woli.

Bosse zamknął oko i chwilę rozważał słowa trauta, były niewątpliwie w jakiś sposób pochlebne dla niego, ale zastanawiał się, czy aby nie niosą ze sobą jakiegoś zobowiązania, jak większość pochlebstw. Zamyślił się tak głęboko, że otworzywszy po chwili oczy odruchowo wystawił spod drzewa rękę, chcąc sprawdzić czy deszcz nie słabnie. Lass znowu się roześmiał. Bosse zamknął szybko oczy przywracając złudzenie. Długą chwilę leniwie rozmyślał nad zachodzącymi od przedpołudnia zdarzeniami, kolejny raz, ale pobieżnie, zadziwiła go jego własna reakcja na nadprzyrodzone pojawienie się skwira, larwy–oygrafy, pozorny deszcz, suchy i głośny. Powolnie płynące myśli w pewnej chwili zmieszały się, rozmyły, Bosse zrozumiał, że zasypia, ale ani go to nie zmartwiło, ani ucieszyło, po prostu stwierdził: „Zasypiam? No to co!?”

Coś poruszyło się obok, coś dotknęło ramienia Bosse, jego kolana i łokcia. Nie wiadomo dlaczego uznał, że to kilkanaście węży pełźnie po jego ciele, jęknął i poderwał się na równe nogi; jakaś gałąź zadrapała ucho i uderzyła w bark. Żadnych jednak węży nie było, na ziemi stał Lass z pstrą grubo tkaną derką w ręku, zamarł trzymając ją w wyciągniętych rękach. Człowiek zrozumiał, że węże, których się wystraszył, na pewno nie było, był natomiast Lass, który usiłował delikatnie nakryć Bosse derką. Usiadł na ziemi, ale wystraszony sen uciekł... Uciekł... Hej?! Wzdrygnął się odpędzając senność, rozejrzał gwałtownie, tak – deszczu już nie było, nie było słyhać, nie czuło się wilgoci i mokrego powiewu. Było jasno i ciepło, wychylił się i wyjrzał spod konarów drzewa – słońce świeciło jasno i wesoło i raczej było na nieboskłonie wyżej niż przed deszczem, choć powinno być inaczej. Bosse pokręcił głową: wszystko może się tu zdarzyć. Tak jak... O, właśnie!

– Skąd masz derkę? – zapytał Lassa.

Stworek śmiesznie zakłapał powiekami jak przyłapany na łasuchowaniu w spiżarni dzieciak. Popatrzył na derkę z wyrzutem.

– M–m–m–mmmm... E–em–mmm...

– Jeszcze można: „immmm” oraz „ammmm” – odpowiedział zjadliwym tonem człowiek.

– Y–y... – Lass poderwał głowę i wyrzucił w końcu z siebie: – Wyczarowałem, po prostu wyczarowałem. Pomyślałem, że jest nam potrzebna, bardzo potrzebna i nagle poczułem, że ją trzymam w ręku.

– Zaraz! Mówiłeś wcześniej, że...

– Nie ciesz się, że przyłapałeś mnie na kłamstwie – przerwał traut tupiąc nogą, był zły i rozżalony. – Mówiłem, że mamy przyrodzony jeden czar i to jest prawda, ale mówiłem ci też, że w pobliżu Parowu wszystko się zmienia, prawda? – krzyknął. – Może gdzieś widziałeś taki deszcz, po którym zostają kałuże, ale nie czujesz go na twarzy?!

Bosse rozejrzał się dokoła – rzeczywiście: na drodze zwłaszcza widać dobrze było kilka owalnych i nieregularnych lusterek gładkiej znieruchomiałej wody.

– Oczywiście, że nie widziałem – przyznał potulnie i zaraz się poprawił: – Nie pamiętam czy widziałem. – Zastanawiał się chwilę. – Ale skąd wiem, czy nie obudzą się w tobie inne możliwości?

– A w tobie nie mogą?

Bosse miał na końcu języka coś jak pytanie: „A czy to ja się znalazłem na twojej drodze?”, ale przełknął je, bo przyszło mu nagle do głowy, że odpowiedź nie jest taka jednoznaczna, jak jeszcze chwilę temu się wydawało. Uznał, że nie ma sensu zrażać do

siebie jedynego sojusznika, jakiego zyskał w tej tajemniczej krainie, jedynego, który coś wiedział o otaczającym ich, coraz mniej zrozumiiałym, świecie.

– Nie wiem – odpowiedział. – Ale mogę spróbować.

Zaczerpnął powietrza chcąc natężyć się i pomyśleć o czymś z mocą, ale traut zamachał rękami:

– Nie żartuj sobie, nie wiesz, co może ci się udać i jak się potem od tego uwolnić. – Bosse wypuścił powietrze i zrobił minę, która miała świadczyć, że rozumie problem i porzuca myśl o zabawie w maga. – W moim plemienu – kontynuował skwir – opowiada się jako przestrożę historię o tym, jak to pewien leniwy traut postanowił zdobyć i jakoś, nieważne jak, zdobył buty wielkokroczone. Wiesz – jeden twój krok w takim bucie to ileś tam kroków w rzeczywistości. – Poczekał aż człowiek skinął głową i kontynuował: – Ale ten głupek nie sprawdził co zdobył, buty były nierówne, jeden robił krok – pół likry, drugi krok – likra.

Zamilkł, Bosse odczekał przyzwoitą chwilę. Chrząknął znacząco.

– Nie rozumiesz? – zdziwił się traut. – Rozerwało go przy pierwszym kroku!

Człowiek uprzejmym śmiechem nagroził opowieść skwira. Wstał i przeciągnął się. Wyszedł spod dachu gałęzi. Rozejrzał się, pokręcił głową rozciągając mięśnie szyi.

– No to może chodźmy dalej – zaproponował. – A nuż uda się dogonić konia, tam są zapasy. – Odwrócił się do trauta: – Chyba że potrafisz...

Zawstydził się swego grubiaństwa, ale nic mądrego nie przyszło mu do głowy, zresztą Lass nie zareagował na zaczepkę. Wstał i odrzuciwszy derkę skinął głową.

– Możemy iść.

Bosse zamierzał pochylić się, żeby wziąć trauta na ramię, ale skwir ominął go i wyszedłszy na drogę pomaszzerował raźnie do przodu; człowiekowi nie zostało nic jak tylko udać, że pochylił się, żeby otrzepać kolana spodni. Splunął bez śliny w trawę, ruszył za trautem. Dogonił go bez trudu, po chwili niemal nie zaczął ponaglać, przypomniał sobie w porę słowa Lassa: „Parów jest gdzieś tutaj. Może za dwa kroki, może za dzień marszu”. Nie było – jeśli skwir miał rację – sensu się śpieszyć, magiczny Parów objawi się kiedy będzie trzeba, bez względu czy on będzie w tym czasie leżał pod drzewem czy biegł na wyścigi z wiatrem. Mały stwór kroczył zamasyżycie jakby chciał pokazać, że wykorzystuje człowieka tylko wtedy, kiedy ma to głębsze uzasadnienie, a nie dyktowane jest po prostu lenistwem. Nie chcąc przerywać ciszy Bosse oddał się kontemplacji okolicy, ale nic niezwykłego nie przykuwało uwagi, las wyglądał zwyczajnie – jak zwykle przy drodze krzewy były wydeptane, wycięte, przy drodze więc znajdowały się do razu wysokie drzewa, dopiero potem poszycie ginęło w gęstwinie krzaków. Jakieś ptaki odzyskały werwę po „deszczu” i zaczynały pierwsze krótkie i nieśmiałe popisy, jakby nie były pewne czy warto jeszcze dzisiaj rozpocząć kolejną turę niekończącego się śpiewaczego turnieju. Myszołów uznał, że można jeszcze zapolować na jakiegoś skołowanego magią gryzonia, wzleciał więc z pojedynczym traskiem skrzydeł i wzniósł się ponad drzewa, odleciał pewnie nad jakiś płaski, nie tak porośnięty teren.

– Właściwie, skoro wszystko jedno: posuwamy się czy nie, to może byśmy zrobili popas? – powiedział Bosse, żeby tylko jakoś zagadać do skwira. Ze zdziwieniem uświadomił sobie, że zaraz po tym jak słowa uleciały z warg poczuł rzeczywiście znużenie. Na dodatek coś w bucie się przesunęło i zaczęło uwierać. – Jakoś nie mam ochoty na dalszy marsz – przyznał.

– Dobrze – ochoczo zgodził się traut. – Pierwsza polana czy cokolwiek byle nie na gościńcu i zalegamy.

Nasze zapasy, pomyślał Bosse, galopują gdzieś ho–ho! A właściwie nie jestem głodny, to też Parów? Zapytam... Nie, nie zapytam Lassa, ciągle go pytam. Jak dziecko na pierwszym w życiu targowisku. A cio to, a cio tamto?

Droga skręciła i okazało się, że po jej lewej stronie otwiera się mała polanka, wymarzone miejsce dla niewielkiej grupy wędrowców, dla dwóch, na przykład, albo człowieka i z natury swej niedużego trauta. Trawa była wysoka, mięsista i sucha, dwa wysokie rozłożyste chojaki szerokimi dolnymi gałęziami stykały się ze sobą tworząc dość gęsty i szczelny dach nad murawą. Było to tak dobre miejsce, że obu wędrowcom nawet nie przyszło do głowy pytanie drugiego, czy tu zostaną.

– Nazbierajmy gałęzi na ognisko – zaproponował Bosse i pierwszy ruszył do lasu.

– Poczekaj, pójde z tobą. Jeśli będziemy mieli szczęście – Lass podbiegł i maszerował z uniesioną do góry jedną ręką, przy pomocy której nie pozwalał sobie przerwać – to znajdziemy jedną dobrą i wystarczy na całą noc.

– Jedną – powątpiewająco mruknął człowiek. Pierwotnie chciał zadrwić z trauta, ale w ostatniej chwili przypomniał sobie, że to raczej Lass jest tu przewodnikiem i zdążył zmienić kpinę na zwątpienie. – Może lepiej kilka? – dodał na wszelki wypadek wyraźnie pojednawczym tonem.

– Szukaj takiej, która ma wyraźne poprzeczne pierścienie ze srebrzystej pleśni. – Nagle rzucił się w bok i podniósł gałąź. – O, takiej.

Zawrócił w miejscu i nie zwracając uwagi na minę człowieka poszedł w kierunku szpilkowców. Bosse poczekał chwilę, ale widząc jego zdecydowanie ruszył za nim. Lass siedział już w kucki pod drzewem, przed nim piętrzył się stosik równo połamanych patyczków, który Bosse mógłby uznać co najwyżej za rozpałkę pod normalny ogień. Lass niecierpliwie pomachał ręką, a gdy dostał krzesiwo strzelił iskrami w stos i – mimo że nie było widać żadnego efektu – oddał krzesiwo Bosse. Chwilę później – Bosse nie chował jeszcze krzesiwa pewien, że będzie trzeba powtórzyć krzesanie – wbrew jego doświadczeniu i naturze ognia w stosiku coś prychnęło jak rozszuszczony chrząszcz i uleciała zeń strużka dymu.

– Nie?! – okrzykowi towarzyszyło plaśnięcie dłoni o udo.

Uśmiechnięty pyszczek skwira uniósł się do góry.

– Nie? – zapytał uprzejmie.

– Przecież... Ach tak – Parów. Parów?

– Tak. Niektóre gałęzie, te wszystkie... – majtnął palcem w prawo i w lewo – ...płoną jak nie wiem co. – Dmuchał delikatnie w coraz mocniej dymiący stosik i gdy błysnął wesoły ogienek sięgnął po leżącą obok nogi gałązkę i włożył w ogień. Błysnęło, fuknęło i zwarty kłębuszek dymu poszybował ku górze. – Koniec – oznajmił zadowolony z pokazu traut. – Mógłbyś uzbierać nie wiem jaki stos i nieostrożnie krzesząc opaliłbyś sobie brwi i wąsy, bo hufnęłoby tylko. Ale – przybrał pouczający ton i podniósł do gry palec – jedna odpowiednia gałąź daje ci światło i ciepło przez całą noc. – Nagle pomarkotniał. – Tylko po co ja ci to mówię – poza Parowem to wszystko nie ma znaczenia...

– No właśnie – powiedział Bosse zastanawiając się co też chciał przez to powiedzieć.

– Lepiej by było gdybyśmy...

Bosse nigdy nie dowiedział się co chciał powiedzieć Lass. Oczy skwira rozszerzyły się na całą szerokość, aż widoczny stał brzeg trzeciej kociej powieki, ukazał wszystkie zęby i na dodatek zatrzepotał rękami.

– Za! – jęknął. –Z–za... Z–z–za!..

Z tyłu głowy rozwarła się gardziel z lodowatym powietrzem. Ryknęło bezgłośnie i owiało całe ciało Bosse. Zacisnął zęby, ale nie udało mu się uniknąć drżenia. Położył lewą rękę na rękojeści miecza i wolno odwrócił się.

Za nim stała wysoka, dorównująca mu wysokością postać. O wiele chudsza, można by rzec niepomernie chuda, szczególnie jeśli by ktoś popatrzył na nią z boku. Wtedy bowiem stawała się cienka jak wyrzeźbiona z deski. Płonącej deski. Stworzenie kiwnęło się na boki, płonące ciało dziwnie zaskrzypiało, pojedyncze ogniki oderwały się i poszybowały krótko w

górze. Twarz, mimo że jak i reszta ciała rysowana była płomykami miała dziwnie wyraziste rysy, niedobre, złośliwe, złe. W miejscu oczu migotały dwa stałe ciemniejsze płomyki, tak samo odpowiednio ciemnymi i jasnymi płomykami zaznaczone były wszystkie rysy twarzy ognistego stwora oraz inne detale jego sylwetki. Przez mgnienie oka Bosse oskarżał w duchu trauta, bawiącego się magicznymi gałązkami, o spowodowanie pojawienia się zjawy. Na dole oblicza potrzaskującego z cicha przybysza poruszyły się płomyki i zarysowała się kreska ognistych niby–ust.

– Jestem Ogniew – rozbrzmiało niewyraźnie.

Głos przypominał furkot ognia w dobrym i dużym kowalskim piecu, gdy nie ma w nim jeszcze sztaby metalu, a tylko miechy wbijają weń strugi powietrza. Był niewyraźny i groźny. W komplecie z postacią, z brzmieniem i znaczeniem imienia, i ciepłem – dopiero teraz Bosse to poczuł – bijącym od sylwetki spowodowały, że w gardle człowieka wilgoci zrobiło się tyle, co w południe na środku pustyni Qoke–Macanta. Kątem oka zauważył z wdzięcznością, że traut staje obok jego prawej nogi.

– Ja jestem Lass, a to Bosse. Tak go nazwałem – powiedział cicho Lass.

– Nazwałeś go, bo jest twój?

Mówiąc „twój” Ogniew tak przeciągle furknął, że dwa płomyki oderwały się od jego „brody” i wystrzeliły w kierunku skwira, na którego w tym momencie patrzył. Bosse zdążył wysunąć rękę i przegrodzić drogę płomykom. Uderzyły w dłoń. Zgasły. Nie poczuł nic.

– Nie. Jest oczarowany, nic nie pamięta, tyle że ma przyjść po jak...

– Co on ma jest nieważne, ważne co ma! – przerwał Ogniew zagadkowo.

Odruchowo zastanawiali się czy ma coś szczególnego na myśli, czy po prostu nie zrozumieli jego ognistej mowy. Stwór wyciągnął rękę i zanim poruszyli się chwycił Bosse za łokieć lewej ręki, pociągnął sam cofając się. Lass krzyknął coś i chwycił człowieka za nogę ciągnąc w drugą stronę.

– Nie! – wrzasnął. – On ma coś zrobić i nie wolno ci w tym przeszkadzać!

– Nie–e? – zdziwił się Ogniew. Puścił ramię Bosse, który natychmiast poczuł w nim nieznośne pieczenie. – A kto mi zabroni? Może ty, pokurczu? – Zadał głowę do góry i furknął kilkoma płomieniami w niebo.

Bosse odchrząknął i powiedział:

– Do wyzwisk sięgają przegrani.

Ogniew przeniósł ciemne płomienioczodoły na trauta i popatrzył nań – jak się Bosse wydało – ze szczególną uwagą.

– Dobrze więc. – Odwrócił się do człowieka i oświadczył: – Możesz po prostu pójść za mną prostą drogą...

– Bez możliwości powrotu! – wrzasnął skwir.

– Owszem – zgodził się dobrodusznie Ogniew. – Ale przejście do Parowu bez wzniecania mojego gniewu też coś znaczy.

– A... druga możliwość? – zadał pytanie Bosse.

– Zmuszenie mnie bym cię wpuścił. Jeśli ci się uda – wchodzisz doń jak gość i wychodzisz kiedy chcesz.

– Zaś gdy się nie uda... – znowu odpowiedział traut.

– Hm... Trudno, wtedy ja decyduję o losie takiego nieszczęśnika. Ha–ha!

Myśli jak stado śmigłych pierzyków przemknęły przez głowę Bosse, każda wyrazista i głośna. Jeśli... może... gdybym... o ile... ale... Przecież nie zostałem tu przysłany, by oddać się na łaskę Ogniewa, pomyślał tłumiąc wszystkie wątpliwości. Coś mam zrobić? Lass niedawno o mało nie zdradził co wie albo czego się domyśla, ale... Zaraz! Jeśli zostałem wysłany do Parowu, to przecież nie po to bym walczył z Ogniewem!? Skoro zaś tak, to jedyne, co można było mi zlecić to przeniesienie czy przyniesienie jakiegoś czaru? Jądra? Czego?

– To co mam zrobić, żebyś mnie wpuścił? – zapytał starając się mówić jak człowiek spokojny i pewny siebie. W miarę, rzecz jasna, pewny siebie. – Wymień warunki.

– Ho! – furknął głośno Ogniew. Gwałtownie wyciągnął ogniste ramiona w górę, ten ruch spowodował, że przez chwilę wyglądał jak ognisty ptak wzlatający w niebiosa. – Zagadka.

– Zagadka???

– Tak. Po prostu zagadka. A co chciałeś – zмагаń ze mną? – Roześmiał się głośno, a człowiek i traut zgodnie odskoczyli na boki. Długa wstęga ognia oderwała się od płomieniust Ogniewa, poszybowała przez przestrzeń, przed chwilą przez nich właśnie zajmowaną i uderzyła w ziemię. Wbrew temu co Bosse czuł, a właściwie czego nie czuł przed chwilą, gdy płomieniodłoń chwyciła go za ramię, w miejscu uderzenia płomienia zafurkotały spalające się w jednym błysku gałązki. Ogniew przeciął ręką powietrze, zafurkotało, a ramię rozjarzyło się mocniej, jak rozpalana żagiew. – Gdy przegrasz możemy nawet się pomocować – oświadczył. – Czemu nie? Wtedy będziemy mogli...

– No to zagadka! – twardo oświadczył Bosse zaczynając uważać, że poza samą postacią w Ogniewie mało jest przerażającego, a jego groźby mają na celu skruszenie jego hartu. Lass z aprobatą klasnął w dłoń. – Czekam.

Ogniew cofnął się o pół kroku i jakby nadał, w każdym razie jego postać zrobiła się masywniejsza, jakby cięższa, większa. Trwał chwilę nieruchomo, a potem wycharczał ciężkim niskim porykliwym głosem:

– Co jest najzimniejsze na świecie, co jest najgorętsze i które stworzenie może przetrwać i jedno i drugie?

– To są trzy zagadki – zaprotestował Bosse gorączkowo zastanawiając się.

– Twoim zdaniem – trzy. Moim – jedna. Ale to ja zadaję zagadki – wymruczał nieco ciszej Ogniew, ale nawet w tym niewyraźnym pomruku nietrudno było znaleźć sporo zjadliwej radości i triumfu.

Mam wrażenie, że znam to, myślał gorączkowo Bosse. Znam, muszę znać. Dlaczego...

– No? – ponaglił Ogniew.

– Zaraz – wypalił Lass jakby czekający na ponaglenie. – Nie było mowy o tym, że ma natychmiast odpowiedzieć, ty zadajesz zagadki, a on odpowiada. To są jedyne warunki!

– Zgoda – po chwili namysłu powiedział Ogniew. – Może sobie myśleć aż do szczytnięcia czasu. Aż do...

Chłód kojącym ciepłem rozlał się po duszy Bosse. Uniósł rękę i powstrzymał gadatliwego Ogniewa.

– Nie muszę już myśleć. Mam odpowiedź. Więc tak – najgorętsza jest miłość, najzimniejsza – nienawiść... – Ogniew otworzył płomieniusta, Bosse natężył głos i przyspieszył: – ... a stworzeniem, które przetrwa i jedno i drugie jest człowiek! – Nagle poczuł, że musi coś jeszcze powiedzieć, bo inaczej przegra i ktoś, coś przesądziło mu do umysłu właściwe słowa: – Cokolwiek byś nie powiedział – to właściwa odpowiedź i nie zgadzam się, jeśli uważasz inaczej! – wykrzyczał.

Zamarły w bezruchu Ogniew wahał się, tworzące go płomyki zadrżały i Bosse nabrał pewności, że stwór zaraz rozpułynie się, rozmyje, zgaśnie, a wtedy oni będą mogli już bez przeszkód dojść i wejść do Parowu i...

– Dobrze. Idziemy! – i zanim Bosse zdążył się poruszyć czy nawet cokolwiek pomyśleć Ogniew wysunął rękę i ponownie chwycił go za lewą rękę. Pociągnął, a wtedy za kolano Bosse chwycił Lass i pociągnięty człowiek wciągnął go do Parowu. – Oto... – zahuczał stwór.

Znaleźli się na jasnej polanie, światło uderzyło w oczy, musiał zmrużyć powieki i opuścić głowę. Uświadomił sobie, że prócz światła coś w powietrzu szczypie w oczy, dopiero po długiej chwili, mimo że bardzo był ciekaw okolicy, mógł przyjrzeć się otoczeniu.

Nie znalazł w pierwszej chwili niczego ciekawego. Las otaczający ich z trzech stron składał się ze zwyczajnych jodeł, buków i brzoź, trawa była zwyczajna i nie kicały po niej żadne bezuche magiczne zające ani nie pasły się dwugłowe sarny z jednorożcami. Drzew nie kołysał wiatr, a niebo miało nieprzyjemny zimny szarobłękitny kolor i nie było na nim słońca; cały nieboskłon świecił równomiernie dając niemal południowe letnie światło.

– Zawołaj mnie... – burknął nagle z boku Ogniew.

Gdy Bosse odwrócił się szybko, chcąc na wszelki wypadek zatrzymać stwora zostały po nim tylko dwa czy trzy pojedyncze płomyki niezdecydowane co robić, kołyszące się przez krótką chwilę w powietrzu. Potem zgasły. Zostali sami. Ich głowy zatoczyły pełne koła w przeciwnych kierunkach. Popatrzyli na siebie, Bosse westchnął.

– Myślałem, że wszystko będzie jaśniejsze tutaj – mruknął cicho.

– Hm?

– Że wszystko się wyjaśni tutaj, myślałem tak – powtórzył człowiek. – Myślałem tak: skoro mam wziąć jakiś czar – leżą tam hałdy czarów i wezmę sobie po prostu jakiś. – Rozejrzał się jeszcze raz. – A tu...

Traut rzucił mu szybkie pytające spojrzenie.

– Nic sobie więcej nie przypomniałeś?

Zastanawiał się chwilę. Pokręcił głową, nie chciało mu się otwierać ust. Popatrzył w stronę naturalnego, jedyne w gruncie rzeczy wyjścia z polany. Zrobił w tamtym kierunku dwa kroki, zerknął przez ramię na trauta, maszerował tuż za nim. Wyszli na przedlesie, w prawo las ciągnął się jak okiem sięgnął, w lewo widniał tylko jego cypel. Skierowali się tam bez wahania. Po kilkudziesięciu krokach traut skomentował cicho:

– Cisza.

Po następnej chwili człowiek przyznał:

– Cicho. Nie ma ptaków.

– I owadów.

– Tak, i owadów.

Nie odzywając się już do siebie dotarli do czubka cypla i mogli popatrzeć co się za nim kryje. Ściana, stroma skalna ściana, która pięła się kilkakrotnie przewyższając wysokość najwyższych drzew, ale dopiero tutaj góra stała się widoczna. Bosse nawet zrobił dwa kroki do tyłu i popatrzył na górę, znikła. Wrócił do stojącego nieruchomo trauta i nagle skała pojawiła się przed oczami.

– Tam! – powiedział nagle Lass.

Pokazał na coś ręką; Bosse, zaniechawszy myśli o szczegółowszym badaniu fenomenu skały, zmrużył oczy i osłonił je daszkiem z dłoni. Na wysokości kilkudziesięciu kroków w monotonnie szarym cielsku skały znajdował się otwór. Jaskinia.

– Myślisz? – bąknął powątpiewająco. Nie miał ochoty na wspinaczkę, choć zdawał sobie sprawę, że jego ochota nie będzie tu zbyt uważnie rozpatrywana.

– A po co by tam była?! – prychnął skwir.

– No to... – Pomaszerował posłusznie do skały i nie zatrzymując się podjął wspinaczkę. Po kilkunastu krokach wsłuchał się w kroki za sobą i zrozumiał, że ich nie słyszy. Obejrzał się. Lass stał nieruchomo i smutno wpatrywał się w człowieka, Bosse zmarszczył brwi, majtnął głową. Lass pokręcił głową.

– Nie. Już nie – zawołał. – Nie potrzebujesz tam mnie. Idź!

Po chwili wahania człowiek uznał jakieś racje skwira, skinął głową wrócił do wspinaczki. Nie była trudna, była tylko wyczerpująca jak długie schody bez poręczy. Osiągnął jaskinię zaledwie kilka razy podparłszy się ręką i ani razu dwoma. Usiadł pewnie i wygodnie, popatrzył w dół. Lass stał w tym samym miejscu wpatrując się weń, gdy Bosse podniósł wzrok, jakoś dziwnie zasmucony wyrazistym spojrzeniem skwira, okazało się, że

widzi tylko kawałek lasu, który nagle rozmywał się i przechodził w mętną szarość, za którą nie było już nic. Zobaczył nagle, że Lass macha ręką, a potem dotarł do niego drżący krzyk:

– I–i–idź!

Uświadomił sobie po co wspiał się tutaj. Wciągnął nogi i podniósł się jednocześnie odwracając. W jaskini było jasno, po prostu jasno, jakby nie miała sklepienia, ściany były równo karbowane i Bosse uświadomił sobie, że tak wyglądałby od środka kokon, na przykład, oygrafy. Myśl, że mógłby się znajdować wewnątrz odwłoku olbrzymiej larwy wstrząsnęła nim, splunął na ziemię i poszedł wolno korytarzem. Kilkanaście kroków dalej zobaczył jedną jedyną niszę w skalnej ścianie z prawej. Poszedł ostrożnie i zajrzał nieufnie. Leżał tam kamień gładki i owalny niczym jajko skalnej kury; przyglądał mu się długą chwilę, oblizał wargi i wytarł nagle spocone dłonie, ale powstrzymał się i nie dotknął jajka. Ruszył naprzód, szybciej, energiczniej, ale nie było do czego się śpieszyć. Po lekkim skręceniu pojawił się wylot jaskini, podszedł do niego ostrożnie i wyjrzał.

Skwir stał z wciąż zadartą głową i wpatrywał się w otwór jaskini. Bosse zmarszczył brew i machnąwszy do trauta rzucił się do tyłu, biegiem pokonał korytarz zwracając uwagę na skręty, były dwa, oba łagodne, w lewo i w prawo, nisza z jajem znalazła się znowu z prawej strony korytarza. Wylot świecił i Lass jak i poprzednio stał i gapił się do góry.

– To na pewno nie jest koło! – syknął Bosse. – Korytarz przechodzi skałę na wylot. I co? – Odwrócił się, poszedł do wnęki, zawahał się stojąc przed nią, ale nie widział innego sensu wspinaczki. Wyciągnął rękę i delikatnie trącił jajko czubkiem palca. Było twarde i chłodne, zwyczajny kamień. Ostrożnie wziął je w palce, potrzymał chwilę czekając na jakieś oznaki niezadowolenia: drzenie, gorąco, blask, hałas, ale nic takiego nie wydarzyło się, więc chwycił jajo mocniej i wyciągnął z niszy. Dalej nic. Przyłożył kamień do ucha, ale nie dostał żadnego sygnału. – No to wracamy – powiedział i uświadomił sobie, że powiedział to do kamienia, żeby mógł zaoponować, gdyby nie chciał być wyniesionym stąd. Kamyk leżał obojętny zimny i kamienny. Bosse ruszył do wyjścia, zobaczył znajomy już odcięty mglistym nożem od większej całości las i polankę z trautem. Pokazał mu jajo trzymając je mocno między kciukiem i trzema palcami, a Lass skinął z aprobatą głową. Wtedy schował kamień do kieszeni na piersi, sprawdził sznureczek zamykający ją i zaczął schodzić ze skały. Było stromo i nie dało się schodzić inaczej jak twarzą do skały, gdy zszedł na trawę i odwrócił się do Lassa traut zamachał obiema rękami:

– Nie wiem. Skoro wzięłeś właśnie to, to znaczy, że miałeś wziąć właśnie je!

– Nie było tam nic innego.

– Tym bar... – Lass urwał i rzuciwszy spłoszone spojrzenie na coś za plecami Bosse dokończył: –...dziej.

Bosse odwrócił się szybko, za jego plecami rozpalał się Ogniew. Najpierw ni stąd ni zowąd pojawiały się pojedyncze płomyki, skakały w powietrzu to tu, to tam, zostawiając po sobie inne rozpalające się pełgające niemrawo ogniki, a potem zasyczało jakby mokre polano trafiło do sytego kominka. Pojawił się cały Ogniew.

– A? Masz coś? – zafurczał.

– Tak – Bosse posłusznie wyciągnął rękę i pokazał mu jajo.

– O? Ładny kamyk – pochwalił drwiąco Ogniew. – Po to tu przyszedłeś?

Bosse bezradnie popatrzył na Lassa. Traut zawahał się, poruszył ustami, ale jakby podjąwszy jakąś decyzję wskazał wzrokiem Ogniewa i pokręcił głową.

– Może tak, może nie – hardo rzucił Bosse. – Umowa była, że wchodzę i wychodzę kiedy chcę.

– Of–f–fszem! – rzucił radośnie Ogniew. – Wejść i wyjść, ale nie wynosić!

– J–jak to?!

Zaległa cisza. Ogniew pofurkiwał ogniem, traut westchnął i Bosse zrozumiał, że to nie on ma teraz rację. Przełknął ślinę.

– Muszę to wynieść – oświadczył.
– Dobrze. Możesz – zgodził się niespodziewanie i łatwo Ogniew. – On zostanie tutaj.
– Kto? Lass? Dlaczego?.. Nieważne – nie!
Ogniew wzruszył ramionami. Lass skinął głową.
– Nie – powiedział Bosse. Zmarszczył czoło i zaczął słuchać własnych myśli. – Co...
– Bosse – powiedział cicho Lass. – To nie ma sensu. Przecież po to tu przyszedłeś, dla tego jajka ktoś rzucił na ciebie czar, a taki czar może zadziałać tylko za zgodą zaczarowywanej osoby, więc musiałeś chcieć. Zrozum – płacisz tym jajem za coś, na czym ci zależy. Nie możesz więc teraz uciekać od decyzji. Rozumiesz?
– Rozumiem. Nie... Nie wiem...
– Rozumiesz.
Bosse milczał chwilę, coś zaczęło przebijać się przez rozproszone przez czar myśli i wspomnienia.
– Przyjaciel... Mistrz Skon?
Lass westchnął głęboko: – No właśnie. Spodziewałem się czegoś podobnego. Nie masz wyboru.
Ogniew syknął, z płomieniust wyrwało się „huff!”, Bosse drgnął.
– Ja...
– Zostawiasz? – warknął Ogniew.
– Nie! – powiedział Lass.
– Albo zostaje kamień albo on! – przypomniał z mocą płomienny strażnik.
– Nie próbuj! – zawołał traut. – Wyjdiesz na głupca i nikomu niczego dobrego nie przyniesiesz!
– Ale co z tobą? – krzyknął Bosse i sam poczuł, że pytanie jest pierwszą rysą w jego jeszcze przed chwilą twardym pancerzu zdecydowania, że już szuka dla siebie usprawiedliwienia. Poczul się podle zmuszając trauta nie dość, że do ofiary, to jeszcze do proszenia go o łaskawą zgodę na tę ofiarę. – Nie, nie mogę...
– Ostatni raz pytam? – zarechotał Ogniew.
– Bosse, wiedziałem od początku. Naprawdę – skwir zrobił krok i trącił rękę człowieka.
– Mówiłem ci – ludzie nie widzą nigdy więcej niż jednego trauta na raz. A wiesz dlaczego – bo jesteśmy zawsze z jakąś przysługą dla człowieka. Zawsze, zawsze i zawsze. Poto nas się wywołuje, to taki nasz życiowy cel. Potem możemy...
– Nie wierzę ci! Ja nikogo nie wywoływałem...
– Uwierz. Byliśmy sobie pisani i nie my o tym decydujemy. A jedyne co mogłem dla ciebie zrobić, co musiałem dla ciebie zrobić, to przyprowadzić tutaj i teraz wyprowadzić.
– Tylko że ja nie wiedziałem o tym i gdyb...
– Ostatni raz...
– Cicho! – wrzasnął traut z taką mocą, że i człowiek i Ogniew zamilkli zaskoczeni. – Nie myśl, że on mnie tu upiecze albo zrzuci ze skały w przepaść. Tutaj po prostu będę żył inaczej. W końcu nie on tu jest najważniejszy, to tylko strażnik. Proszę cię, Bosse. – Trącił jeszcze raz rękę człowieka i zwrócił się do Ogniewa: – No, idziemy, ty kaganku usmolony!
Bosse zrozumiał, że powiedział to dla niego, zawahał się. Skon, traut, Ogniew, kamień, traut, czar, zakotłowało mu się w głowie. Przyjaciel... Traut przyjaciel? Kto?
– Odpowiesz mi teraz albo zabieram... – zaczął wolno huczeć Ogniew.
– Tak. Wychodzę – wykrztusił człowiek. – Żegnaj Lass. Ja będę...
Ogniew rozleciał się nagle na tysiące małych iskier, zasłonił płomiennymi smugami całą przestrzeń przed człowiekiem. Bosse krzyknął i odskoczył do tyłu. Jaskrawość nakryła go kłującą narzutą, wstrzymał oddech bojąc się wciągnąć do płuc płomień i nagle poczuł, że odrywa się od ziemi i leci; przez chwilę wydawało mu się, że spada, po chwili, że się

wznosi. Stracił poczucie góry, dołu, boku, zimna, ciepła, bólu... Przeszał czuć ręce, przeszał słyszeć i widzieć, chciał krzyknąć... Chciał...

Tuż przy oku płynęły brązowe fale nie wiadomo czego, wpadały w cień rzucały przez wysoki ciemny kształt i...

Drugie oko patrzyło w mętłą ciemność. Coś przygniatało czaszkę, jakby leżał pod rozbitą barykadą...

W uszach pobrzmiwał jednostajny, mleczny, monotony szum...

Zamrugał, niespodziewanie okazało się, że może bez wysiłku poruszyć głową, uniósł ją więc lekko. Okazało się, że leży oparty czołem o stół, przed sobą ma wypalony dzban z drewnianym korkiem owiniętym cienką skórką. Znajdował się w ciemnej izbie pełnej... Babayagr! Przypomniał sobie nagle i wszystko: napój, ugode, nie – nie tak: najpierw ugoda, potem napój, potem... Czarna mgła. Sen? Utrata świadomości?

Na stole stał tylko dzban, dzban, którego – był pewien – przed chwilą nie było. Przed chwilą, pomyślał, czy przed... Ile minęło czasu? Rozejrzał się. Izbę rozświetlały płomienie kaganków, nie wskazywały upływu czasu jak świece, za oknami panowała ciemność. Gdzie karzeł? Może wstanę i poszukam?

Zapał się rękami o blat stołu, zapiekło w lewym łokciu. Opadł z powrotem i sięgnął do rękawa koszuli.

– Już? – zapytał z tyłu zachrypiły głos.

Odwrócił się, ale zobaczył tylko miotły pod ścianą, kosze i inne wyroby wikliniarskie. Zakołowało się to wszystko, chwycił kurczowo blat stołu, drugą ręką wsparł się o kolano.

– Poczekaj jeszcze chwilę – powiedział głos. – Nie próbuj mnie znaleźć, bo nie ma mnie w chacie, to tylko mój głos.

– Dlaczego uciekłeś? – wychrypiął Cadron.

– Zbyt wielu gości chciało zwrotu zapłaty albo czegoś więcej w zamian za nią.

Cadron zmarszczył czoło. Nie mógł sobie przypomnieć szczegółów umowy, zwłaszcza wysokości zapłaty, może rzeczywiście karzeł oskubał go... Ale jeśli to może pomóc Hondelykowi? Potrząsnął głową.

– Nie zamierzam się spierać.

– No i bardzo dobrze. Bierz butlę i pędź do przyjaciela.

– I co?

– Jeśli żyje – jedna część tego specyfiku i dwie części wody...

– Jeśli?! Żyje?! – poderwał się z zydlą i zaczął szukać broni.

– Podobno nie zamierzałeś się spierać – zakpił głos Babayagra.

– Ale miałeś pomóc?

– A skąd wiesz, że nie pomogę? Póki tu się kłócisz nie wiesz co się dzieje w karczmie. Może już pomogłem? Może dopiero po wypiciu napoju? Może się spóźnisz i nic już nie pomoże?

Cadron poderwał się, chwycił butlę, potrząśnięciem głowy odpędził kolejny lekki zawrót głowy. Zrobił krok ku otwartym drzwiom.

– Jeśliś mnie oszukał...

– Nigdy się tego nie dowiesz!

– ...to wrócę i spalę całe to... koszowisko!

– Spróbuj! – syknął niewidzialny Babayagr.

Cadron zrozumiał, że zachowuje się nierozsądnie, że, w końcu, to on sam przyszedł do karła, że kłóci się jak pijak, któremu skończyły się pieniądze i oskarża o to szynkarza. Zrozumiał też, że na pewno nie przyjdzie tu z żadnymi pretensjami, a przede wszystkim

zrozumiał – karzeł naprawdę nie boi się go i naprawę jest w stanie jakoś się obronić. Zawahał się, ale nie znalazł w sobie sił, by jakoś załagodzić niespodziewany spór. Machnął ręką i wyszedł z chaty. Gaber stał przywiązany do słupka, na widok Cadrona parsknął cicho.

– Tak-tak, widzę żeś stęskniony – poklepał wierzchowca, wsunął flaszkę za za pazuchę sprawdzisz przedtem, czy aby nie wylewa się z niej cenny płyn. – Ile mnie nie było, co? – Wsadził nogę w strzemię, ale nie wskakiwał, podniósł głowę do góry i usiłował z położenia gwiazd obliczyć długość pobytu w chacie Babayagra. – Głowę zawracają z tym ruchem gwiazd – mruknął do siebie nie widząc różnicy w nieboskłonie. – Kto go tam wypatrzy i wymierzy.

Z pewnym trudem wspiał się i usadowił w siodle i nie oglądając za siebie wyprowadził Gabera na drogę, i on i wierzchowiec znali już ją, sprawnie, nie budząc nawet psów dotarli do karczmy. Wrota były przymknięte, stróża ani śladu.

– Zabiję gada! – poinformował Gabera Cadron, wprowadził go do stajni, rozsiadł czując narastającą złość i ból w lewym łokciu. Śpieszył się i nie zamierzał marnować czasu na sprawdzanie ręki. Rano, przyrzekł sobie w duchu, obije pysk karczmarzowi i każe wykadzić całe piętro, żeby więcej jakiegoś gówna nie gryzły... – Tfu! – splunął na głos zły na siebie, że zajmuje się ukąszeniami pcheł, podczas gdy przyjaciel...

Wybiegł ze stajni i pognął do pokoju. Kajtys uczciwie kiwał się nad Hondelykiem. Słyszając łoskot kroków na schodach powstał i mocno trąc powieki kostkami wskazujących palców czekał na pojawienie się przybysza.

– Mam to! – rzucił głośnym szeptem Cadron wyjmując flaszkę zza koszuli, medyk skinął głową i przyjął ją.

Widząc szacunek, z jakim brał do ręki naczynie Cadron odetchnął bezgłośnie: na dnie myśli kielkowała i bulgotała również i taka jedna wredna, która mówiła, że całe to zamieszanie z Babayagrem to zwykłe oszustwa karła.

– Czy on jest rzeczywiście magiem... – Kajtys rzucił kose, na swym dnie ironiczne, spojrzenie. – Eee... Może... Ach, nie wiem! Tylko powiedz mi, czy w ogóle był sens wyprawy...

– Oczywiście, że tak! – zapewnił go medyk. – Nie ulega wątpliwości – jest najlepszy... – Ostrożnie podniósł otwór flaszki pod nos i wciągnął aromat kilka razy, jakby z jakiegoś powodu nie mógł raz a dobrze. Nie dokończywszy wątku zapytał błędząc tylko myślami w okolicach izby: – Nie powiedział jak stosować?

– Jedna część tego i dwie wody – pośpieszył z informacją Cadron. – Nie odpowiedziałeś kim jest ten Babayagr!

– Tak... – bąknął zamyślony medyk, stał ze zmrużonymi oczami, wpatrzony w ścianę ślepym spojrzeniem, za które, gdyby był wartownikiem, wychłostano by go, wytarzano w smole i pyłe oraz nakarmiono marynowanym pieprzem z sabasto. – Tak mi się wydaje... Nie ulega... – Poderwał się nagle. – O co pytałeś, panie?

– Zabierz się do leczenia, człowieku! – syknął rozjuszony Cadron. – Czy samo posiadanie eliksiru wyleczy Hondelyka?

Medyk otrząsnął się z zamyślenia, rzucił się do stołu po drodze ofiarując mgnienie oka rannemu, ostrożnie wkropił do szklanicy trochę dziwnie niebieskiego płynu. Podobny z barwy, pomyślał Cadron, do dziwnego i mało smacznego likieru, którym kiedyś poczęstował nas wdzięczny arystokrata. Kiedy Kajtys dolał wody ciecz zmętniała, zburzyła się i nabrała wyglądu mleka. Po chwili płyn uspokoił się, ale został podobny do rozwodnionego mleka, po izbie rozszedł się mocny zapach butwiejących piennych grzybów. Naczynie z lekiem powędrowało do ust Hondelyka, Cadron siłą stłumił rodzący się protest – tak śmierdząca ciecz nie mogła być lekarstwem, chyba że bardzo mocnym i bardzo dobrym i nader rzadkim. Kajtys skinął na Cadrona, żeby pomógł i potrzywał głowę przyjacielowi. Wlewał śmierdzący specyfik ostrożnie, powoli, dając czas rannemu na odruchowe

przełykanie i – to było równie ważne – nie tracąc ani kropli. Fetor zmusił Cadrona do odwrócenia głowy, zerkał co i rusz na przyjaciela, wydało mu się, że raz przechwycił drgnięcie powiek rannego, ale potem twarz Hondelyka mogła znowu konkurować z kunsztowną wykonaną w kredzie maską. Pojenie trwało dość długo, Kajtys zaczął sapać z wysiłku, Cadron tłumił coraz silniejsze torsje. W końcu ostatnie krople wpłynęły do ust pacjenta. Ułożyli go wygodnie, przykryli futrem. Odsunęli się. Cadron z ulgą wpił się paznokciami w materiał kaftana, podrapał się z rozkoszą w swędzący coraz mocniej łokieć. Przez krótką jak ćwierć mgnienia oka chwilę wydawało mu się, że jakaś związana z tym myśl przemknęła przez głowę, ale nie udało się jej pochwycić. Sapnął czując ulgę.

– Co ci, panie?

– Nic, użarło mnie coś – zbył sprawę machnięciem ręki. – Karczmarz mi za to zapłaci – podciągnął rękaw, zerkał na nadgarstek, zmarszczył brwi. Brązowy zaciek wysechł już, przykleiwszy materiał koszuli do skóry. – Coś mi...

Kajtys szybko podskoczył do niego, chwycił za rękę, gwałtownie wykręcił, nie zwracając na zaskoczenie i syknięcie Cadrona. Szarpnięty do góry rękaw odsłonił wyrysowany na skórze strumyczek o czerwono-brązowej barwie. Obaj mężczyźni wpatrywali się uważnie w rysunek, Kajtys odchrząknął, a Cadron ze zdumieniem zrozumiał, że medyk jest zakłopotany. Zanim zdążył zapytać od łoża dobiegło ich słabe kasznięcie, słysząc które obaj rzucili się w tamtym kierunku zapominając o innych sprawach.

Hondelyk poruszał bezgłośnie wargami, gdy nachylili się przytulając niemal do siebie na ustach rannego pojawiła się różowa piana. Cadron poczuł, że cała jego odwaga, oparta na unikaniu myśli o śmierci przyjaciela, wali się z hukiem. Jego serce zaturkotało tak głośno, że jakimś dziwnym ubocznym myśleniem zdziwił się: Kajtys nie zatyka uszu słysząc ten hałas? Wykrztusił... chciał wykrztusić, chciał zapytać... Serce przeskoczyło na inny rytm, usłyszał panującą w izbie ciszę. Zmusił się do popatrzenia na Hondelyka, piana zniknęła; nawet nie potrafił powiedzieć, czy to Kajtys ją starł, czy przełknął ranny. Poruszył ręką, okazało się, że słucha go więc trącił w ramię medyka.

– Co z nim jest? – wyszeptał.

Kajtys potrząsnął niecierpliwie głową opędzając się od niego jak od natarczywego komara, Hondelyk wyszeptał coś. Pochylili się obaj o włos unikając zderzenia głowami.

– Ko... on... co...

Musiał upłynąć chwila zanim Cadron zrozumiał co wyszeptał Hondelyk. Popatrzył na Kajtysa, ale medyk pokręcił przecząco głową.

– Gorączka – powiedział cicho. – Wsunął rękę pod futro, zamarł, wyjął rękę i położył ją ostrożnie na czole. – Tak.

Powieki Hondelyka drgnęły, zmarszczyło się na krótko czoło.

– Ra... na – usłyszeli. – Kcie-e?..

Popatrzyli na siebie, pierwszy zrozumiał o czym mowa Cadron.

– Gdzie rana? – zapytał pochylając się na rannym. Nie czekając na odpowiedź poinformował: – Blisko serca, bardzo blisko serca...

Popatrzył bezradnie na medyka, ale tamten skinął lekko głową na znak, że dobrze zlokalizował cięcie.

– Straciłeś dużo krwi, ale przede wszystkim nóż niemal sięgnął serca!

– Top...sze...

Kajtys w oszołomieniu popatrzył na Cadrona. Ten wzruszył ramionami.

– Maligna – wyjaśnił. – Powinieneś wiedzieć...

Odwrócił się, żeby ukryć radość, która – wiedział to – zmieniła całkowicie rysy jego twarzy. To, że Hondelyk powiedział „dobrze” znaczyło, że jest świadomy i uruchomił siły, te same siły, które zmieniają rysy jego twarzy, które wydłużają jego kończyny czy zaokrąglają jego plecy aż do garbu. Chyba że majaczył, wtedy można będzie polegać tylko na mocy

eliksirów Kajtysa i Babayagra. Opanował się, odwrócił znowu do Hondelyka. Medyk przecierał mu czoło wilgotną ściereczką, którą co chwila pomachiwał w powietrzu by była chłodniejsza. Popatrzył na Cadrona i mylnie odczytał zmianę na jego twarzy.

– To nie musi znaczyć, że jest gorzej – powiedział najwyraźniej chcąc go pocieszyć. – Nawet może jest lepiej, skoro tyle powiedział: mogą wracać powoli siły.

Wrócił do schładzania czoła chorego, Cadron stał jeszcze chwilę łowiąc wzrokiem najmniejsze oznaki życia na twarzy druha, potem zniechęcony i czując dziwną słabość cofnął się na palcach o dwa kroki i znalazłszy krzesło zwałił się nań. W skroniach huczał mu jakiś przeciągły grzmot, oddychał ciężko, jak po biegu pod górę i nie mógł nasycić się powietrzem. Może ja też mam gorączkę, pomyślał leniwie, przymknął powieki i w końcu poczuł, że już nie musi oddychać tak często. Może to coś, co mi dał ten karzeł? Słabym jak po dwóch dniach koszenia pagórków w Butrasie albo wiosennego piłowania drzew w tartaku ojca. Uleciał myślą do rodzinnego domu, przypomniał sobie, że gdy kiedyś zapadł na bagienne gorączkę, to wydobrzawszy, widząc wreszcie wszystko jasno i wyraźnie, każde jednak poruszenie ręką czy wyduszonych z siebie kilka słów kosztowały go tyle samo co dzisiaj wysiłku. Westchnął płytko, drugi raz głębiej. Skrzyżował ręce na piersi, poprawił się na krześle.

Gdy medyk na chwilę odwrócił się do Cadrona zobaczył, że ten śpi z opuszczoną na pierś i przekrzywioną na bok głową. Kajtys zobaczył na szyi śpiącego jakąś plamkę, wpił się w nią głodnym wzrokiem, ale świece ustawione były tak, że właściwie kryły szyję Cadrona w cieniu, a wstawać się mu nie chciało. Zresztą Hondelyk poruszył głową i cała uwaga medyka ześrodkowała się na nim.

Cadron smacznie spał snem wracającego do zdrowia człowieka.

Stwory, które wypłuła z siebie dziwna, zajmująca więcej niż stodoła, masa, przypominająca odwrócony do góry nogami szeroki dziurkacz kowalski, bezgłośnie dopadły skamieniałą parę dzieci. Umysłowi Gregoryna udzielił się spokój, jaki wcześniej ogarnął wszystkie jego członki; zapiekły oczy, ale gdy spłynęły wywołane pieczeniem łzy obraz wyostrzył się. Stwory przypominały ogromne, wypucowane do matowego błysku równiutkie i skręcone w obręcze bardzo gęste drabiny. Chłopiec czuł się jakby śnił jakiś niezwykły dziwacznie spokojny sen, jakby oglądał go z boku; spokojnie przyjął dotyk ciemnych chłodnych łap, wysunęły się spomiędzy pionowego szpaleru szczebli, dotknęły go, dwa inne stwory zajęły się Sandią – jeden stanął przed nią, drugi ominął dziewczynkę i zniknął z oczu chłopca. Ponieważ przed nim też stał jeden, a drugi poszturchiwał go w plecy leniwie pomyślał, że ta druga para pewnie robi to samo z Sandią. Próbował się odwrócić, syknąć, ale skamienienie dotyczyło wszystkiego, prócz myśli. Szkoda, że nie mogę się uszczypnąć, na pewno udałoby się obudzić. Chociaż – wyjechaliśmy na przejażdżkę nie we śnie? A może? Nie, na pewno, przecież wszystko było normalne – droga, las, rzeka, nie – ptaki! Cisza!

Jakby wywołany jego myślami nad palisadą pojawił się gawron, zobaczywszy ludzi, a może po prostu taką poczuł potrzebę otworzył dziób i wykrzesał z siebie przeciągłe serdeczne wiosenne karknięcie. Nie dokończył go jednak, bo z jednej ze skręconych drabin wystrzelił ciemny promień, bzyrcząc głośno sięgnął ptaka w locie i powalił na trawę. Natychmiast stwór bezszumnie przeniósł się nad leżącego bezładną pierzastą masą ptaka, zasłonił go na chwilę, a kiedy odjechał z powrotem do dzieci na trawie nie było już nic. Gregoryn poczuł, że coś unosi go w powietrze, nie były to łapy, prędzej już czuł się jak wsadzony w kocioł z gęstą masą, która utrzymywała go w stojącej pozycji, nie dawała się wyrwać i pozwalała go podnieść wraz z niewidzialnym kotłem. Kątem oka zobaczył, że

Sandia nie poruszając nogami zaczęła się przesuwac w strone ciemnego kłebu wypełniającego polanę. Dziewczynka tkwiła między cylindrami drabin sztywno wyprostowana; odnotował, że usiłowała zerknąć na Gregoryna, jej białka błysnęły, chłopiec napiął mięśnie, ale nawet nie drgnął. Nagle poczuł, że podąża za Sandią, uświadomił sobie, że jeden z „niosących” go stworów zmienił kolor, ściemniał, a z jednej strony pojawiła się purpurowa gasnąca i pojawiająca się plama. Na bokach drabin niosących Sandię pulsowały podobne, ale żółte plamy. Wjechali w cień rzucany przez stóg ciemności. Teraz Gregoryn zobaczył, że ma on twarde kanciaste kontury, ale otoczony jest czymś jakby mgłą, ale przejmującej nieprzyjemnej bagnistej gęstniejącej w głębi barwy. Przez kleistą mgłę rozjarzyła się plama – purpurowa i żółta na przemian, stwory skierowały się w to właśnie miejsce. Z jakimś dziwnym spokojem obserwujący wszystko chłopiec zobaczył jak pierwsza drabina wtapia się w przemienną plamę, znika kawałek jej okrągłego ciała, potem całe, wyprężona Sandia uderza głową w plamę, głowa znika, potem szyja, korpus, w końcu zostaje tylko drugi stwór, ale szybko i ten wnika w uderzające kolorem w oczy piętno. Natychmiast w to samo miejsce skierowano Gregoryna, chłopiec pomyślał leniwie, że dobrze, iż najpierw ucina głowę, nie będzie bolało, jego pierwszy stwór miękko bezgłośnie dotknął swym korpusem plamy, brzeg „topi” się, znika. Jak zanurzającą się w misie z rzadkim ciastem łyżka, pomyślał. Ale łyżka przecież...

Pierwsza drabinami zniknęła w cielsku stożka, ściana zbliżyła się, uderzyła w twarz, zalała oczy czernią i zaraz spłynęła. Gregoryn nagle odzyskał czucie w ciele, poczuł, że spada na ziemię jakby niezgrabnie zeskoczył z niskiego stopnia na twardą podłogę. Chora noga nie utrzymała ciężaru ciała, zachwiał się, ale zakuśtykał i udało mu się ustać. Zwłaszcza, że chwyciły go pomocne dłonie Sandii. Niechcący zamachnąwszy się prawą ręką zarzucił ją na szyję dziewczynki i nagle okazało się, że stoi przytulony do niej, z nagle odzyskaną jasnością myśli. Odkoczyli od siebie. Znajdowali się w wąskim korytarzu, który i z jednego i z drugiego końca załamywał się w tę samą stronę. Miał gładkie, barwy starej ciemnej starej skóry ściany. Byli w nim sami.

– Jaki głupi sen!

Sandia wcale nie wierzyła, że to sen, ale coś chciała powiedzieć. I chciała uwierzyć w to, co mówi.

– Gdyby... – Gregoryn usłyszał, że skrzeczy jak trafiony ciemnym promieniem gawron, poruszył językiem, udało mu się skierować do gardła odrobinę wilgoci – Gdyby to był sen, to nie śnilibyśmy go razem, prawda?

– No to co to jest? – Ręką zakreśliła półokrąg od podłogi poprzez ścianę i sufit z powrotem do podłogi, ale już za sobą. – Widziałeś kiedyś coś takiego?

Chłopiec nagle poczuł się dorosły, mocny, pewny, opiekuńczy – w głosie Sandii chyba po raz pierwszy od zawarcia znajomości usłyszał tłumione łzy.

– Że nie widziałem, nie znaczy, że tego nie ma – oznajmił pewnym tonem. – Mama zawsze mi powtarza... – Nagle poczuł, że ma oczy nabrzmiałe łzami i szybko odwróciwszy się tyłem do Sandii bąknął: – Sprawdź ten korytarz...

Wystarczyły mu dwa kroki, by stwierdzić, że za zakrętem nie ma nic – ślepa ściana, wystarczyły mu także na przełknięcie łez i zdławienie innych.

– Jesteśmy zamknięci – stwierdził.

– Boję się – szepnęła Sandia. – Tu nic nigdy takiego nie było...

– A pewnie że nie, przecież gdyby było, to by ojciec już dawno spalił to. I byliśmy jesienią, pamiętasz?

Skinęła głową dopiero po chwili. Gregoryn zrozumiał, że słucha go tylko jakaś malutką częścią umysłu, że zmusza się do rozmowy, choć najchętniej by się po prostu popłakała przed kimś dorosłym. Podszedł bliżej i niezgrabnie trącił ją w ramię.

– Nie bój się. – Zastanawiał co powiedzieć pocieszającego, ale przyszło mu do głowy tylko jedno: – Widziałaś tego gawrona? – Nie czekając na odpowiedź kontynuował: – No, właśnie – gdybyśmy nie mieli żyć to trafili by nas tym... – wzruszył ramionami –... czarnym płomieniem.

– Niebieskim.

– Co?

– Niebieskim płomień. Przypomina światło błyskawicy w ciemnej stajni, wiesz – gdy przebijają się przez dziury.

Gregoryn ucieszył się, że Sandia nie płacze, że zaczęła rozmawiać i nawet sprzeczać się – zwyczajna Sandia, mądra i nieustępująca nikomu i nigdy.

– No – potwierdził szybko określenie dziewczynki. Zamarł z otwartymi ustami, po chwili rzucił: – A wiesz dlaczego nie było ptaków?

Nie wiedziała, ale gdy zapytał – domyśliła się:

– Strzelali i ptaki się wystraszyły?!

– Tak.

Rozmyślali chwilę nad wspólnymi wnioskami, wysnuli następne.

– To musi tu być już jakiś czas – powiedziała.

– Tak – powtórzył. – Wystraszyło całą zwierzynę. – Zastanawiał się jeszcze długą chwilę. – Że też nikt tego nie zauważył?!

Sandia przygryzła dolną wargę.

– Jeszcze w pole nie chodzą... – powiedziała niepewnie.

– Yhy. – Omal nie powiedział „tak”, ale przypomniał sobie, że już dwa razy tak się odezwał. – Gdyby...

Ściana za plecami Sandii bezgłośnie pękła, Gregoryn wytrzeszczył oczy, a dziewczynka odwróciła się błyskawicznie i pisnęła. Potem nagle zrobiła dwa kroki w kierunku pęknięcia i tupnęła nogą.

– Nie chcemy! – krzyknęła. – Nie straszcie nas! Nie wolno!!!

W pęknięciu pojawiło się światło, najpierw gwałtownie rozbłysło aż do siły słońca, ogarniając oślepiającym blaskiem wszystko dokoła, potem wolno przygasło, po chwili można było patrzeć w tamtym kierunku. Chłopiec czuł tłukące się wysoko w piersi, właściwie już w gardle serce. Poruszył się, całe ciało stawiało opór większy niż chora noga i uschnięta ręka, zacisnął zęby i zmusił się do małego kroczenia, jeszcze jednego. Dwa półkroczenia później dotarł do Sandii, ominął ją i ustawivszy przed nią zasłonił sobą. Stali tak chwilę, ale nic się nie działo. W dziwnych drzwiach świeciło światło, nic się nie poruszało, nie słychać było – prócz ich drżących szybkich oddechów – żadnego dźwięku. Po kilkudziesięciu uderzeniach serca Gregoryn poruszył się, zacisnął pięści i ruszył do przodu. W „progu” zatrzymał się – miał przed sobą długą niską izbę. Wszystko w niej – podłoga, ściany, sufit i stół z dwoma taboretami – było jednakowego koloru, takiego samego jak korytarz. Na stole stały dwa gładziutki jak wytoczone z lodu okrągłe wysokie kubki i dwa talerze, również gładkie i bez żadnych ozdób; na każdym talerzu leżało czerwone jabłko i kremowe jajko. Gregoryn obejrzał się i skinął na Sandię:

– Chodź, mamy poczęstunek. Nakrzyczałaś na nich i chyba się wystraszyli. – Czuł się zobowiązany do podnoszenia jej na duchu. Uśmiechnęła się, słabo, ale jednak. – Śmiało.

Podeszła i nagle chwyciła go za rękę. Miała gorącą suchą dłoń, Gregoryn pomyślał, że jego ciepła i wilgotna dłoń musi być nieprzyjemna, ale Sandia nie puszczała jej i nic nie wskazywało, na to, że zamierza puścić. Razem przekroczyli nieistniejący próg i znaleźli się w izbie. Coś tknęło Gregoryna, może leciutki powiew powietrza – odwrócił się i drgnął widząc stałą równą i gładką płaszczyznę ściany za sobą. Drzwi zniknęły nieodwołalnie. Pociągnął Sandię do stołu, nie chcąc by zauważyła to co i on. Podeszli i zatrzymali się

przyglądając stołowi. Jabłka były identyczne, równiutkie, ciemnoczerwone, takich teraz, wczesną wiosną, już nie było nawet w najlepszych piwnicach.

– Zobacz – szepnęła. Wysunęła palec i pokazała, że jabłko nie ma ogonka, więcej – zagłębienie nie ma nawet otworu, z którego powinien wyrastać ogonek. – To...

Przerwała, chwyciła nagle jabłko, podniosła do ust i wbiła zęby z miną „Na pewno jest ohydne!”. Po chwili zastanowienia i smakowania zaczęła wolno przeżuwać.

– Wszpaniało... – wykrztusiła ustami pełnymi nieprzeżutego owocu.

Gregoryn powstrzymał się od smakowania jabłka, sięgnął do kubka obwąchał zawartość i skosztował. Woda. Zimna. Napił się z przyjemnością. Teraz wydała się kwaśna i zaszczypała w język i gardło, z żołądka do jamy ustnej przywędrowała kula powietrza. Udało mu się niemal bezgłośnie wypuścić ją z usta. Wziął do ręki jajo, potrząśnięte zagulgotało.

– Surowe.

– Fuj!.. Nie próbuj, może być kacze.

Podniósł swoje jabłko, również nie rosło na drzewie, nie było możliwości zaczepienia owocu o gałąź. Nie miało też korony z drugiej strony ogonka. Powąchał. Pachniało pięknie – zdrowe, słodkie, dojrzałe i jesienne. Zimne.

– Nie mam ochoty, zjedz i moje.

Skrzywiła się ze zdziwieniem, ale nie protestowała, ugryzła jeszcze raz swoje i przyjrzała mu się. – Fobac! – wymamrotała. – Je wa festek!

– Słucham?

Szybko przeżuła kęs, pokazała ogryzek Gregorynowi:

– Zobacz! – powtórzyła zniecierpliwiona. – Nie ma pestek.

– Bo to nie jabłko – odpalił z kolei chłopiec. – Nie widzisz – na wiosnę? Bez ogonka i szypułki? Zastanów się.

– To może nie jeść? – Popatrzyła z wahaniem na resztkę owocu w jednym ręku i całe w drugim. – A, i tak już zjadłam prawie całe.

Uśmiechnęła się wesoło i wcisnęła cały ogryzek do ust. Uśmiechając się oczami żuła i pomrugiwała do Gregoryna, on zaś spróbował wydusić na usta jakikolwiek uśmiech, zaczął uważniej przyglądać się komnacie, ale było w niej tylko to, co zauważył wchodząc, nawet mniej jeśli liczyć zjedzone przez Sandię jabłko–niejabłko. Stół i dwa taborety, płaskie miski z jajkami, kubki. Tracił taboret, nie poruszył się, zaciekawiony napał nań mocniej, a potem już z całej siły, w końcu, nie poruszywszy go ani o włos ze stęknięciem ukląkł i zaczął przyglądać się meblowi.

– Wiesz co – zapytał – to wygląda jakby był zrobiony z podłogi. I stół też. – Popatrzył z dołu na radośnie przeżuwającą końcówkę owocu przyjaciółkę. – Co to jest?

Wzruszyła ramionami, skończyła ruszać zuchwą, postukała palcami w stół, trąciła zydel, jeszcze raz wzruszyła ramionami.

– Chyba po prostu tu mieszkają bogowie – powiedziała lekkim tonem.

– Bogowie???

– A dlaczego nie? Mają posłuszne sługi, rajskie owoce, słuchają ich ściany i podłogi?..

– No tak, ale... Uważaj!

Sandia odbiła się i z rozpędu usiadła na stole. Gregoryn musiał przyznać, że on sam boi się mocniej niż dziewczyna. Tak, ale, pomyślał, to ja muszę się nią opiekować, a ona może sobie pozwolić...

Zupełnie bez zapowiedzi, bez jakiegokolwiek ostrzegawczego sygnału pod sufitem rozległ się powtarzający miękki odgłos, jakby ktoś niewidzialny przemaszerował po suficie. Ten sam niewidzialny, wyposażony w bardzo mocny głos człowiek, zapewne olbrzym powiedział:

– To by załatwiło sprawę pobrania okazu. Skoro już mamy dwa, i nie prosiliśmy się o nie...

– Nie! – krzyknęła równie niewidzialna kobieta. – Są wyraźne dyrektywy!

Sandia ześliznęła się ze stołu i przypadła do podłogi obok Gregoryna, ręce odnalazły się same i splotyły z siłą, która zadziwiłaby nawet miejscowego kowala. Gregoryn poczuł skurcz w krótszej nodze, ale nie poruszył się. Oboje obrzucili bliskimi paniki spojrzeniami sufit, ale nic się na nim nie poruszyło, a pierwszy głos powiedział:

– Zrozum – mnie to osobiście...

– Nieważne. Gdyby zresztą nawet to popatrz – małe wystraszo... Czemu one patrzają w sufit? – Odgłos kilku kroków i krzyk: – Ty idioto – włączyłeś mikrofon?!

– No to co, przecież transla... Ach!

Coś głośno stuknęło i nagle zapadła głęboka cisza, ale już nie taka jak przed chwilą, przed niespodziewanym pojawieniem się podniebnych głosów. Teraz była to cisza nasączona grozą i niewiadomą. Sandia chlipnęła.

– Gregusie... Boję się...

Przerzucił w głowie kilka wariantów odpowiedzi: „A ja nie!”, „Coś ty – nie ma czego!”, „Nie bój się, zaraz coś z tym zrobię” i wybrał:.

– Ja też.

– Co my teraz zrobimy?

Milczał chwilę, zastanawiał się.

– Nie wiem, ale widzi mi się, że nie mamy co robić.

– Właśnie. – Milczała chwilę. – Mama mi mówiła, że bym się nie oddalała od domu... – bąknęła.

– A mnie, że bym... – przerwał czują, że jeśli nie przestanie myśleć i mówić o mamie to się rozbeczy jak młodszy brat Sandii.

Długą chwilę milczeli oddając się bardziej lub mniej zatroskanym myślom. Sandia poruszyła zdrętwiałymi w dłoni Gregoryna palcami.

– Pamiętasz co ona powiedziała?

– Kto – ona?

Chłopiec zląkł się, że Sandia powie coś o tej kobiecie z sufitu, on sam postanowił, że nigdy nie powie niczego o tych niewidzialnych żyjących nad głowami ludziami, zaczerpnął tchu, żeby ją powstrzymać, ale była szybsza:

– Ta kobieta spod sufitu!

– Sandia?!

– Ona powiedziała, że patrzemy w sufit, pamiętam.

– Dlaczego uważasz, że to my, że to o nas?

– A o kim? Kto tu jeszcze jest?

– No właśnie – skąd wiesz kto tu jeszcze jest!

Sprzeczką spowodowała, że zapomnieli gdzie są. Siedzieli naprzeciwko siebie i mówiąc poruszali głowami jak gulgoczące do siebie indy.

– Gre–gu–sie! – wyskandowała dziewczynka. Patrzyła na niego w dorosły sposób z wyrzutem, protesty chłopca wygasły. – Patrz – kobieta mówi: „Och, oni patrzają w sufit!” – powiedziała innym głosem, niższym i głośniejszym, naśladując niewidzialną kobietę. – I zaraz potem głos ustał. No? Przecież to proste – zobaczyła, że ich słyszymy i coś zrobiła! Ale jak zobaczyła?

Zastanawiał się nad jej słowami, ale nie mógł nic zarzucić rozumowaniu przyjaciółki. Zresztą, w głębi duszy, sam myślał podobnie, tylko nie chciał jej straszyć. Tymczasem okazało się, że być może to ona mniej się boi, w każdym razie nie boi się myśleć głośno i nie dba czy słyszą ją rozmawiające nad głowami niewidzialne olbrzymy. Z trudem przełknął ślinę, sięgnął do stołu i napił się wody z kubka. Gdy poruszył naczyniem z jego dna uleciał

rój małych pękających z cichym szelestem bąbelków. Przyglądał się im chwilę, ale pragnienie było mocniejsze od ciekawości, zresztą przypomniał sobie, że czasem kwas z żytnich sucharów podobnie kipi bąbelkami. Stracił zainteresowanie wodą. Wypił resztę duszkiem, Sandia wzięła z niego przykład – skosztowała wody i od razu wypila całą. Wytrzeszczyła oczy i nagle głośno beknęła, chwilę potem pomieszczenie owiała salwa śmiechu, który wzmagął się ilekroć popatrzyli na siebie i gasł, gdy zaczynały boleć brzuchy.

A potem, od śmiechu przeszli od razu do głośnego i serdecznego ziewania, rozdzierającego, niemal wyłamującego żuchwy. Gregoryn próbował coś powiedzieć, ale milczał tylko i sapał nie mogąc wyrwać się z okowów nagłej śpiączki. Sandia nie walczyła – podczołgała się bliżej ściany, oparła o nią, poprawiła się, obdarzyła Gregoryna promiennym zachęcającym uśmiechem i zamknęła oczy. Chciał coś ważnego jej powiedzieć, ale i ta próba została stłumiona przez potężne, rodzące się gdzieś w piersi i naciskające od środka na szczęki ziewnięcie. Ostatkiem świadomych sił rozejrzał się po izbie, nie pojawiły się drzwi, nikt nie odzywał się spod sufitu, samotne dwa jajka leżały w płaskich miskach. Przysunął się bliżej Sandii i przestał walczyć. Zamknął oczy.

Ogarnął go spokój i uczucie lekkości, wydało mu się, że śni barwny letni sen, w którym biegnie po piaszczystym brzegu rzeki, a drobne fale, ciepłe i łaszące się przypadają do jego uderzających w piasek stóp. Powiał chłodniejszy wietrzyk i ktoś, jakaś kobieta powiedziała:

– No i co teraz z nimi zrobimy?

– Nie wiem. Ja bym zabrał oboje i po kłopotcie. Zresztą potrzebujemy okazów dominującego gatunku.

– Wyraźnego polecenia nie dostaliśmy...

– Bo jak na razie nie spotkaliśmy takiego układu: dominujący–inteligentny!

– Prawda, to rzadkość...

– No właśnie! – ucieszył się głos. – Dlatego powinniśmy tak zrobić.

– No nie wiem... – zawałała się kobieta. – Może... Ale i tak jedno z nich nam się nie nada – chłopiec ma niedowładne kończyny. Po co nam okaz ze skazami? A tak przy okazji – to nie nasza wina?

– Nie, skąd! A może spróbować rekonfiguracji komórek?

– Można, ale jeśli rekonfiguracja się nie powiedzie albo nastąpi zafałszowanie systemu, to też nam do szczęścia nie jest potrzebne.

– No to weźmy dziewczynkę i uciekajmy!

Zapadła cisza, a Gregorynowi udało się pomyśleć: Co za głupi sen!? I jaki niezrozumiały! O czym oni mówią? Słowa są zrozumiałe, ale całość... Jakby ze zwykłych cegieł układali całkowicie niezwykłą budowlę.

Czy we śnie można słuchać nieznanego języka? Przecież nawet kiedy śnili mi się wrogowie, jacyś obcy wojownicy, to i tak mówili zrozumiale. A tutaj? Muszę się ob...

–Ressenta chłopca wykazuje jakieś ruchy płynne! – powiedziała kobieta.

–Gdzie? A rzeczywiście – coś drga, ale to nieważne, zresztą może aparatura źle wyskalowana. – Mężczyzna zamilkł, chwilę trwała cisza. – No to jak?

–Nie wiem, naprawdę nie wiem... Jakoś mi się to nie podoba. Co on powie w domu?

–Nic. Bo nic nie będzie pamiętał. No?

–N–no dobrze. Ale! Ale zrobimy mu rekonfigurację, dobrze? Przynajmniej tyle możemy zrobić temu dzie...–Dobrze–dobrze! – Ucieszył się mężczyzna. – To zajmij się chłopcem, a ja zabiorę dziewczynkę. Zajmiemy się nią później. Tylko pośpiesz się, nie wiadomo czy ich nie szukają, żeby się nam tu nie zwałił cały oddział. I jak tylko go załatwisz – startujemy.

–Dobrze. Zabieraj ją.

Gregoryn poczuł, że przez sen ktoś dotyka jego ciała, najpierw przejeżdża łagodnym matczynym gestem po głowie, wraca od czoła do tyłu pod włos, zatrzymuje się na czubku i mówi coś, ale zbyt cicho i wreszcie w całkowicie niezrozumiałym języku, potem od leżącej

na głowie dłoni zaczyna promieniować mocne ciepło, wnikające w czaszkę i obsuwające się aż do klatki piersiowej i niżej, potem śladem ciepła popłynęła drętwa i ostre klucie. Gregoryn jęknął i klucie natychmiast ustało; ciepło przeniosło się na rękę, w prawej zakłuło lekko w koniuszkach palców, przez lewą najpierw przebiegły jakieś zimne strugi, najpierw szybko, potem wolno, jeszcze wolniej i pojawił się ból. Słaby, mocniejszy, jeszcze mocniejszy i bardzo mocny, piekący, palący, wykręcający rękę w łokciu i przegubie. A potem, kiedy Gregoryn zaczął we śnie płakać, ból na dodatek przeniósł się na nogi, i znowu w zdrowej zakłuło zabolalo i znikło, lewą, chorą prześwidrowało kilka lodowych trzpieni, z których rozlał się ból. Chłopiec zacisnął zęby, ale jęk wyrwał się z klatki ust i gdy już się wyrwał trwał i trwał i trwał...

Aż nagle z oczu spadła zasłona mroku i snu, jakiś migoczący rozmyty cień zbliżył się i wysunął smugę w stronę twarzy chłopca. Ból ustał raptownie, jak gdyby spłynął niczym woda po ciele i wsiąkł w ziemię. Wysunięta smuga była ręką, miała palce, ale na wewnętrznych ich stronach ułożone były małe wypukłe krążki, jak macki dziewięcionoga, którego kiedyś dla zabawy dali dzieciom rybacy z Tgeru. Palce nacisnęły na oczy chłopca i znowu posłusznie zaczął pogrążyć się w mroku, ale nagle w oczy uderzyło światło i stwierdził, że znajduje się znowu w izbie ze stołem i jabłkami, tylko że nie było już stołu. Nie było zydli, nie było niczego prócz siedzącej pod ścianą Sandii, oba grube warkocze wyrwały się z kolistego więzi na tyle głowy i opadły z obu stron na ramiona. Dziewczynka miała zamknięte oczy, ale jej pierś unosiła się w głębokim szybkim oddechu, a spomiędzy rozchylonych warg przesłaniając białe zęby wysuwał się co kilka oddechów język i przejeżdżał po wargach. Serce Gregoryn skurczyło się w przeczuciu jakiegoś nieszczęścia, szarpnął się ku przyjaciółce.

–Sandia? – wymamrotał. Na nic więcej nie było go stać. – Sandia–a...

Nie rozumiał dlaczego wszystkie członki ma skute dziwną ciężką niemocą. Zaczął się szamotać wewnątrz skorupy swojego bezwładu, po chwili zaniechał ponieważ okazało się, że może co najwyżej poruszyć oczami, powiekami, ale zakrywają oczy tylko do połowy, może też z trudem wymamrotać coś krótkiego. Powtórzył kilka razy imię dziewczynki. Otworzyła nagle oczy i choć patrzyła tępo przed siebie i na dodatek zezowała, to i tak wyrwał ten ruch radosny jęk z gardła Gregoryna. Dziewczynka poruszyła się.

–Spokojna reakcja – powiedziała. Radość Gregoryna została zastąpiona rozpaczą – Sandia mówiła swoim i jednocześnie cudzym głosem. Mówiąc poruszała dziwnie wargami, te ruchy nie pasowały do wymawianych słów, jakby ktoś chwycił je w palce i poruszał, żeby wydawało się, że to ona sama mówi. – Całkowita...

Urwała. Chłopiec szarpnął się, ale pancerz własnej skóry trzymał mocno.

–...aprobata.

–Sandia, proszę...

–Można.

–Och, słyszysz mnie?

Nagle Sandia mrugnęła kilka razy, drgnęła głowa, gwałtownie zadarła ją do góry, aż uderzyła mocno w ścianę za sobą, ale nie zwróciła na to żadnej uwagi. Szeroko otwartymi oczami patrzyła gdzieś obok przyjaciela, ale gdy zaczęła mówić słowa kierowane były dokładnie do niego. Dzielila je dziwnie, wyrzucała je połówkami, cząstkami z siebie:

–Mu–szę cię po–żegnać. Gre... Za–ras–s zos–tanie–sz wynie–sio–ny nad rze–czkę. Zapom–nisz o tym co tu widzia–łeś... O mnie... O mnie? – Na chwilę jej głos odzyskał niemal normalne brzmienie, nabrał uczucia. – Ja... Ja... Pamiętaj! Mnie! Gregusie kochany!..

Gregoryn zawył rzucając się w jej kierunku, ale nie zmienił położenia ciała ani o drgnienie. Sandia poruszyła się i w końcu popatrzyła w jego kierunku, chłopiec zrozumiał, że siła, która skuwa jego członki podobnie zniewala Sandię, tyle że pozwala jej na więcej, a może na mniej, skoro przez jej usta wychodzą nie jej słowa. Głowa dziewczynki zatoczyła

koło najpierw opierając się brodą o pierś, potem uleciała w bok i w górę, znowu w bok... Przynęła się do Gregoryna, warkocze majtnęły się, uderzyły w skrzyżowane kolana dziewczynki. Sandia chwyciła jeden, szarpnęła koniec, w palcach został pęk długich czerwono-kasztanowych włosów, niezgrabnie, ciągle poruszając się jak niezbyt umiejętnie poruszana lalka, wyciągnęła rękę do chłopca i rozwierając palce, gdy włosy spadały na jego udo, powiedziała:

–Nie mam nic inneg-go, Gre-gu-sie. Ale od serca... Weź i pa...

Więcej Gregoryn nie usłyszał, wydusił z siebie długi przeciągły jęk i jakby to było sygnałem do czegoś dla kogoś spadła na niego kolejna porcja mroku. I zimna.

–Gregusie...

Gregoryn usłyszał dalekie dźwięczne wołanie Sandii, dobiegało z ciemności, z piwnicy, lochu, w którym oboje się chowali.

–Tu jestem! – krzyknął. – Musisz słuchać mojego głosu i iść w moim... – urwał nie słysząc siebie. Natężył się i krzyknął z całej siły: – Sandia!!!

–Gregusie, synku?

Nie słyszy, pomyślał z żalem. Tak daleko odeszła? Ciekawe gdzie jesteśmy, gdzie są takie olbrzymie piwnice i dlaczego mówi do mnie „synku”? Czasem przesadza z tą swoją opiekuńczością, roześmiał się w myślach.

– Słyszysz mnie?

– Słyszę.

– Otwórz oczy. Gregusie.

– A nie mam otwartych? Co ty widziasz, Sandio?

– Otwórz oczy! – zażądała już chyba rozszłoszczona.

Poszukał w sobie tego miejsca, z którego kieruje się otwieraniem i zamykaniem oczu. Zdziwił się i rozzłościł, gdy nie mógł go przez dłuższą chwilę znaleźć, ale nie ustawał. To ręka, pomyślał, to palce, tu są wargi, o – język! Oko... Oczy!? Oczy!..

Z daleka napłynęła plama światła, rozdziwiła się i zlała na powrót. Przymknął powieki, a gdy otworzył je po raz drugi zobaczył nad sobą ciemny okrągły kontur, potem twarz matki, piekły go oczy, musiał je szybko zamknąć, pomrucać, ale w końcu zobaczył Demai wyraźnie. Miała zaniepokojone, skute bólem spojrzenie, ale widząc jego przytomny wzrok wygładziła czoło, odetchnęła.

– No, nareszcie – odsapnęła. – Myślałam, że ci w końcu wkropię, żebyś się obudził.

– Och, mam – przecież wiesz, że jak śpię to śpię. Nic mnie nie budzi. – Przypomniał sobie sen o piwnicach. – Czy tu była Sandia?

Przez twarz Demai przebiegł skurcz.

– Nie... – zawahała się. – Nie pamiętasz?

Chłopiec zrobił zamyśloną podkówkę. Zmarszczył czoło.

– Nie-e. A co mam pamiętać?

– Gregusie... Znaleźli ciebie... Kat cię znalazł nad rzeczką, wiesz to zakole... Pamiętasz?

– Rzeczkę tak, ale co jeszcze mam pamiętać?

Odetchnęła głęboko, ale jeszcze nic nie powiedziała, dopiero po drugim głębokim oddechu zaczęła mówić: – Byłeś ty i konie i ślady ognia w skałach... Napadł was ktoś?

Zamyślił się głęboko, usiłował przypomnieć sobie coś. Rzeczką? Kat? No tak – Kata nie było, uciekł za jakąś suką. Jechali stępą i rozmawia... Zaraz!

– Sandia??? – Poderwał się teraz dopiero zrozumiawszy, co powiedziała matka. – Sandia!

– Porwali ją. – Demai chwyciła syna za barki, spróbowała ułożyć z powrotem, ale widząc, że nie zamierza się poddać zrezygnowała, przytrzymała go tylko za ramiona, ścisnęła i potrząsnęła lekko, żeby zrozumiał, że podziela jego ból. – Kilka oddziałów przeszukuje okolicę, ale nie ma zupełnie śladów, żadnych, musieli wykorzystać rzeczkę albo – i to nasza nadzieja – zapadli w jakąś kryjówkę w okolicy i czekają aż ustaną poszukiwania. – Zamilkła i zacisnęła wargi, Gregoryn znał ten wyraz twarzy i nigdy nie chciał, żeby dotyczył jego. – Ale nie ustaną.

– Ale kto to był? – jęknął.

Popatrzyła na niego uważnie. Zrozumiał, że za chwilę padną jakieś niedobre słowa, nie żeby przykre, ale takie, od których nie ma odwołania, które jak zachowują się jak ciśnięte w wodę kamienie – spadają, zanurzając się, giną z oczu, jeszcze chwilę kołują kregi na wodzie, a potem giną wszelkie ślady.

Ale kamienie na dnie są.

– Nic nie pamiętasz, kochanie? – zapytała matka i Gregoryn domyślił się, że czeka na jego wyjaśnienia, na jego wskazówki, ale natężał się, napinał, zaciskał zęby i nic nie mógł sobie przypomnieć. Nic – spacer na kucach, las, droga, rzeczka i stok... Koniec. Gdy dochodził do wspinaczki po stoku w jego pamięci pojawiał się kłęb mgły, w której ginęły wszystkie następne wspomnienia. – Przypomnij sobie coś, cokolwiek, to może być furtka, przez którą potem popłyną inne wspomnienia...

– Nic...

Demai westchnęła starając się, żeby tego nie zauważył, puściła syna i wstała. Pocierając dłońmi łokcie podeszła do okna i zapatrzyła się ślepym spojrzeniem przed siebie.

– Biedni rodzice... – Urwała i nie dokończyła kogo ma na myśli, ale nie musiała.

Gregoryn uniósł ręce i chwycił się za włosy, szarpnął i nagle uświadomił sobie, że lewą ręką nigdy nie mógł sięgnąć głowy jeśli nie zwinął się w kłębek. I natychmiast, jak przepowiedziała Demai, przez furtkę runęły wspomnienia, ale przemieszane, poprzeplatane plamy mroku i głosy spod sufitu, zrolowane drabiny, jabłka czerwone i gładkie jak wytoczone z kamienia, kłująca w język i gardło woda. Otworzył usta i zdławił natychmiast rodzące się dźwięki. Nie potrafił wyjaśnić sobie dlaczego, ale miał wrażenie, że lepiej będzie na razie nie mówić wszystkiego. Szczególnie, że nie potrafił ustawić wspomnień we właściwej kolejności.

– Ma... – powiedział cicho. – Gdzie moje ubranie?

Pamiętał – miał na sobie spodnie z materiału nazywanego powszechnie skórą diabła, tkany z włókien balterowych, nie do zarcia, ale wczepiający w siebie wszystko, co się dało. Stąd do spodni Gregoryna zawsze przyczepiony były olbrzymie kłęby sierści Kata, sucha i świeża trawa, długie włosy z końskich ogonów i grzyw, włókna wrednego dzielącego się na nici rozsponu. Demai odwróciła się od okna.

– Pytasz z jakiegoś specjalnego powodu?

– Nie–e... – Przyszedł mu do głowy prawdopodobny powód: – Chcę wstać.

Matka skinęła głową, ruszyła do drzwi.

– Przyniosę ci świeżą bieliznę...

– Nie, mam. Chcę to samo co miałem, muszę to zobaczyć, dotknąć, powąchać...

– Dobrze.

Demai wyszła, Gregoryn ułożył się na plecach ze wzrokiem utkwionym w suficie usiłował uporządkować wspomnienia, ale zamiast układać się w miarę upływu czasu gmatwały się one jeszcze bardziej. Przyplątały się jakieś dziecinne senne strachy, jakieś żale wieczorne. Ktoś wysoki w czarnym futrze groził ręką, miał długie palce ze szponami...

Palce!

Poderwał się wyciągnął przed siebie ręce. Palce... Prawa ręka – trochę brudne, z poskubanym paznokciem kciuka, skaleczenie w kształcie grota strzały na serdecznym palcu.

Palce lewej – cienkie, blade, gładka skóra, długie mleczno–sinawe paznokcie; przypomniał sobie sen, w którym ktoś, kogo widział niewyraźnie miał na wewnętrznej stronie dłoni małe krążki jak plasterki młodej cebulki. Kto to był? Gdzie? Przypominał sobie, mozolnie niemal siłą przebijając się przez warstwy niepamięci. Kiedy? Kto? Opuścił ręce i nagle zauważywszy coś podniósł lewą do oczu. Na skórze pojawiły się niewielkie krążki, pokarbowane, jakby składające się każdy z kilkunastu pierścieni. Ostłupiały wpatrywał się w pęczniące krążki, rzucił okiem na prawą rękę, ale tam nic się nie zmieniło. Zaczął się bać, ale usłyszał szybkie kroki na korytarzu, lęk uciekł, a pojawiła się przemożna chęć ukrycia świeżo odkrytej tajemnicy. Szybko wsadził rękę pod koc, zdążył jeszcze zdziwić się, że udało mu się tak szybko poruszyć chorą ręką i do izby weszła Demai niosąc stosik ubrania dla Gregoryna.

– Ale wolałabym, żebyś nie wstawał jeszcze – powiedziała myśląc o czymś innym.

Chłopiec poczuł wzrastające klucie w lewej ręce, przez głowę przeleciała wznecając panikę myśl: „A jeśli to będzie rosło i rosło i w końcu zamiast suchej ręki będę miał coś z trąbkami, jak pień obrośnięty rurkami śmierdzielnicy!?”. Demai położyła ubranie w nogach łóżka, a sama, nieobecna, podeszła znowu do okna. Gregoryn szybko odsunął na chwilę koc i zerknął na rękę, krążki nie znikły, ale też i nie powiększyły się. Nie chcę, pomyślał, po co mi ssawki? Zwykła dobra mocna ręka, tego chcę, a nie jakieś dziwactwo... Rzucił okiem na ubranie. To nie to, pomyślał z żalem. Muszę obejrzeć tamto, nie wiem po co, ale muszę. Tylko ręka... A! A czy nie mogę kazać, żeby to znikło? Chyba... może... Co mi szkodzi spróbować? Słyszysz? Masz stać się taka jak przedtem, to znaczy – nie taka, tylko taka jak prawa ręka, takie same palce, równe mocne paznokcie, ma być silna, masz być zręczna, chwytna. Żebym mógł wisieć na jednej ręce na gałęzi, żebym mógł łamać suchodaniec w rękach, żebym mógł trzymać Kata lewą ręką, kierować Lantarem jedną lewą ręką. Prawą mógłbym z Sandią...

Strumień myśli nagle potknął się jakby struga obrazów natrafiła w korycie umysłu na zalegający w poprzek nurtu głaz. Z oczu chłopca trysnęły łzy. Demai rzuciła się od okna, przytuliła syna, wpadł w jej ramiona niczego więcej nie pragnąc jak tylko, by ta chwila trwała długo, zawsze, wiecznie. Dłoń matki ułożyła się na głowie, palce poskubywały włosy, pieszczotliwie, uspokajająco. Szlochał długą chwilę, potem zaczął się uspokajać, szloch przeszedł w spazmy, kaskadowy oddech. Odsunął się od Demai, wytarł oczy wierzchem prawej ręki, pamiętając, żeby lewą trzymać pod kocem.

– Wstanę, i tak nie zasnę, ani nie będę mógł spokojnie leżeć. – Poczekał chwilę i zapytał: – Nie wiesz gdzie jest Kat?

– Wiem, wzięli go ze sobą, żeby szukał śladów, ale podobno nie chce odejść od tych skał na górcie. – Demai wstała i skierowała się do drzwi. – Będę w domu...

Zamilkła nie mogąc wykrztusić imienia matki Sandii, Gregoryn kiwnął głową, matka wyszła. Odczekał chwilę, a potem wyskoczył z łóżka i zaczął wciągać spodnie i koszulę, umyślnie nie patrząc na lewą rękę, ale zapinając pas odetchnął i zerknął w dół. Na skórze nie było żadnych kręgow, ucieszył się. Ucieszył się i jednocześnie odczuł pewne rozczarowanie, przez głowę przemknęła myśl, że krążki – nie, ale może dałoby się... Może... Przerwał ubieranie i dokładnie obejrzał dłoń, nie ulegało wątpliwości, że paznokcie mają inny, ciemniejszy kolor z odcieniem różu. Spokojnie, pomyślał chłopiec. Może i wcześniej tak było, tylko nie widziałem. Na razie najważniejsze te spodnie, gdy je zobaczę... gdy je zobaczę...

Wybiegł na korytarz i popędził do komórki przy kuchni, gdzie zawsze leżały ubrania czekające na dzień prania. Jego odzienie leżało na wierzchu. Ostrożnie podniósł spodnie i wyszedł z komórki, podszedł do okienka i wpił się wzrokiem w upstrzony najprzeróżniejszym śmieciem materiał. Po chwili wpatrywania się znalazł, mocno chwycił w palce długi dwubarwny włos, puścił portki, zamarł w bezruchu.

Co to znaczy? Przecież wiem czyj to, ale gdzie to było? Dlaczego włos ma czarny koniec? Te obrazy... Kto krzyczał pod sufitem? Rekonfigura... Gatunek? Aprobata? Co to jest, co to za słowa? Dlaczego tkwią w mojej głowie, komu służą – ciemnym siłom?! Dlaczego mówię coś, czego nie rozumiem? Gdzie jest Sandia? Dlaczego na ręce wyrastają mi kółka? Nie potrzebuję... A na prawej ręce? Upuścił spodnie na podłogę, ostrożnie zwinął włos i zacisnął najmocniej jak mógł w palcach lewej ręki, palce prawej drżały lekko, gdy podniósł je do oczu i wpił się wzrokiem, ale skóra była gładka.

A gdybym chciał żeby mi wyrosły ssawki? Chcę! Chcę mieć ssawki jakie były...

Oderwał wzrok od ręki, opuścił ją.

Na czym były? Jakaś ręka! Czyja? Kiedy? Gdzie, gdzie, gdzie??? Zwinął palce w pięść i uderzył się w udo, jeszcze raz i jeszcze. Gdzie? Zakłuło go w dłoni, podniósł ją do oczu i skamieniał – na ręce występowały blade, coraz wyraźniejsze krążki. Plasterki cebuli... Kto tak powiedział? Chyba ja, ale kiedy? Nieważne – nie chcę tych krążków, tych ssawek, nie potrzebuję. Potrzebuję zdrowej ręki i mocnej nogi, tak, tych dwu rzeczy potrzebuję. Muszę też wiedzieć gdzie jest Sandia, muszę jej pokazać, co potrafię robić, może i na jej skórze będę umiał wydusić takie wzorki? A może zrobię takie kółka na czole tej wstrętnej Lonki..

Zakręciło mu się w głowie, zbyt długie stanie w miejscu, mocne obciążanie prawej nogi spowodowało, że najpierw zabolą go, a potem pod kolanem chwycił skurcz, chłopiec zapomniał o ssawkach i zaczął tłuc kantem dłoni pod kolano, jak go nauczył kiedyś ojciec, uderzył raz, drugi... Po szóstym razie narastający skurcz nagle odpuścił, ból ustał, ale wirowanie przed oczami wzmożło, zatoczył się, nie udało mu się złapać równowagi, huknął czołem o ceglany mur... Nagle dokoła zapanowała wielka cisza i jasność aż do bólu, aż do mroku...

W ciszy i ciemności ktoś powiedział: „Rekonfiguracja. Tak, re–re–re! Aprobababa–t–ta! Gregusie, to od serca. Trzymaj... Trzymaj... Ależ on mocno zacisnął palce, co on tam trzyma? No nie dam rady, niech trzyma, ale nie wiedziałam, że te palce są takie silne? Może... Mają normalny kolor! Gregusie, całkowita reakcja i dwa gatunki”.

Mamo, chciał powiedzieć. Zdziwił się, że nie może wykrztusić tak prostego słowa, skoro inne może – obce, groźne, niezrozumiałe.

Mamo, mamo!

– Panie... – Wyszarpnięty ze snu Cadron poderwał głowę rozglądając się i jednocześnie wymacując broń u pasa. Izba była obca, a broni nie było; od stołu, na którym złożył głowę do snu, odskoczył wystraszony medyk. Wyciągnął rękę i pokazał łożo. – Przyjaciela ma się lepiej, znacznie lepiej! – Po raz pierwszy Cadron zobaczył jego uśmiech – dziwnie zesnurowane w ciup usta, ale oczy przymrużone, otoczone bruzdkami drobnych zmarszczek. – Będzie żył...

Cadron poderwał się i rzucił do pościeli. Hondelyk miał zamknięte oczy, ale twarz nie porażała już siną bledością karty, na której miał złożyć swój podpis Mistrz Skon. Gdy Cadron z tłukącym się radośnie w piersi sercem pochylił nad przyjacielem ten otworzył oczy i przytomnie popatrzył na Cadrona.

– Jeszcze się nie rozstajemy – wyszeptał.

Cadron szukał w głowie jakiejś celnej odpowiedzi, ale nie znalazł niczego. Skinął tylko głową. Udało mu się przełknąć jędrną kulę stwardniałą w gardle.

– O włos od serca... – wychrypiał.

Hondelyk opuścił powieki, na znak, że zrozumiał. Cadron poszukał w głowie tematu do rozmowy.

– Przydało się futro – odchrząknąwszy powiedział wskazując brwiami przykrywający Hondelyka brandeswans.

– Tak – zgodził się ranny zerkając na własną pierś.

– Pogoniłem za tym zbójem – powiedział Cadron ucieszony, że znalazł jakąś kwestię do rozważenia. – Ale już go kamraci ubili, pewnie albo nie chcieli, żeby ich ścigać, albo już mieli go dość...

Hondelyk zastanawiał się chwilę, przypominał coś sobie.

– Wydawało mi się, że ktoś mnie przeszukiwał, czy ten szubrawiec zabrał coś? Puzderko? – zaniepokoił się.

Cadron rzucił się do ławy, na którą zrzucili z Kajtysem kaftan Hondelyka i zakrwawioną koszulę, chwycił kaftan i wrócił do łóża. Szybko obmacawszy znalazł twardy kwadracik i skinął głową, wydłubał go z zakrwawionej, sklezionej grubym skrzepem kieszeni. Puzderko miało kilka brązowych plam na sobie, jedną czy dwie tego samego koloru smugi.

I jedną głęboką metalicznie połyskującą bliznę.

Hondelyk poruszył ręką, Cadron oderwał oczy od blizny, szybko otworzył puzderko i pokazał druhowi, że włos jest na miejscu. Potem zamknął wieczko i odwróciwszy pokazał głęboką rysę pozostałą po sztylcie napastnika.

– Trafiłby niechybnie – powiedział mocniejszym głosem Hondelyk.

– O włos...

Cadron zamilkł i zaczął przypominać sobie dziwny długi sen. Włos odgrywał w nim dużą rolę, ale jaką?

Włos... Długi rudy, z ciemnym jednym końcem. Zmarszczył czoło w wysiłku, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Kołatały się tylko te same cztery słowa. Stęknąwszy z rezygnacją wypowiedział je jeszcze raz:

– O włos od serca...

1996

Z powodu picia podłego piwa...

– Wracając do twojej propozycji – rzucił wysoki i szczupły, ale jednocześnie szeroki w barach i emanujący siłą jeździec – możemy pojechać na południe, jesień niedługo, tam będzie ciepiej, tam się zbiegają nici i szlaki...

Siedział niedbale i nonszalancko rozparty w siodle – właśnie kilka chwil temu rozpoczęli podróż z miasta i siodło wydawało się wygodne jak zawsze, zresztą, na początku wędrówki.

– Poczekaj, ja powiedziałem, że to jest druga propozycja. Pierwsza to powrót, przynajmniej na zimę, do Schalsaman, to ci przypominam – powiedział z naciskiem drugi.

– ...tam są tanie wina, spływają też tam różnego rodzaju szubrawcy, a my z nich często żyjemy. – Z fałszywą zadumą i nostalgią kontynuował pierwszy jakby nie słysząc słów druha.

– Na zimę do Schalsaman! – powtórzył cierpliwie jego przyjaciel. – Potośmy kupili, potośmy obsadzili służbą, bo wszak ta posiadłość miała być przystanią na starość i ciężkie czasy.

– Wstydzilibyś się! – obruszył się pierwszy. – Sta–arość! – przeciągnął drżącym cienkim głosem. – Ani starości nie widać, ani ciężkich czasów! – zakończył zdecydowanie.

– Dobrze, i tylko się z tego cieszyć – machnął ręką ten wykpiwany – ale idzie jesień, zima...

– Myślałem, że mamy wprawę w spędzaniu jesieni i zim, w końcu trochę się ich już przeżyło?

Odpowiedziało mu westchnienie. Kilkanaście kroków spędzili w siodłach w milczeniu. Mijali długą kępę żagiewnika; sterczące w górę długie wąskie poszarpane liście niemal czarne przy ogonkach i przez czerwień przechodzące w żółć na końcach, nadzwyczaj udanie udawały płomyki, w szczególnym oświetleniu mogły z daleka wprowadzić wędrowca w błąd i spowodować bicie serca na myśl, że widzi zarzewie pożaru. Hondelyk przestał kpić z przyjaciela, cmoknął nagle z niechęcią i ściągnął wodze.

– Niech to gromy i pioruny! – mruknął z pasją. – Opilem się tego piwka, a nie było najlepsze.

– Będziemy teraz, z powodu picia podłego piwa, stawali co dwa staggi?

Hondelyk zeskoczył na ziemię i rzucił wodze na krzew, zerknął na Cadrona spod oka.

– Obawiam się, że co pół – postraszył i zanurzył się w kępie.

Cadron wznosił oczy do nieba, ale gdy wrócił spojrzeniem na ziemię to myślami był już gdzie indziej. Żeby tak do Schalsaman, rozmarzył się. Winnice dojrzewają, morze jeszcze ciepłe, w puszczy życie się kotłuje, jakiś jesienny gon zajęcy z chybartami by zrobić, och! Albo można wypłynąć na morze, na te dwie wysepki, przecież dlatego tak chętnie kupiliśmy tę posiadłość – bo nie sposób się w niej nudzić! Dałoby się...

Ktoś trącił go w bok buta, szarpnął się do miecza i trafił spojrzeniem na Hondelyka z palcem na zaciśniętych wargach. Kompan skinął lekko głową, odsunął się i, gdy Cadron zeskoczył miękko na ziemię, przysunął się do jego ucha i wyszeptał:

– Chodź, coś się ciekawego dzieje na polance, gadają tam ciekawi ludzie, tylko poruszaj się cicho!

Cadron nie wytrzymał i mruknął coś o podłym piwie, ale posłusznie, pochylony i cicho zanurkował za przyjacielem w krzewy. Bezszelestnie, a w każdym razie nie wzbudzając niczyjzego zaniepokojenia, podkradli się na skraj polany, o ćwierć przekroku od stołu. Z tej odległości słyszeliby nawet szept, ale na polance nikt nie szeptał. Rozstawiony był tam na kozłach duży prosty stół z nierównych desek, widać pośpiesznie zbity i może tylko na tę jedną okazję. Cztery kolaski ustawiono tak, by rozsuniętymi dachami osłaniały biesiadujących od słońca. Za stołem siedziało jedenaście osób, niemal wszystkie postawne,

brzuchate z połyskującymi tłusto łysinami; pulchne palce splekli na stole. Poza łokciami i dłońmi stół utrzymywał kilka pater z rakami, pieczoną wątroba, słonymi preclami i kilkoma miseczkami z orzeszkami różnych gatunków – wszystko do piwa: przed każdym z siedzących stał spory szklany kufel, najczęściej niemal pełny. Nieco dalej stało jeszcze pięć kolasek i tam siedzieli stangreci. Biesiadowali również, nieco mniejszy był wybór, ale humory lepsze. Tu siedzieli ponuro.

– Udusić – mruknął w końcu jeden z siedzących. Wrzucił do ust migdał i zaczął zajadłe rozcierać go między zębami. – Otrrruć!

– Nie próbowaliśmy może? – zaripostował siedzący na czele stołu brodaty grubas. – Przypomnę, że dwaj wynajęci do tej roboty żują trawę od korzenia, trzej inni wylizali się z ran, ale nie zamierzają próbować drugi raz.

– No to co, będziwa płacili do końca usranego żywota? – piskliwie poskarżył się chudy łysy wypłosz z cwanyimi oczkami lichwiarza. – Powiadam: złożyć skargę u Dominionona!

– Ta, i przyznać się, że dwa lata płacimy? – zapytał niechętnie brodac. Najwyraźniej ta propozycja była już nie raz roztrząsana. – Zapyta, dlaczego od razu się nie zgłosiliśmy i co?

Zapadła na chwilę cisza, podsłuchujący wymienili spojrzenia, Cadron ostrzegawcze, Hondelyk – uśmiechnięte i zaciekawione.

– Ale trza kiedyś coś zrobić! – zajazgotał chudy.

– Co się tak rypiesz?! – huknął na niego sąsiad, krzyk chudego wyrwał go z głębokiej zadumy. – Kiedyś, coś! Po co dziób otwierasz, jak nie masz nic do powiedzenia?

– Ja? A ty co ty masz? – podskoczył wypłosz.

– Waszmoście, zostawcie swoje braterskie spory na później. Nie przyjechaliśmy tu, żeby siedzieć i biadolić. Ma ktoś jakiś pomysł?

– Jaki może być pomysł – burknął inny uczestnik ponurej biesiady. – Albo płacimy, to wtedy nie ma co się tu spierać tylko zebrać trzos, albo nie. Tedy trza coś wymyśleć, może nie mówić Dominionowi, ile to już trwa?

– Dowie się – mruknął ktoś.

Kilka głów zakiwało w zgodnym potakującym rytmie. Cadron kątem oka zobaczył jakiś ruch, zerknął w bok, Hondelyk wolno wyciągał z kieszeni granatową jedwabną chustę. Omijał przy tym wzrokiem przyjaciela, który mimo to starał się spojrzeniem wyrazić głęboką naganę i niezadowolenie, w końcu sam sięgnął do kieszeni i wyjął identyczną chustę. Ostrożnie omijając gałązki zawiązali je na twarzach, po czym Hondelyk dwoma susami wypadł na polankę.

– Pomogę mościom, jeśli chodzi o wymuszony haracz – powiedział wesoło.

Przy stole zakotłowało się, podskoczyli, poruszyli się, poderwali wszyscy, ktoś przewrócił swój kufel, ktoś uderzył kolanem o blat i ciężko zaklął. Hondelyk zwrócił się do siedzącego u szczytu, teraz stojącego grubasa:

– Powtarzam – usłyszałem, że płacicie komuś za coś, chcę wam pomóc, za określoną zapłatą, rzecz jasna. – Rzucił okiem na biegnących w ich kierunku fernali. – Powiedzcie, żeby się nie wtrącali. – Odsunął się o krok i wyjął z umyślnym zgrzytem miecz, wskazał jego czubkiem o kogo chodzi.

Grubas nawet nie odwracał się, uniósł rękę i wszyscy woźnice stanęli jak wryci. Hondelyk podziękował mu skinieniem głowy. Przywódca długą chwilę mierzył Hondelyka wzrokiem, potem przejechał uważnym spojrzeniem po współbiesiadnikach i oceniwszy ich zdecydowanie kiwnął głową.

– Pomóc nam ,to zabić – powiedział po chwili ciszy.

– Tak, szubrawca, który z was wydusza pieniądze. To mi odpowiada – zgodził się lekko Hondelyk.

– Dlaczego się kryjesz za chustą?

– Po co mają wszyscy wiedzieć, kogo wystawicie przeciwko bandycie?

- Tak... – Brodacz rozejrzał się po zebranych. – Macie lepsze pomysły?
- A jeśli weźmie trzos i zwieje? – warknął któryś.
- Wezmę go po załatwieniu sprawy – machnął niedbale ręką Hondelyk.
- A jeśli jest wysłańcem...
- Głupiś waść! – przerwał inny.

Spór nabrzmiewał jak gula po ukąszeniu żmierzchy. Hondelyk sieknął zamasyście mieczem, głównia wyśpiewała krótką, ale przejmującą piosenkę. Nastąpiła cisza.

– Umówmy się, jeśli zgodzicie się na moje warunki pokażę twarz jemu – skinął głową na grubego brodacza. – Wynagrodzenie, jak powiadam, po robocie, sami ocenicie czy wykonana.

- Aaa, to co innego...
- Pewnie...
- Juści!
- Tako niech...

– Cicho! – zagłuszył radosny gwar brodacz. Myślał chwilę. – Kończymy spotkanie. Wy wracajcie do domów, ja zostanę i będę rozmawiał.

Pomrukując i ciekawie zerkając na zamaskowanego sprzymierzeńca brzuchacze i chudy lichwiarz rozeszli się do swoich kolasek, i po chwili zostały tylko dwie – jedna przy stole i jedna nieopodal, gdzie zasiadł tyłem do nich jeden z biesiadników. Brodacz wskazał ławę i usiadł pierwszy na znak, że ufa Hondelykowi. Ten też usiadł, zsunął chustę w dół. Chwycił w palce precel, zanurzył w chrzanie z miodem i wrzucił do ust.

– Chu–ach! Kąsa!– chuchnął. Obrzucił spojrzeniem krzaki, w których siedział Cadron, nie wywołał go. – No? Co was gryzie?

Mężczyzna chwilę zbierał myśli, wetchnął.

– My tu, jak wiecie, boście musieli tą drogą przybyć, jesteście skazani na jeden tylko porządny szlak – nad rzeką, a potem przełęczą i na równinę. Dwa inne szlaki to raczej ścieżki, na których nawet kozice nie biegają swobodnie. Nie liczą się jako drogi. A bez drogi jesteście odcięci od wszystkiego. – Chwycił kufel, ale tylko zamajtał nim i przyglądał się jak wewnątrz omywając ścianki biega piwo.

– A na drodze zaś rozsiadła się banda i pobiera haracz – dokończył Hondelyk z wyważonym, by nie urazić gospodarza, uśmiechem.

Grubas zerknął nań spod oka, z błyskiem dziwnego uśmiechu w spojrzeniu.

– Żeby tak było! – powiedział po znaczącej pauzie. Wychylił się w kierunku rozmówcy i powiedział bardzo wyraźnie: – Ona jest w mieście i pobiera od nas haracz, za to, że nie pobiera od innych. Od nas, to znaczy od gildii kupców, karczmarzy i rzemieślników.

– Zaraz. – Zmarszczył czoło jego adwersarz. To samo zrobił Cadron w krzakach. – Banda jest w mieście, łupi trzy najbogatsze gildie i nic nie możecie zrobić!?

– Nie banda jest w mieście – poprawił go grubas. – Ona.

– Ona???

– Wilczyca. Marcja Finnegarth. Piękna rudowłosa diablica.

– E–e–e... Nic nie rozumiem – ruda wilczyca? Piękna?

– No to może po kolei? – westchnął grubas. – Cztery lata temu w postawionej na górze Mahny świątyni... widziałeś ją? – Hondelyk skinął głową, trudno było nie zauważyć budowli przyczepionej do skalistego zbocza i sterczącej nad miastem iglicy. – Z dachu sterczy miecz Mistrza Skonu, prawda? Kiedyś ów miecz wotywny zafundowały trzy najbogatsze miejskie gildie, nasze. – Dodał nie bardzo potrzebnie, na dodatek stuknął się palcem w pierś.

– Tak – zgodził się Hondelyk na znak, że – jak na razie – wszystko rozumie.

– Miecz ów się obłuzował i zaczął chwiać, trza go było umocować. Po kolei próbowało trzech śmiazków, ale śliska kopuła i porywy wiatru zabiły wszystkich trzech i nikt więcej się

nie zgłaszał. Wtedy przybył do miasta człowiek, który kazał nazywać się Wilk. Przybył z żoną, rudowłosą piękną, synem i kilkoma jeszcze ludźmi, ni to przyjaciółmi, ni to rodziną; nie wiadomo. Jak się dowiedział Wilk, że obiecujemy coraz wyższe wynagrodzenie, zgłosił się i spróbował poprawić miecz. Zginął przy tym jego syn, ale robotę wykonali. Wilk wyglądał na szalonego człowieka, kiedy zgłosił się po nagrodę powiedzieliśmy: „Co chcesz?“, a on: „Glejt – powiada – mi dajcie, żebym w każdej z waszych karczm mógł zjeść i wypić do woli”. Dali my ten glejt, choć woleliśmy jakiś uczciwy trzos, na jego własne, Wilka, nieszczęście. Pół roku szwendał się od szynku do karczmy i z powrotem. Aż zgubił glejt. Jak wytrzeźwiał to przyszedł do gildii i zażądał drugiego, ale gildia się postawiła postawiła weto. Zaś on powlókł się do Dominiona, rzecz całą wyłożył a Dominion, oby władał długo i szczęśliwie, kazał mu wypalić na szyi piętno odpowiednie. Wilk wchodził do karczmy, przechylał głowę, pokazywał glejt i pił dokąd mógł. Nawet znalazł naśladowców. – Brodacz odchylił głowę i pstryknął się w szyję. – Tak zaczęli w okolicy pokazywać, że chcą okowity. – Cmoknął z dezaprobatą. – No, ale nie o tym chciałem... Wilk się, rzecz jasna, spił. Kiedyś zasnął w rowie, pyskiem w dno zarył i się utopił. – Sapnął kilka razy. – Wtedy się zaczęło z Wilczycą. Pamiętam, przysłała do mnie i bezczelnie powiada: „Nienawidzę was, wódczarzy, karczmarzy, szynkarzy... Od was się całe moje nieszczęście zaczęło, a wy ze słabości ludzkich żyjecie. Teraz ja z was będę żyć. Od dziś płacicie mi za to, że szlak zostawiam wolny i bezpieczny. Jeśli nie – zacznę na nim harcować z bandą, wieść się roznieście, że niebezpiecznie do was wędrować i miasto wasze zdechnie, co mu się i tak należy”. Ja – grubas podrapał się po brodzie – się roześmiałem w głos, ona mi zawtórowała i nic więcej nie mówiąc wyszła. Pamiętam tylko, że od tego śmiechu ciarki do wieczora miałem. Trzy dni potem została napadnięta karawana, kupców związano i wrzucono na wozy, tak samo służbę całą, a napastnicy w nocy podwieźli ich pod bramy miasta i zostawili. Nie zginęło im nic, ani okruszyny, ale ja już wiedziałem o co chodziło, a prócz mnie nikt, tylko całe miasto huczało od domysłów. Zwołałem trzy gildie, zaprzysięgłem że dotrzymają tajemnicy i opowiedziałem wszystko. I zaproponowałem płacić haracz. Do dziś mi niektórzy nie mogą wybaczyć, a ja wiem swoje – Dominion zajęty był na północy, bo stamtąd hordy Pallachów szły, więc by i tak nie pomógł, a poskarżyć się na co: że związała karawanę? Śmiech by był na całe dominium. Pilnować szlaku nikt nam nie będzie, zaś własne siły miejskie zawiązać?.. Może tak i trzeba było zrobić, może by i taniej i bardziej honorowo, ale czy to człowiek wszystko wie od razu? Zresztą ileż takich powołanych oddziałów potem się zbuntowało i same łupiły w dobrze znanym terenie?

Brzuchacz zrobił smutną minę, nieco bezradnie popatrzył na Hondelyka. Ten skrzywił się i podrapał po nosie, pod osłoną palców – Cadron widział to dobrze – wykwitł mu lekki uśmiech.

– Zaiste dziwna to sprawa, nie wiedziałem w co się pakuję – powiedział. – Co innego łupnia spuścić jakiemuś zbójowi, a co innego z kobietą się zmagać.

– Otóż to! – Radośnie wykrzyknął brzuchaty. – Ja też to mówię, to samiuteńko, a szczególnie, że to piękna kobieta, zaiste piękna. No to jak, w trachty-warachty, bić się z nią?

– Z drugiej strony... – Hondelyk nie dokończył.

– Z drugiej strony – zgodził się szybko grubas – łupi nas, co tu mówić.

Zapadła niezręczna cisza. Hondelyk wykorzystał ją najprościej jak się dało – nalał sobie piwa z dzbana, ocenił pianę, skosztował i wypił ruchami brwi dając aprobatę trunkowi. Plasnął dłonią w stół.

– Piłem już dzisiaj piwo, o wiele gorsze, co prawda i – jak mawiał pewien ślepiec – „Będę teraz szczał dalej niż widział”. Trudno. Zlecenie – biorę. Za kilka dni szlak będzie czysty, ale już wasza będzie sprawa, żeby go pilnować, bo wiadomo – do każdej dziury jest

szpunt, do każdej okazji – złodziej. – Wstał, wyciągnął do brodacza rękę. – Jak właściwie szukać, o kogo pytać?

– Jam jest Urych, moja karczma „Pod Złotą Gwiazdą”, a was jak zwą?

– Sto rekli w złocie.

– Sss! – syknął Urych obnażając zęby. Cmoknął. – Dużo!

– Ale raz i spokój.

– Dobrze. – Urych z rozmachem plasnął w dłoń Hondelyka, zacisnął na niej swoje grube pulchne, ale i mocne palce. – Czekam na wieści. – Drugą ręką wskazał jakiś kierunek: – Jak się cofnąć do miasta, to się trafi po lewej na wąski szlak. Prowadzi do jej domu, ma tam kilkunastu ludzi na stałe i trochę koni. Reszta ludzi podobno stale na szlaku... – wzruszył ramionami.

Hondelyk skinął głową, uwolnił rękę i z rozpędu wskoczył w krzaki, z których niedawno się był wyłonił. Cadron, już wcześniej przygięty, teraz bezszelestnie przesuwając się obok przyjaciela nie omieszkawszy pogrozić mu zaciśniętą pięścią.

– A ż-żeby cię w trzydy! – zaklął gdy znaleźli się w siodłach. – Po coś się pakował w te tarapaty? Co będziesz w zapasy z kobitą się pchał?

– Czemu nie – podobnie ładna.

– Piękna nawet, pi-jękna! – umyślnie jazgotliwym głosem usiłował oddać zachwyty Urycha. – Czy to nam ułatwi robotę?

– Nie, ale wiem, że to musi być niezwykła kobieta, skoro tak omotała trzy gildie największych spryciarzy. – Zerknął na słońce, ocenił jego miejsce na niebie. – E, mamy dużo czasu. Zrobimy tak...

Ogier rzucił się dziko w prawo i w lewo, usiłował wstać na tylnych nogach, ale drobna mocna dłoń trzymała go pewnie za wodze przy pysku.

– Tak-tak, popróbnij jeszcze! – przyzwoliła kobieta ironicznie.

Ogier spróbował. To było niemądre: jeździec przyłożył mu harcapiem w zad, a kobieta szarpnęła w dół pysk.

– No, sam chciałeś! – Zręcznie zwinęła z wodzy pętlę, zarzuciła ją na dolną wargę rumaka i skręciła. Oczy ogiera błysnęły dziko, ale on sam zamarł w bezruchu wiedząc, że każdy ruch potęguje ból spętanej przez człowieka wargi. – Właśnie. A teraz... – Skinęła na jeźdźcę. Wychylił się i postukał lekko trzonkiem bata w kolano nogi wierzchowca. Kobieta pociągnęła za wargę i koń zachrypiawszy ugiął nogi. – Wi-i-idzisz!?

Jeździec roześmiał się radośnie do kobiety i nagle zobaczywszy coś za jej plecami, poderwał głowę i szybko powiedział cicho:

– Ktoś tu jedzie. Znaczny.

– Dobrze.

Kobieta rzuciła okiem na najbliższe otoczenie, ze stajni wyszedł pacholek i przechwyciwszy jej spojrzenie cofnął się nieśpiesznie, ale i nie zwlekając. Sprawdziła jeszcze czy ma pod ręką rapier i puściła wargę rumaka. Jeździec skierował go w koło podwórza drobnym kłusem, zamierzając utrafić za plecy gościa. Ten, nie zwracając uwagi na podjęte kroki swobodnie podjechał do gospodyni i zeskoczywszy z konia zdjął kapelusz. Był mężczyzną wysokim, silnym i barczystym, choć na pierwszy rzut oka wydawał się szczupły. W ciemnobrązowych włosach nie gościła siwizna, a wokół ust układały się zmarszczki od uśmiechu raczej niż bruzdy goryczy. Pochylił raz jeszcze głowę w ukłonie.

– Mam przyjemność z panią Marcją Finnegarh – stwierdził.

Gospodyni sięgnęła do głowy i zerwała dużą chustę, którą okłęciła sobie szczelnie włosy, żeby nie zakurzyły się podczas zmagania z koniem. Długie sploty w kolorze złota z Leri rozwinęły się i opadły poza ramionami na plecy aż poniżej pasa.

– Nie, to nie ja – zaprzeczyła spokojnie. Widziała za plecami mężczyzny już czterech swoich ludzi.

– Wybacz pani, ale nie mogę uwierzyć. Powiedziano mi, że jest ona kobietą piękną, a nie wierzę by aż dwie piękne kobiety mogły ozdobić to nędzne miasto.

– Jest zajęta – oświadczyła kobieta i ruszyła w kierunku leżącego na ławie rapiera. Mężczyzna, zauważyła to od razu, nie miał przy sobie długiej broni, jakiś tam sztylcik sterczał za pasem i jeszcze coś, jakiś drąg wystawał ze skórzanej pochwy przy siodle. Spokojnie sięgnęła po rapier, przypasała, podniosła wzrok na gościa. Zmarszczyła brew jakby zdziwiona. – Jeszcześ pan tu jest?

– O to właśnie chodzi, że nie jest zajęta – pośpieszył z wyjaśnieniem gość. – Tu się nudzi i marnuje swój wszechstronny talent, a ja mam dla niej wymarzone zajęcie, przy którym będzie mogła zażyć trochę ruchu, przy którym nikt jej nie będzie krępował, a zaskarbi sobie tylko wdzięczność i wymierną przy tym.

– Jak wymierną?

– Trzydzieści rekli rocznie...

– Rocznie!?

– ...wikt i tak dalej dla trzech osób, dla pomocników po pół rekla za miesiąc.

Marcja odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się głośno, przybyły z przyjemnością słuchał jej głosu. Uśmiechnął się szeroko.

– Tu mam dwieście... z koni – dokończyła po niezręcznej przerwie.

– Nie, z haraczu – poprawił łagodnie Hondelyk. – Ale ani to honorowe zajęcie, ani interesujące... – Nie zareagował gdy Marcja sięgnęła do rapiera. – Przyznaję – sam pomysł jest genialny, wykonanie godne najwyższego uznania, ale potem – nuda. Oni potulnie płacą, a panią najwięcej energii kosztuje wymyślanie zajęć dla swoich ludzi.

– Właśnie wymyśliłam dla nich coś – zagroziła Marcja.

– Ach, cóż to za zajęcie – w szóstkę na jednego. Zasięczenie mnie szybko i co potem?

Kobieta przyglądała mu się chwilę, potem parsknęła śmiechem.

– Nie, no nie wiem nawet co powiedzieć! To jest tak głupie...

– Powiedz, pani, że się zgadzasz, a skieruję cię do swojej posiadłości, która wymaga silnej ręki i uporządkowania wielu spraw. Oceń – morze, rybacy, stary las, jelenie, taury i greizle, o ptactwie nie wspominając. Zajęcie zdeptują ozime zboża. I krnąbrne chłopstwo, a do niego dwaj głupi i zadziorni sąsiedzi. Czy to nie kuszące?

Gospodyni wbiła złe zielone spojrzenie w źrenice gościa. Nie wyciągała ostrza, ale też nie cofała ręki od rękojeści.

– Wybacz, że tak wpatruję się w ciebie – powiedziała wolno i cicho. – Lecz szukam w twoim głosie czy spojrzeniu oznak głupoty, która wyjaśniłaby wszystko, ale tego nie znajduję... – Hondelyk podziękował ukłonem – ... musisz w takim razie kpić ze mnie, a tego nie znoszę.

– Sama, pani, przeczysz sobie – skoro nie jestem poszkodowany na umyśle, to przecież bym nie ośmielił się przyjść i szydzić z samej Wilczycy?

Rapier nieprzyjemnie zgrzytnął wyslizgując się z pochwy, świsnął w powietrzu i trzymany nader pewną ręką zatrzymał się czubkiem marszcząc skórę na szyi Hondelyka. Kobieta nazwana Wilczycą oddychała szybko i płytko, jej zielone oczy rozbłyły tak, że słynne szmaragdy, Pai i Pei, wyglądałyby teraz przy nich jak para mydlanych zielonkawych kamyków. Nagle opuściła rękę.

– Nic nie rozumiem – oświadczyła wzruszając ramionami. – Nie wiem dlaczego nie mam ochoty cię zabić, panie.

– Myślę, że to po prostu byłoby tak trywialne i prostackie... – skrzywił się i chciał mówić dalej, ale Wilczyca nagle odstała o krok do tyłu i jednocześnie w bok, patrzyła na coś za jego plecami. Przez wysoką bramę, nie pilnowaną w tej chwili przez nikogo, bo piątka mężczyzn z różną bronią w ręku wpatrywała się w plecy Hondelyka, wjeżdżał jeszcze jeden mężczyzna. Gość odwrócił się i popatrzył na zbliżającego się jeźdźca. – O?

– Co to – worek z gośćmi? – mruknęła Marcja.

Odsunęła się jeszcze od Hondelyka i przyjrzała zbliżającemu. Cadron ubrany był w wypożyczoną złotą paradną kolczugę zastawioną i nie odebraną przez któregoś z gości Urycha. Spod wielokątnego hełmu wypływały mu długie jasnoblonde loki, tego samego koloru gęsta broda i wąsy okalały twarz, w rezultacie – na to nalegał Hondelyk – można było zobaczyć gołą skórę tylko wokół oczu i trochę na czole. Zeskoczył przed Marcją i skłonił się dość niedbale.

– Jeśli jesteś, pani, Marcją Finnegartha, to... – wzmógł nagle głos i niemal zaczął krzyczeć: – ...Przynoszę wyzwanie od mojej pani, Hornicatty Weleb!

– Co przynosisz? – osłupiała Marcja.

– Przynoszę wyzwanie od mojej pani, Hornicatty Weleb! – powtórzył Cadron. – Uważa ona, że wystarczająco się, pani, utuczylaś na tym nędznym mieście. Teraz chce przejąć twój szlak. Ponieważ szkoda jest czasu i żywotów naszych ludzi na walkę całych formacji to proponuje ona pojedynek. Kto zwycięży ten zostaje, ta druga musi się wynieść do innego dominium.

– To już przekracza moje... – wyrzuciła z siebie Wilczyca, ale Cadron nagle odskoczył i wrzasnął:

– Powstrzymaj się, pani. Ja jestem tylko posłem, posłów się nie morduje!

Gospodyni kiwnęła się w przód i w tył, nie oderwała spojrzenia od Cadrona, ale obaj obserwujący ją mężczyźni zrozumieli, że błyskawicznie oceniła, że jest świadek, którego też by trzeba było zabić, a Cadron dodał dość głośno:

– Poza tym, jesteśmy otoczeni półsetką kuszników.

– Zaryzykuję: zabiję! – warknęła Wilczyca.

– No to ja na razie się żegnam – oświadczył Hondelyk. – W tej chwili nic tu po mnie. Będę w mieście jeszcze kilka dni, przed wyjazdem pozwolę sobie najść jeszcze raz panią.

– Nie! No co to jest? – wrzasnęła Marcja. – Jeden plecie jakieś duby, drugi mnie wyzywa!..

Zamachnęła się i świsnęła rapierem, Hondelyk skłonił głowę nie zwracając uwagi na jej ruchy. Odwrócił się i poszedł do swojego wierzchowca. Cadron również odwrócił się i pomaszerował obok niego.

– Ja też się pożegnam – powiedział nie wiadomo do kogo. – Opuścę to miejsce z panem, jeśli można. – Po kilku krokach zadarł głowę i wrzasnął na całe gardło: – Pani Wilczyca przyjęła wyzwanie i jutro w południe dojdzie tutaj na podwórze do pojedynku! Nie strzelać póki nie dojdzie do złamania ogólnie przyjętych praw poselskich!

Hondelyk siedział w tym momencie już w siodle i przekrzywiwszy głowę wpatrywał się w wydzierającego Cadrona. Potem popatrzył na gospodynię, na twarzy miał wypisaną niechęć, ale i rezygnację, jakby chciał powiedzieć: „Ależ nieprzyjemny typ, ale, cóż, racja jest po jego stronie!”. Marcja Finnegartha stała skamieniała z rapierem w dłoni z półotwartymi ustami, z oszołomieniem w oczach tak wyraźnym, że niemal można je było wziąć do ręki i zważyć. W zupełnej ciszy, przy całkowitym skamienieniu już ósemki mężczyzn i jednej kobiety na podwórze dwaj goście skierowali wierzchowce do bramy, a potem poza nią. Nieśpiesznie stępowali po wyznaczonej koleinami drodze, zniknęli za zakrętem, a gospodyni ze służbą wciąż stali i wpatrywali się im w plecy.

Dokładnie w południe między szeroko otwartymi skrzydłami bramy pojawił się zalany oślepiającym słońcem kontur jeźdźca. Wolno dotarł do obejścia, przekroczył próg bramy, zeskoczył z konia i cisnął niedbale wodze najbliższemu ze stojących tu ze skrzyżowanymi na piersiach rękami mężczyzn. Nie wyglądał on na stajennego, żaden nie wyglądał, ale Cadron zdawał się tym zupełnie nie przejmować. Gaber spokojnie zamarł w miejscu. Cadron wykonał głęboki dworski ukłon przed Marcją siedzącą w rzeźbionym fotelu pod baldachimem. Podwórze zmieniło się dość gruntownie od wczorajszego dnia – było wymiecione do ostatniego źdźbła, polane niedawno wodą; skądś przyniesiono ławy i kilka stołów, na ławach zasiadali nieuśmiechnięci uzbrojeni mężczyźni, a na stołach stały dzbany uperlone dużymi zimnymi kroplami i kubki. Sama Marcja na ławie obok siebie ułożyła kilka rodzajów broni, parami – morgensterny, rapiery, miecze drahnijskie, żebrowe i oburęczne, potem kilka rodzajów szabel, rzadkie kasany, maczugi zwane równiarzami, zerwikaptury i na samym końcu bojowe widły: dwojaki, truziby i czterowije. Przybyły uważnie przyjrzał się broni i – wciąż w głębokiej pełnej napięcia i wyczekiwania ciszy – wsadził do ust zgięty wskazujący palec, by wydać przy jego pomocy przenikliwy ostry i głośny gwizd. Gdyby ktoś patrzył w tej chwili na Marcję zobaczyłby, że odrobinę zwężają się jej oczy – oto przygotowała się na rozegranie wielkiego widowiska, a tu ktoś znowu odbiera jej inicjatywę i zmusza do oczekiwania na kolejne kroki przybłędów. Była jednak mądra i zdawała sobie sprawę, że jeśli teraz zacznie wyklócać się o przebieg ceremonii nie zyska w oczach widzów nic, a co najwyżej straci. Siedziała więc spokojnie i czekała. Patrzyła w prześwit bramy, gdzie pojawił się następny jeździec. Jak i Cadron nieśpiesznie dojechał do bramy, przekroczył jej wierzeje, Cadron podskoczył i pomógł zejść z siodła przybyłej. Potem odstał o krok i powiedział głośno:

– Szlachetna pani Marcja Finnegarth, szlachetna pani Hornicatta Weleb!

Marcja wstała z wykrzywioną ze złości twarzą. Teraz widać było zgrabne nogi w wąskich spodniach i butfory powyżej kolan.

– Co to jest, bałwanie? Kpiny sobie ze mnie urządzacie?

Wskazała ręką Hornicattę Weleb. Niska pękata pulchna kobieta opatulona burym prostym odzieniem skłoniła lekko głowę.

– Skoro nie masz nic mądrzejszego do powiedzenia – przystąpmy do rzeczy – wychrypiała. Kołyszając się jak kaczką, sapiąc podeszła do ławy z bronią, przyłożyła opuszek kciuka do nozdrza i smarknęła z uczuciem. – To co wybrałaś?

Odwróciła się i skierowała okrągłe guzikowate oczka na Marcję, rumiane policzki nadeły się, sapnęła i kciukiem pokazała za siebie, na ławę.

– Ty! Ty?! Ja cię... – Marcja tupnęła i zrobiła dwa szybkie kroki do gościa.

– Aha, będziemy się tłuc pięściami i szarpać za włosy ku uciechu zebranych – stwierdziła Hornicatta i – trzymając pulchne pięści przy piersi zatoczyła łokciami kilka kół rozgrzewając się przed bitką.

Gospodyni nie udało się stłumić pełnego przygnębienia jęku, zatrzymała się i stała chwilę najwyraźniej tłumiąc wrzący w niej szal. Potrząsnęła głową prezentując piękną zawieję rudych włosów.

– Za włosy? – warknęła. – Chciałabyś, poturlu jeden.

– Nu, do roboty – plasnęła na to w dłonie, nie przejmując się w widoczny sposób słowami Marcji Hornicatta. – Jako wyzwana masz wybór.

Odstała od ławy, spróbowała skrzyżować ręce na piersi, ale olbrzymie pagóry nie dały na to szansy, zrezygnowała po drugiej próbie, splotła palce pod piersiami. Marcja podeszła, demonstracyjnie obrzuciła szacunkowym spojrzeniem pękatego gościa i ponownie popatrzyła na ławę. W końcu machnęła ręką dając do zrozumienia, że to i tak bez

znaczenia. Pociągnęła rapiery, wyciągnęła w stronę wyzywającej obie rękojeści. Hornicatta wzięła jeden, odeszła na środek podwórza, odkaslnęła i splunęła soczyście w zwilżony piach.

– Wszystkich biorę na świadka – wychrypiała – że jeśli przegram... – Rozkaszała się i długo chrypiała. – Jeśli przegram odejdę stąd i tego samego wymagać będę od ciebie – wskazała niezgrabnie trzymanym rapiernym Marcję.

– Tak–tak!

Podeszła i ustawiła się w pełnej gracji postawie. Jej rywalka mlasnęła i ustawiła się również. Zasalutowały, skrzyżowały klingi. Marcja pomyślała nagle, że rywalka przestała zachowywać się niezgrabnie, ale już nie było czasu na zastanawianie się nad raptowną przemianą otylej przeciwniczki. Zamyśliła atak i przystąpiła do jego realizacji.

W miejscu gdzie przed chwilą była Hornicatta Weleb była już jednak pustka. Pękaty taran przeniknął jakoś pod klingą rapiery Marcji i właśnie uderzał w nią z całej siły, jednocześnie wyciągniętą do przodu stopą blokując jej cofającą się nogę. Marcja wściekle machnęła rapiernym zamierzając w upadku przynajmniej wyrzeźbić na twarzy przeciwniczki trwałą krwawą pręgę, potem zająć się resztą korpulentnego ciała, w którym tak przyjemnie byłoby wykonać kilka dziur.

Nie udało się.

Pod świszczącą klingą znowu nie było nikogo, a potem coś potężnie szarpnęło jej rapierną czując ból aż w łokciu Marcja puściła rękojeść. Zwaliała się na plecy i zamarła czując przyszpilający ją do piachu szpic rapiery na gardle.

– To by było tyle – wymamrotała Hornicatta stojąc nad Marcją. – Krzyknij swoim ludziom, że wszystko odbyło się prawidłowo, że nie zamierzasz strzelić mi w plecy.

– Pozwól mi wstać – wykrztusiła pokonana.

Zwycięzcy przyjrzała się jej uważnie, potem nagle odsunęła się. Marcja podniosła się i otrzepała upiaszczone ręce. Odetchnęła głęboko.

– Przegrałam. – Okręciła się na pięcie i powtórzyła: – Przegrałam, to niemożliwe, ale przegrałam. – Westchnęła spazmatycznie i pokręciła niedowierzająco głową. Milczała chwilę. – Zwalniam was ze wszystkich wobec mnie zobowiązań, wypłata po południu.

Popatrzyła na Hornicattę i przygryzła obie wargi, w jej oczach pojawiły się wzbierające diamenty łez.

– Nic nie rozumiem – powiedziała. – To jest głupi sen. Idę się obudzić.

Ruszyła do domu. Cała jej załoga stała zamarła w bezruchu, Hornicatta Weleb cisnęła rapierną w zarysowany kilkoma zaledwie krokami piach, podeszła do swojego wierzchowca i poczekała aż Cadron dwornie podsunie jej splecione dłonie.

– Aleś ciężki! – stęknął pod jej ciężarem.

– To te piekielne poduchy z kaszą i kilkanaście warstw szmat – syknęła. Spokojnie skierowała konia ku bramie i – nie obejrzawszy się, nawet gdy za Marcją zamknęły się z potwornym hukiem drzwi – wyjechała przez bramę. Cadron wskoczył w siodło i skłoniwszy się nieco ironicznie zamarłym w pytaniu mężczyznom zakłusował, by jak najszybciej dogonić Hornicattę.

– Myślisz, że to wszystko i dalej pójdzie gładko?

Obejrzała się przez ramię i odpowiedziała cicho głosem Hondelyka:

– To mądra kobieta i dumna. Tu już nie ma co robić, została pognębiona i ośmieszona, musi stąd odejść. A jeśli myśli jak ja myślę, to więcej nie spróbuje tego chleba, bo może gorzko posmakować, wiadomo – jesteś niezwyknięty aż do pierwszego razu, kiedy nie zwyciężysz.

– O?!

– Nie kpj ze mnie, bo widziałeś! – zagroziła Hornicatta.

Roześmiali się obaj i sprawdzwszy czy nikt ich nie śledzi dotarli do kryjówki w zagajniku, po krótkiej chwili wyjechali stamtąd dwaj mężczyźni, z jednym luzakiem, a nad zagajnikiem chybotął się dym ze spalonych Hondelykowych szmat i Cadronowych peruk.

– Co teraz? – zapytał dla porządku Cadron, przeczuwając, co usłyszy.

– Teraz? Hm, pojedę zapytać Marcję, czy jednak nie podjęłyby się prowadzenia Schalsaman.

– Ba–ardzo to miłe – warknął ponuro Cadron. – Jeśli kiedyś tam dotrzemy to ona posieka mnie na plasterki.

– Nie pozna cię, właśnie po to był ten kamuflaż.

– Już ty się nie martw: zapadliśmy z Hornicattą jej w pamięć na całe ycie.

Hondelyk wydał z siebie jakiś dźwięk, co to miał wyrazić: „E tam, na pewno aż tak źle nie jest!”. Wjechali na szlak i zatrzymali się.

– Ja wracam w takim razie do miasta – oznajmił Cadron czekając na protest przyjaciela.

Zapadło milczenie.

– No to wracam do miasta. – Powtórzył i odczekał chwilę. – Zanocuję „Pod Złotą Gwiazdą” – dokończył z rezygnacją.

Hondelyk pokiwał głową i zgodził się: – Dobrze.

Rozjechali się. Hondelyk chwilę później przekroczył ponownie bramę posiadłości Marcji. Zanim podjechał pod ganek otworzyły się drzwi i stanęła w nich gospodyni. Na twarzy miała wypisane: „Dobrze, że chociaż ty tu jesteś! Muszę się z kimś porachować!”. Zanim otworzyła usta Hondelyk wskazał kciukiem za siebie i zapytał:

– Co tu robił ten Hornicatta?

– Co... – zająknęła się. – Co tu robił kto?

– Hornicatta. Ten mistrz szermierki. Odwiedził cię, pani? – Zsiadł z Poka i obchodząc go zarzucał ją pytaniami: – To twój znajomy? Naprawdę jest taki szybki? Powiadają, że ścina mieczem głowy komarom, prawda to?

– Hornicatta?! On? ON!?

– No tak – odpowiedział nieco zniecierpliwiony jej ignorancją. – On. A kto?

Nie słuchała go, oczy roz błysły radośnie obrażając nieszczęsne Pei i Pai.

– Ach więc to był mężczyzna? – powiedziała do siebie. Hondelyk milczał. – To zmienia rzecz całą! Będę mogła... – urwała i zasepiła się. – Kto uwierzy? – Zastanawiała się, zastanawiała i zastanawiała. – Poświadczysz, panie?

– Ja? A o czym?

– Że to był Hornicatta!!! – krzyknęła zdesperowana, najwyraźniej wahając się – zabić tego tępaka czy dać mu szansę, żeby świadczył..

– Mogę, ale i tak bym nie przysięgł – zrobił zakłopotaną minę. – Ubrany był dziwnie i widziałem go tylko raz. Pewnie to był on, ale co do przysięgi...

– A ż–żeby to gromy!

Pok zarżał. Marcja sapnęła wściekle, ale po chwili ściągnięte rysy zaczęły się wygładzać. Hondelyk pomyślał, że ich plan był celny jak bełt mistrza. Z przegraną się pogodzi, ale zadra zostanie, już nie będzie taka pewna, taka energiczna, już będzie wątpić w swoje siły. I pewnie zejdzie z niebezpiecznej ścieżki.

– Trudno... – powiedziała. Zerknęła w niebo. – Czy jakieś szczególne sprawy cię tu sprowadzają, panie?

– Tak. Jak mówiłem, kupiłem posiadłość. Morze, puszcza i wredni sąsiedzi. Potrzebny mi ktoś, kto sobie z tym wszystkim poradzi.

Zmarszczyła czoło i wpiła mu się spojrzeniem w oczy, ale napotkała w nich świetlisty pancerz ze szczerości, ufności i jeszcze jakiegoś uczucia.

– Hm... – powiedziała. – Zawsze mnie czubek nosa swędzi kiedy coś jest nie tak... – Patrzyła mu w oczy, szukała wątpliwości, sondowała. – Z drugiej strony...

– Z drugiej strony?
Przymknęła powieki i myślała chwilę z zamkniętymi oczami. Potrząsnęła głową.
– Nie rozumiem – powiedziała zniechęcona. – Zapraszam na puchar wina, mam dobre, a wyprowadzam się dziś–jutro... – W jej głosie pojawił się żal: – Stracę piwniczkę i... Ech!
– Piwniczkę i ja mam zacząć – kusicielsko wskoczył w słowo Hondelyk.
Popatrzyła na niego, inaczej, już nie pytająco, nie szukając drugiego dna w słowach.
– Żeby mnie tylko tak nos nie swędziało...
Pokręciła głową, rude loki wstrząsnęły się, zafalowały.
Popatrzyli na siebie. Po raz pierwszy w życiu Hondelyk zobaczył jak wygląda uśmiech Marcji.
Był nim zachwycony.

1996